

Sidney Sheldon

Naga twarz

Przekład DOROTA MALINOWSKA

Kobietom mojego życia:

Jorji, Mary i Natalie

Rozdział 1

Dziesięć minut przed jedenastą rano niebo eksplodowało chmurą białego konfetti, które po chwili zasnuło miasto. Śnieżny puch zamienił się wkrótce w szarą breję, a lodowaty grudniowy wiatr wymiół ludzi odprawiających rytuał gwiazdkowych zakupów, w zacisze ich mieszkań i domów.

Na Lexington Avenue wysoki, szczupły mężczyzna w żółtym sztormiaku przesuwiał się w tłumie poszukującym świątecznych prezentów, ale zgodnie z własnym rytmem. Maszerował szybko, jednak nie w tak gwałtownym pośpiechu jak inni umykający przed chłodem piesi. Głowę trzymał podniesioną i wydawał się nie zwracać uwagi na potracających go ludzi. Był wreszcie wolny po latach czyścica i szedł do domu powiedzieć Mary, że ma to już za sobą. Przeszłość została pochowana, a czekająca go przyszłość jawiła się jasna i złota. Już wyobrażał sobie rozpromienioną twarz żony, kiedy ogłosi jej nowinę. W chwili gdy dotarł do rogu Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy, bursztynowe światła zmieniły barwę na czerwoną, więc zatrzymał się wraz z niecierpliwym tłumem. Kilka kroków dalej święty Mikołaj z Armii Zbawienia stał nad wielkim czajnikiem. Mężczyzna sięgnął do kieszeni po drobne, żeby zasłużyć się bogom pomyślności. W tym samym momencie ktoś mocno klepnął go w ramię. Zachwiał się od nagłego uderzenia. Najwyraźniej jakiś gwiazdkowy pijak poczuł przyływ przyjacielskich uczuć. Albo był to Bruce Boyd, który nigdy nie zdawał sobie sprawy ze swej siły i miał dziecinny zwyczaj zadawania fizycznego bólu. Ale

Bruce'a nie widział od ponad roku.

Mężczyzna już miał odwrócić głowę, by sprawdzić, kto go uderzył, kiedy stwierdził ze zdziwieniem, że uginają się pod nim nogi. Jak w zwolnionym filmie widział własne ciało przewracające się na chodnik. Z miejsca, w które został uderzony, promieniował tępy ból. Mężczyzna z trudem łapał oddech. Na wysokości twarzy widział paradujące szeregiem buty, jakby żyły własnym życiem. Policzek zdrętwiał mu od lodowatego chodnika. Wiedział, że nie powinien tak leżeć. Otworzył usta, by poprosić kogoś o pomoc, a wtedy ciepła czerwona strużka wypłynęła na topniejący śnieg. Przyglądał się zafascynowany, jak cieknie chodnikiem w stronę studzienki kanalizacyjnej. Ból wzmógł się, ale nie bardzo mu to przeszkadzało, bo nagle przypomniał sobie, że jest przecież wolny. Tą wspaniałą nowiną ma podzielić się z Mary. Zamknął oczy, ponieważ raziała go biała jaskrawość nieba. Śnieg zamieniał się powoli w marznącą mżawkę, ale on już nic więcej nie czuł.

Rozdział 2

Carol Roberts usłyszała, jak otwierają się, a potem zamykają drzwi poczekalni, i zanim jeszcze zdążyła podnieść wzrok, wyczuła, kim są przybysze. Było ich dwóch. Jeden trochę po czterdziestce. Postawny, metr osiemdziesiąt, same mięśnie, duża głowa, głęboko osadzone stalowoniebieskie oczy i znużone, jakby nieco smutne usta. Drugi był zdecydowanie młodszy. Miał wrażliwą twarz i piwne oczy o czujnym wyrazie. Różnili się wyglądem, ale jeśli chodziło o Carol, mogli być jednojajowymi bliźniakami.

Szpicle. To właśnie odgadła. Kiedy zbliżali się do niej, czuła spływające pod pachami strużki potu, którego nie powstrzymał dezodorant. Jej umysł w panice przeszukiwał wszystkie słabe punkty. Chick? Chryste, przecież trzymał się z dala od kłopotów już ponad sześć miesięcy. Od tej nocy, kiedy poprosił, by za niego wyszła, i obiecał zerwać z gangiem. Jej brat Sammy? Służył za morzami w lotnictwie, a poza tym, gdyby coś przydarzyło się jej bratu, nie przysłaliby tych dwóch tajniaków. Nie. Oni przyszli z jej powodu. Nosila trawkę w torebce i ktoś o zbyt długim języku rozmawiał z kim nie potrzeba. Ale dlaczego dwóch? Carol próbowała przekonać samą siebie, że nie wolno im jej tknąć. Już nie była jakaś tam głupią czarną dziwką z Harlemu, z którą mogli robić, co im się żywnie podobało. Już nie. Pracowała jako recepcjonistka u jednego z najlepszych psychoanalityków w kraju. Ale im bliżej podchodzili mężczyźni, tym bardziej narastała w niej panika. Zbyt długo chowała się w śmierdzących, zatłoczonych mieszkaniach, do których wdzierali się

przedstawiciele praw białych, by zabrać kogoś z jej bliskich.

Żadna z tych myśli nie odbiła się jednak na jej twarzy. Na pierwszy rzut oka dwóch policjantów widziało tylko młodą, dojrzałą, brązowoskórą Murzynkę w eleganckiej beżowej sukience. Jej głos brzmiał chłodno i bezosobowo.

– Czym mogę służyć? – zapytała.

Wtedy właśnie porucznik Andrew McGreavy, starszy detektyw, zauważył powiększającą się pod jej pachą plamę potu. Automatycznie zarejestrował to jako informację, która mogła się w przyszłości przydać. Recepcjonistka wyglądała na służbistkę. McGreavy wyciągnął portfel z imitacji skóry, do której przyczepiona była zużyta plakietka.

– Porucznik McGreavy, dziewiętnasty komisariat. – Po czym wskazał na swego partnera. – Detektyw Angeli. Jesteśmy z Wydziału Zabójstw.

Zabójstwo? Ręka Carol zadrżała. Chick! Zabił kogoś. Złamał przyrzeczenie i wrócił do gangu. Zabił kogoś podczas włamania, albo... może to jemu coś się stało? Nie żył? Czy przyszli, żeby jej to powiedzieć? Carol nagle uświadomiła sobie, że na sukience widać plamę potu i że McGreavy ją zauważył, choć patrzył na jej twarz. Ona i wszyscy McGreavy'owie tego świata nie potrzebowali słów. Rozpoznawali się na pierwszy rzut oka. Znali się od setek lat.

– Chcielibyśmy zobaczyć się z doktorem Juddem Stevenssem – powiedział młodszy detektyw. Jego głos był łagodny i grzeczny, pasował do wyglądu. Dopiero w tej chwili zauważyła, że trzymał w rękach małą paczkę zawiniętą w brązowy papier i związaną sznurkiem.

Znaczenie jego słów dotarło do niej po dobrej chwili. Więc to nie chodziło o Chicka. Ani o Sammy'ego. Ani o trawkę.

– Przykro mi – z trudem udawało jej się ukryć ulgę. – Doktor Stevens ma w tej chwili pacjenta.

– To zabierze tylko kilka minut – powiedział McGreavy.

– Chcielibyśmy zadać mu parę pytań. – Zamilkł na chwilę.

– Tutaj albo na posterunku.

Przyglądała im się zdziwiona. Co, u licha, mogli chcieć dwaj detektywi z Wydziału Zabójstw od doktora Stevensa? Cokolwiek policja podejrzewa, on nie zrobił nic złego. Znała go zbyt dobrze. Jak długo już? Cztery lata. A zaczęło się to pewnej nocy w sądzie...

Była trzecia nad ranem i światło lamp na sali sądowej nadawało wszystkim niezdrowy wygląd. Pomieszczenie było stare, zniszczone i zaniedbane, przesączone smrodem strachu, który zbierał się tu przez lata, jak warstwy łuszczącej się farby.

To było zawszone szczęście Carol, że za stołem zasiadał znowu sędzia Murphy. Nie minęły dwa tygodnie od dnia, kiedy poprzednio przed nim stała. Wypuścił ją, wydając wyrok w zawieszeniu. Pierwsze ostrzeżenie. Co znaczyło tylko, że wtedy skurwiele złapali ją dopiero po raz pierwszy. Ale tym razem wiedziała, że im się nie wymknie.

Rozprawa, po której miano przystąpić do przesłuchania Carol, zbliżała się już ku końcowi. Wysoki, łagodnie wyglądający mężczyzna, który stał przed sędzią, mówił coś na temat swego klienta, rozdygotanego grubasa w kajdankach. Uznała, że łagodny mężczyzna musi być adwokatem zajmującym się sprawami kryminalnymi. Było coś takiego w jego wyglądzie, jakaś pewność siebie, która sprawiała, że zazdrościła tłuściochowi mającemu tego człowieka po swojej stronie. Ona nie miała

nikogo.

Mężczyzna odsunął się od stołu i Carol usłyszała, jak wywołują jej nazwisko. Wstała, ściskając mocno kolana, by nie drżały. Strażnik popchnął ją lekko w stronę sędziego, któremu urzędnik sądowy podawał właśnie akt oskarżenia.

Sędzia Murphy spojrział na Carol, a potem na leżący przed nim papier.

– „Carol Roberts. Zaczepianie mężczyzn w celach nierządu, włóczęgostwo, posiadanie marihuany, stawianie oporu policjantom”.

Ostatni zarzut był wierutną bzdurą. Policjant pchnął ją, no to kopnęła go w jaja. Ostatecznie była przecież amerykańską obywatelką.

– Widzieliśmy się już tutaj parę tygodni temu, co, Carol?

– Chyba tak, wysoki sędzie – postarała się, by w jej głosie zabrzmiała niepewność.

– I dałem ci wyrok w zawieszeniu. – Tak jest, sir.

– Ile masz lat? Przewidziała, że ją o to zapyta.

– Szesnaście. Dzisiaj właśnie obchodzę szesnaste urodziny. Więc życzę sobie wszystkiego najlepszego – powiedziała i nagle zalała się łzami, szloch wstrząsał całym jej ciałem.

Wysoki, spokojny mężczyzna stał nieco z boku i wkładał jakieś papiery do skórzanej teczki. Podniósł wzrok i przez chwilę przyglądał się płaczącej Carol. Potem powiedział coś do sędziego.

Murphy zarządził przerwę i obaj mężczyźni zniknęli za drzwiami pokoju sędziowskiego. Piętnaście minut później strażnik wprowadził tam Carol. Zobaczyła obu mężczyzn pogrążonych w poważnej rozmowie.

– Szczęściara z ciebie, Carol – powiedział sędzia Murphy. – Dostaniesz jeszcze jedną szansę. Sąd oddaje cię pod osobistą opiekę doktora Stevensa.

Więc wysoki facet nie był papugą, tylko szarlatanem. Nie wzruszyłyby jej nawet, gdyby okazał się Kubą Rozpruwaczem. Jedyne, czego pragnęła, to wyrwać się z tej śmierdzącej sali, zanim odkryją, że tego dnia wcale nie obchodzi urodzin.

Lekarz zawiózł ją do swego mieszkania, po drodze prowadził rozmowę o niczym, dając Carol czas, by wzięła się w garść i zebrała myśli. Zaparkował samochód na Siedemdziesiątej Pierwszej ulicy przed nowoczesnym budynkiem, którego front wychodził na East River. Zarówno odźwierny, jak i windziarz powitali doktora tak spokojnie, jakby codziennie wracał do domu o trzeciej nad ranem z szesnastoletnią czarną prostytutką.

Carol nigdy w życiu nie widziała takiego mieszkania, w jakim się teraz znalazła. Salon utrzymany był w białej tonacji, stały tam dwie długie, niskie kanapy obite tweedem w kolorze owsianki, a między nimi ogromny kwadratowy stół. Na blacie z grubego szkła leżała wielka szachownica z weneckimi figurami. Ściany ozdabiały nowoczesne obrazy. W korytarzu zainstalowano monitor, na którym można było zobaczyć ludzi wchodzących do budynku. Jeden kąt salonu zajmował barek z przydymionego szkła, widać w nim było półki pełne kryształowych szklanek i karafek. Przez okno Carol ujrzała daleko w dole maleńkie łódki, halsujące po East River.

– W sędzie zawsze nabieram apetytu – powiedział Judd. – Może byśmy przygotowali kolację urodzinową?

Zaprowadził ją do kuchni, gdzie całkiem zgrabnie przyrządził meksykański omlet i francuskie frytki. Znalazły się też angielskie bułeczki, sałata i kawa.

– To jedna z zalet starokawalerstwa – stwierdził. – Gotuje się wtedy, gdy ma się na to ochotę.

Więc był bez domowej koteczki. Wiedziała, że jeśli dobrze rozegra partię, zgarnie całą pulę. Kiedy skończyła jeść, pokazał jej gościnną sypialnię. Utrzymany w niebieskim kolorycie pokój zdominowało całkowicie ogromne podwójne łoże nakryte błękitną narzutą. Obok stała niewysoka hiszpańska toaletka z ciemnego drewna z mosiężnymi okuciami.

– Możesz tutaj spędzić noc – powiedział. – Przyniosę ci pidżamę.

Carol rozejrzała się po gustownie urządzonego pokoju i pomyślała: No, dziecinko! Trafiałaś w dziesiątkę! Ten facet leci na czarną pupkę, a właśnie ty mu ją możesz dać.

Rozebrała się i następne pół godziny spędziła pod prysznicem. Kiedy wyszła z łazienki z ręcznikiem owiniętym wokół lśniącego, wspaniałego ciała, ujrzała, że ten pieprzony głupek zostawił dla niej pidżamę na łóżku. Roześmiała się ze zrozumieniem i zostawiła nocny strój tam, gdzie leżał. Zrzuciła z siebie ręcznik i pomaszerowała do salonu. Ale tam nikogo nie było. Spojrzała przez drzwi do sąsiedniego pokoju. Siedział przy wielkim, wygodnym biurku, oświetlonym staroświecką lampą. Ściany od podłogi po sufit zakrywały książki. Zaszła gospodarza od tyłu i pocałowała go w szyję.

– No dalej, kotku – szepnęła. – Przy tobie jestem taka napalona, że nie mogę wytrzymać. – Przytuliła się do niego mocniej. – Na co czekamy, duży chłopczyku? Jeśli nie wsadzisz mi szybciotko, chyba oszaleję.

Przez dobrą chwilę przyglądał się jej mądrymi oczyma o ciemnoszarej barwie.

– Nie dość ci było kłopotów? – zapytał łagodnie. – Nic nie poradzisz na to, że urodziłaś się Murzynką, ale kto powiedział, że musisz być śmierdzącą niedopałkami szesnastoletnią starą kurwą.

Patrzyła na niego zaskoczona, zastanawiając się, co nie tak powiedziała. Może musi się najpierw trochę zmęczyć i zbić ją, zanim się do niej dobierze. Może jest jak wielebny Davison, który najpierw wygłaszał modły nad jej czarnym tyłkiem, reformował ją, a potem dopiero kładł się na niej. Spróbowała jeszcze raz. Sięgnęła między jego uda, zaczęła go pieścić, szepcząc:

– Dalej, dziecino. Daj mi to.

Delikatnie wyswobodził się i posadził ją w fotelu. Nigdy w życiu nie była bardziej zdumiona. Nie wyglądał na pedała, ale kto tam może być pewny w dzisiejszych czasach.

– Co z tobą, chłopcze? Powiedz mi, na co masz ochotę, a dostaniesz to.

– W porządku – powiedział. – Pogadajmy.

– Chodzi ci o... rozmowę?

– Właśnie.

I gadali. Przez całą noc. W tak dziwny sposób Carol nie spędzała jeszcze nocy. Doktor Stevens przeskakiwał z tematu na temat, sondując ją i sprawdzając. Pytał, co myśli o Wietnamie, gettach, demonstracjach studenckich. Za każdym razem, kiedy Carol wydawało się, że już wie, o co mu chodzi, przeskakiwał na coś innego. Rozmawiali o sprawach, o których nigdy wcześniej nie słyszała, i o takich, w których uważała się za największego eksperta na świecie. Jeszcze w kilka miesięcy później potrafiła leżeć całkiem rozbudzona, usiłując przypomnieć sobie to słowo, zwrot, magiczną frazę, która ją odmieniła. Ale nie była w stanie znaleźć

tego klucza. I wreszcie uświadomiła sobie, że doktor Stevens zrobił coś bardzo prostego. Rozmawiał z nią. Naprawdę rozmawiał. Nikt wcześniej nigdy tego nawet nie próbował. Potraktował ją jak istotę ludzką równą sobie, której uczucia i opinie go obchodzą.

W pewnym momencie podczas tej pamiętnej nocy uświadomiła sobie własną nagość i wróciła do sypialni włożyć pidżamę. Poszedł za nią, usiadł na skraju łóżka i dalej rozmawiali. O Mao Tsetungu i hula hoop, i pigułce. O jej matce i ojcu, którzy nie byli małżeństwem. Carol mówiła mu o tym, o czym nigdy z nikim nie rozmawiała. Wydobyła sprawy głęboko zakopane w jej podświadomości. Kiedy wreszcie zasypiała, poczuła się całkowicie pusta. To było tak, jakby przeszła jakąś poważną operację, podczas której wypłukano z niej rzekę trucizny.

Rano, po śniadaniu, wręczył jej sto dolarów.

Zawahała się.

– Skłamałam – wydusiła wreszcie. – To nie były moje urodziny.

– Wiem – uśmiechnął się szeroko. – Ale ani słowa o tym sędziemu. – Jego ton zmienił się. – Możesz wziąć pieniądze i odejść, będziesz miała przez jakiś czas spokój, póki znowu nie podpadniesz policji. – Zamilkł na chwilę. – Potrzebuję recepcjonistki. Myślę, że znakomicie nadałabyś się do tej pracy. Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Kpisz sobie ze mnie. Nie umiem stenografować ani pisać na maszynie.

– Nauczyłabyś się, gdybyś wróciła do szkoły. Carol patrzyła na niego przez długą chwilę.

– Nigdy o tym nie myślałam! – wykrzyknęła wreszcie z entuzjazmem.
– To jest pomysł.

Marzyła tylko, żeby się znaleźć jak najdalej od tego domu, pobiec do Harlemu i podzielić zdobytą setką z chłopakami i dziewczynami U Rybaka, gdzie zbierała się ferajna. Za tę forszę mogli się szprycować co najmniej przez tydzień.

Kiedy wkroczyła do baru, poczuła się tak, jakby nigdy stamtąd nie wychodziła. Otoczyły ją te same pokrzywione twarze, zalał szmer ponurych szeptów. Była w domu. Ale nie mogła zapomnieć mieszkania doktora. To nie z powodu umeblowania wydawało się takie inne. Ono było... czyste. I spokojne. Jak wysepka przeniesiona z innego świata, do którego on zaproponował jej paszport. Przecież niczym nie ryzykowała. Przynajmniej dla śmiechu mogła mu pokazać, jak bardzo był w błędzie wierząc, że udałoby jej się tak żyć.

Ku własnemu wielkiemu zdziwieniu Carol zapisała się do wieczorowej szkoły. Porzuciła pokój z pokrytą plamami rdzy wanną, połamanym sedesem, podartymi zielonymi zasłonami i obrzydliwym metalowym łóżkiem, gdzie leżąc snuła marzenia. Bywała w nich piękną dziedziczką z Paryża, Londynu czy Rzymu, a mężczyzna, który leżał na niej i wykonywał rytmiczne pchnięcia, był bogatym, przystojnym księciem marzącym o małżeństwie z nią. Kiedy kolejny kochanek zsuwał się z Carol, marzenie pryskało. Do następnego razu.

Porzuciła pokój i wszystkich książąt bez jednego spojrzenia wstecz. Przeprowadziła się do rodziców. Doktor Stevens wypłacał jej pensję przez cały czas nauki w szkole średniej. Skończyła liceum z najlepszymi ocenami. Doktor przyszedł na uroczystość wręczenia świadectw, jego szare oczy lśniły dumą. Ktoś w nią wierzył, więc ona nie mogła go rozczarować. Zaczęła w dzień dorabiać, a wieczorami uczęszczała na kurs

dla sekretarek. Natychmiast po ukończeniu go zaczęła pracować dla doktora Stevensa. Teraz już stać ją było na własne mieszkanie.

Przez te cztery minione lata doktor Stevens traktował ją z tą samą uroczystą kurtuazją, co pierwszej nocy. Na początku spodziewała się, że będzie jej przypominał, kim kiedyś była i co osiągnęła. Wreszcie zdała sobie sprawę, że on zawsze widział ją właśnie taką, jaką była teraz. Jedyne co zrobił, to pomógł jej stać się sobą. Kiedy tylko miała jakiś problem, zawsze znajdował czas, by z nią porozmawiać. Od pewnego czasu nosiła się z zamiarem powiedzenia mu o Chicku. Chciała się poradzić, ale ciągle odkładała to na później. Pragnęła, żeby doktor Stevens był z niej dumny. Dla niego zrobiłaby wszystko. Poszłaby z nim do łóżka, nawet zabiłaby...

A teraz dwóch facetów z Wydziału Zabójstw chciało się z nim zobaczyć.

– No więc, panienko? – McGreavy zaczął się niecierpliwić. – Nie wolno mu przeszkadzać, kiedy ma u siebie pacjenta – odparła Carol. Rozpoznała spojrzenie, jakim ją obrzucił policjant. – Zadzwońię do niego. – Podniosła słuchawkę i nacisnęła przycisk interkomu. Po chwili ciszy rozległ się głos doktora Stevensa. – Tak?

– Doktorze, jest tu dwóch policjantów z Wydziału Zabójstw. Chcą się z panem widzieć.

Nasłuchiwała, czy nie usłyszy w jego głosie jakiejś zmiany... zdenerwowania... lęku. Ale nie.

– Będą musieli poczekać – odrzekł. I rozłączył się. Poczowała dumę. Może ją potrafili nastraszyć, ale nie doktora. Spojrzała na nich, znowu pewna siebie.

– Słyszeliście – powiedziała.

– Jak długo to potrwa? – zapytał Angeli, młodszy z mężczyzn.

Zerknęła na zegar leżący na blacie.

– Jeszcze dwadzieścia pięć minut. To ostatnia osoba zapisana na dzisiaj.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Poczekamy – zdecydował McGreavy.

Usiedli. Starszy policjant przyglądał się jej uważnie.

– Pani twarz wygląda znajomo – zagadnął. Nie nabrał jej. Wiedziała, że to stary wyga.

– Wie pan, co o nas mówią – powiedziała Carol. – Że wszyscy wyglądamy jednakowo.

Dwadzieścia pięć minut później Carol usłyszała dźwięk zamykanych bocznych drzwi, które prowadziły z prywatnego gabinetu doktora prosto na korytarz. Minęło kilka chwil i Stevens stanął w drzwiach łączących jego gabinet z recepcją. Kiedy zobaczył McGreavy'ego, zawahał się.

– Spotkaliśmy się już kiedyś – powiedział. Nie mógł sobie jednak przypomnieć gdzie.

Policjant kiwnął niecierpliwie głową.

– Taaa... Porucznik McGreavy. – Potem wskazał na kolegę. – Detektyw Frank Angeli.

Judd i Angeli uścisnęli sobie dłonie.

– Proszę do mnie.

Mężczyźni weszli do gabinetu i drzwi za nimi zamknęły się. Carol spoglądała na nie, próbując coś z tego zrozumieć. Postawny detektyw zdawał się żywić nieprzyjemne uczucia do doktora Stevensa. A może miał

taki sposób bycia. Jednego za to była pewna na sto procent: sukienkę trzeba oddać do pralni.

Gabinet Judda był umeblowany w stylu francuskich wiejskich salonów. Nie stało tam żadne biurko. Zamiast tego były wygodne fotele i małe stoliki z prawdziwie antycznymi lampami. W końcu pokoju znajdowały się drugie drzwi, którymi można było wyjść wprost na korytarz. Podłogę przykrywał przepiękny dywan, a w rogu stała obita adamaszkiem kanapka. McGreavy zauważył, że na ścianach nie wiszą żadne dyplomy. Ale przed przyjściem tutaj sprawdził doktora. Gdyby Stevens chciał, mógłby ściany wytapetować dyplomami i certyfikatami.

– Nigdy nie byłem u psychiatry – stwierdził Angeli nie kryjąc, że jest pod wrażeniem. – Szkoda, że moje mieszkanie tak nie wygląda.

– Takie wnętrza uspokajają pacjentów – wyjaśnił grzecznie Judd. – A tak przy okazji, ja jestem psychoanalitykiem.

– Przepraszam – powiedział Angeli. – Jaka to różnica?

– Jakies pięćdziesiąt dolarów za godzinę – skomentował McGreavy. – Mój partner nie jest specjalnie bywały.

Partner. I nagle Judd przypomniał sobie. Policjant, który był w jednym patrolu z McGreavym, został zastrzelony, a sam porucznik zraniony podczas napadu na sklep alkoholowy jakieś cztery, a może już pięć lat temu. Zaaresztowano drobnego złodziejzka Amosa Ziffrena. Jego adwokat twierdził, że klient nie jest w pełni władz umysłowych. Judd został powołany przez obronę jako biegły. Poproszono go o zbadanie Ziffrena. Okazało się, że mężczyzna cierpi na poważnie zaawansowaną chorobę psychiczną. Dzięki opinii Judda Ziffren uniknął kary śmierci i

został skierowany do szpitala dla psychicznie chorych.

– Już sobie pana przypominam – odezwał się Judd. – Sprawa Ziffrena. Dostał pan trzy kule, a pański partner przyplącił napad życiem.

– Ja również pana pamiętam – oświadczył McGreavy. – To przez pana morderca uniknął stryczka.

– W czym mogę panom pomóc?

– Potrzebujemy pewnych informacji, doktorze – powiedział McGreavy. Skinął na Angelego, który zaczął nieporadnie rozplątywać sznurek na przyniesionej ze sobą paczce.

– Chcielibyśmy, żeby pan coś zidentyfikował – powiedział McGreavy. Starął się, by jego głos niczego nie zdradził.

Angeli rozwinął paczkę i wyjął z niej sztormiak.

– Czy widział pan już kiedyś taki płaszcz?

– Wygląda jak mój. – Judd nie ukrywał zdziwienia.

– Bo on należy do pana. A przynajmniej pańskie nazwisko jest wypisane na wewnętrznej stronie.

– Gdzie go znaleźliście?

– A jak pan myśli? – Teraz policjanci nie byli już tak beznamiętni. Ich twarze nieznacznie zmieniły się.

Judd przez moment przyglądał się McGreavy'emu, potem sięgnął po fajkę leżącą na stoliku i zaczął ją napełniać tytoniem.

– Lepiej by było, gdybyście mi powiedzieli, o co tu w ogóle chodzi – powiedział spokojnie.

– Chodzi o ten sztormiak, doktorze Stevens – odparł McGreavy. – Jeśli należy do pana, chcielibyśmy wiedzieć, w jaki sposób zmienił właściciela.

– Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Dzisiaj rano było dżdżysto, a

ponieważ oddałem płaszcz do pralni, wziąłem ten sztormiak. Używam go na wyprawy wędkarskie. Jeden z moich pacjentów nie miał ze sobą nic od deszczu, a zaczął padać śnieg, więc pożyczyłem mu sztormiak. – Zamilkł nagle przestraszony. – Co się z nim stało?

– Stało z kim? – zapytał McGreavy.

– Z moim pacjentem, Johnem Hansonem.

– Właśnie o niego chodzi – powiedział łagodnie Angeli. – Pan Hanson nie może oddać płaszcza, ponieważ nie żyje.

Judd poczuł dreszcz przerażenia.

– Nie żyje?

– Ktoś pchnął go nożem w plecy.

Stevens wpatrywał się w policjanta z niedowierzaniem. McGreavy wyjął płaszcz z rąk Angelego i rozłożył go tak, by Judd mógł zobaczyć wielkie, nieładne cięcie na materiale. Na wewnętrznej stronie widniała matowa plama w kolorze rdzy. Judd poczuł, że robi mu się niedobrze.

– Kto mógłby chcieć go zabić?

– Mieliśmy nadzieję, że pan nam to powie. – Angeli spojrział pytająco.

– Chyba nikt nie może wiedzieć lepiej niż psychoanalityk?

Judd potrząsnął bezradnie głową.

– Kiedy to się stało? – zapytał.

– Dzisiaj o jedenastej rano – poinformował go McGreavy. – Na Lexington Avenue, o przecznicę dalej od tego domu. Kilkanaście osób musiało widzieć, jak upadał, ale wszyscy zbyt śpieszyli się do domów świętować narodziny Chrystusa, więc zostawili go, żeby wykrwawił się na śniegu.

Judd złapał się krawędzi stołu, aż mu zbieleły palce.

– O której rano był tu dzisiaj Hanson? – zapytał Angeli. – O dziesiątej.
– Jak długo trwało wasze spotkanie, doktorze?
– Pięćdziesiąt minut.
– Czy od razu wyszedł?
– Tak. Już czekał na mnie kolejny pacjent.
– Czy Hanson wyszedł przez poczekalnię?
– Nie. Pacjenci tylko wchodzą tamtędy, opuszczają zaś pokój bocznym wyjściem. – Wskazał drugie drzwi, prowadzące na korytarz. – W ten sposób nie spotykają się wzajemnie.

McGreavy przytaknął.

– Więc Hanson zginął w kilka minut po wizycie u pana. Dlaczego tu przyszedł?

Stevens zawahał się.

– Przykro mi. To są sprawy między lekarzem a pacjentem.

– Ktoś” go zamordował – powiedział McGreavy. – Pan może nam pomóc odnaleźć mordercę.

Fajka Judda zgasła. Niespiesznie zabrał się do jej ponownego zapalania.

– Czy od dawna przychodził do pana? – teraz pytał Angeli.

– Od trzech lat – odparł Judd.

– Jaki miał problem?

Judd znowu się zawahał. W myślach zobaczył Johna Hansona takiego, jakiego widział tego ranka: podnieconego, uśmiechniętego, cieszącego się odzyskaną wolnością.

– Był homoseksualistą.

– Zapowiada się piękna sprawa – burknął McGreavy.

– Był homoseksualistą. – Judd położył nacisk na pierwszym słowie. – Hanson został wyleczony. Właśnie dziś rano powiedziałem mu, że już więcej nie musimy się widywać, że może wrócić do swojej rodziny. Ma... miał żonę i dwoje dzieci.

– Pedał z rodziną? – zdziwił się McGreavy.

– To zdarza się całkiem często.

– Może któryś z jego kochasiów nie chciał go stracić. Pokłócili się. Poniosły nerwy i wepchnął przyjacielowi nóż w plecy.

Judd zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– To możliwe – odparł z namysłem – ale jakoś nie bardzo w to wierzę.

– Dlaczego, doktorze Stevens? – zapytał Angeli.

– Ponieważ Hanson nie utrzymywał związku homoseksualnego od ponad roku. Chyba znacznie bardziej prawdopodobne jest, że ktoś go zaczepił. Hanson był typem faceta, który ostro reaguje na zaczepki.

– Odważny, żonaty pedał – powiedział zgryźliwym tonem McGreavy. – Tylko jedna rzecz nie zgadza się z teorią bójk. Nikt nie tknął jego portfela. A było w nim ponad sto dolców. – Z uwagą obserwował reakcję Judda.

– Gdybyśmy szukali świra – wtrącił się Angeli – cała sprawa mogłaby być łatwiejsza.

– Niekoniecznie – sprzeciwił się Judd. Podeszedł do okna. – Spójrzcie na ten tłum w dole. Jeden na dwudziestu jest, był lub będzie w szpitalu dla psychicznie chorych.

– Ale przecież jeśli człowiek jest szajbnięty...

– Wcale nie musi na takiego wyglądać – tłumaczył Judd. – Na każdy oczywisty przypadek obłądu przypada przynajmniej dziesięć nie

odkrytych.

McGreavy przyglądał się Juddowi z nieskrywanym zainteresowaniem.

– Sporo pan wie na temat ludzkiej natury, prawda, doktorze?

– Nie ma czegoś takiego jak ludzka natura – odpowiedział psychoanalityk. – Tak samo jak nie ma natury zwierzęcej. Proszę porównać przeciętnego królika i tygrysa. Albo wiewiórkę ze słoniem.

– Jak długo pan praktykuje? – zainteresował się McGreavy.

– Dwanaście lat. Czemu pan pyta? Detektyw wzruszył ramionami.

– Jest pan przystojnym facetem. Pacjenci na pewno to zauważają.

W oczach Judda pojawił się chłodny błysk.

– Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– Daj pan spokój. Na pewno pan rozumie. Obaj jesteśmy bywałymi mężczyznami. Pedał przychodzi tutaj do przystojnego młodego doktora zwierzać się ze swoich kłopotów. – Jego ton stał się poufały. – I chce mi pan powiedzieć, że przez te trzy lata leżąc tutaj na kanapie Hanson nic z panem nie próbował?

Judd spojrział na policjanta oczami pozbawionymi wyrazu.

– Czy takie jest pańskie wyobrażenie bywalca, poruczniku? McGreavy wcale się nie obruszył.

– Coś takiego mogło się stać. I powiem panu, co jeszcze mogło się wydarzyć. Oznajmił pan Hansonowi, że nie chce go już więcej widzieć. Może mu się to nie spodobało. Przez minione trzy lata uzależnił się od pana. No i doszło do rękoczynów.

Twarz Judda pociemniała z gniewu.

– Czy przychodzi panu do głowy ktoś, kto go nienawidził, doktorze? – starał się załagodzić Angeli. – Lub osoba, której on mógł nienawidzić?

– Gdyby istniała taka osoba – odparł Judd – powiedziałbym wam. Wydaje mi się, że wiem o wszystkim, co dotyczyło Johna Hansona. Był szczęśliwym człowiekiem. Nie czuł nienawiści do nikogo i nie wiem o nikim, kto by jego nienawidził.

– Ale szczęściarz. Musi być z pana fachura – powiedział McGreavy. – Zabierzemy ze sobą jego akta.

– Nie.

– Mogę mieć nakaz prokuratora.

– Proszę go przynieść. W jego aktach nie ma nic, co mogłoby wam pomóc.

– W takim razie chyba nie zaszkodzi, jeśli nam je pan da? – zapytał Angeli.

– Może zaszkodzić żonie Hansona i jego dzieciom. Jesteście na złym tropie. Z pewnością okaże się, że Hansona zabił jakiś przypadkowy przechodzień.

– Ja w to nie wierzę – zachnął się McGreavy. Angeli zapakował sztormiak i związał go sznurkiem.

– Kiedy przeprowadzimy parę testów, zwrócimy go panu.

– Możecie zatrzymać – odrzekł Judd. McGreavy otworzył drzwi prowadzące na korytarz.

– Będziemy z panem w kontakcie, doktorze. – Odwrócił się i wyszedł. Angeli pożegnał się skinieniem głowy i podążył za nim.

Judd wciąż stał nieporuszony, gorączkowo szukając w myślach jakiegoś wyjaśnienia, kiedy weszła Carol.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała niepewnie.

– Ktoś zabił Johna Hansona.

– Zabił?

– Pchnął go nożem – sprecyzował Judd.

– O mój Boże. Ale dlaczego?

– Policja nic nie wie.

– To straszne! – Dostrzegła ból w jego oczach. – Doktorze, czy mogłabym w czymś pomóc?

– Zamkniesz biuro, Carol. Ja pójde zobaczyć się z panią Hanson. Sam jej przekażę tę fatalną wiadomość.

– Niech się pan nie martwi. Zajmę się wszystkim – odpowiedziała.

– Dzięki. Judd wyszedł.

Trzydzieści minut później Carol skończyła odkładać teczki pacjentów i zamykała właśnie swoje biurko, kiedy otworzyły się drzwi z korytarza. Było już po szóstej, o tej godzinie zamykano budynek. Carol podniosła wzrok i zobaczyła idącego ku niej uśmiechniętego mężczyznę.

Rozdział 3

Mary Hanson przypominała bardziej lalkę niż żywą kobietę – drobniutka, piękna, zgrabna. Wyglądała na łagodną i bezradną w stylu dam z Południa, ale wewnątrz była twardą jak granit dziwką. Judd spotkał ją tydzień po tym, jak rozpoczął leczenie jej męża. Protestowała przeciw temu histerycznie i Judd poprosił ją o rozmowę.

– Dlaczego sprzeciwia się pani przebadaniu męża?

– Nie życzę sobie, aby moi przyjaciele mówili, że wyszłam za wariata – odparła. – Proszę mu powiedzieć, żeby dał mi rozwód, a wtedy niech sobie robi, co mu się żywnie podoba.

Judd wyjaśnił, że rozwód może całkowicie zniszczyć Johna.

– Już nic więcej nie da się zniszczyć – piszczała Mary. – Gdybym wiedziała, że jest zboczeńcem, myśli pan, że bym za niego wyszła? Przecież to kobieta.

– W każdym mężczyźnie jest trochę z kobiety – tłumaczył Judd. – Tak samo jak w każdej kobiecie – trochę z mężczyzny. W przypadku pani męża musimy uporać się z paroma problemami natury psychologicznej. Ale on próbuje, pani Hanson. Myślę, że powinna pani pomóc zarówno jemu, jak i waszym dzieciom.

Dyskutował z nią ponad trzy godziny i wreszcie, mimo oporów, zgodziła się poczekać z rozwodem. Podczas następnych miesięcy zainteresowała się leczeniem, a w końcu nawet włączyła w batalię, którą toczył John. Judd z zasady nigdy nie pracował z małżeństwami, ale Mary poprosiła go o potraktowanie jej jako pacjentki, a on uznał, że to może

okazać się pomocne. Kiedy zaczęła rozumieć samą siebie i dostrzegła, w jakich momentach zawiodła jako żona, stan Johna zaczął się szybko i zdecydowanie poprawiać.

A teraz Judd przyszedł powiedzieć, że jej mąż został zupełnie bezsensownie zamordowany. Wpatrywała się w niego, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszała, pewna, że to jakiś makabryczny żart. I nagle dotarła do niej cała prawda.

– Już nigdy do mnie nie wróci! – krzyknęła. – Nigdy!

W rozpaczy zaczęła szarpać na sobie ubranie, była oszalała z bólu. Do pokoju weszły sześciolatnie bliźnięta. I w tym momencie zapanowało piekło. Juddowi udało się uspokoić dzieci i zaprowadzić je do sąsiadów. Podał pani Hanson środek uspokajający i zadzwonił po lekarza domowego. Kiedy był już pewny, że nic więcej nie może zrobić, wyszedł. Wsiadł do samochodu i zaczął jeździć bez celu. Nie potrafił przestać myśleć o tym, co się wydarzyło. Hanson wydostał się z piekła i w momencie tryumtu... Co za bezsensowna śmierć. Czy mordercą mógł być jakiś homoseksualista? Były kochanek sfrustrowany tym, że Hanson go porzucił? Taki scenariusz oczywiście wydawał się możliwy, ale Judd w to nie wierzył. Porucznik McGreavy powiedział, że Hanson został zamordowany niedaleko od jego gabinetu. Gdyby mordercą był przepojony nienawiścią homoseksualista, umówiłby się z Hansonem w jakimś zacisznym miejscu i usiłował go namówić, by do niego wrócił. W każdym razie chciałby z pewnością dać upust wszystkim swoim żalom, zanim zdecydowałby się na bardziej radykalne załatwienie sprawy. Na pewno nie wbijałby mu noża na zatłoczonej ulicy i na pewno by nie uciekł.

Na rogu ulicy zauważył budkę telefoniczną. Przypomniawszy sobie, że

umówił się na kolację z doktorem Peterem Hadleyem i jego żoną Norą. Byli jego najbliższymi przyjaciółmi, ale nie miał nastroju do żadnych spotkań towarzyskich.

Zatrzymał samochód przy krawężniku, wszedł do budki i wykręcił numer Hadleyów. Telefon odebrała Nora.

– Spóźniłeś się! Gdzie jesteś?

– Posłuchaj – powiedział Judd. – Obawiam się, że dzisiaj nici z wizyty.

– Nie możesz tego zrobić – jęknęła. – Mam tu niesłychanie seksowną blondynę, która umiera z chęci poznania ciebie.

– Nadrobimy to innym razem. Naprawdę nie jestem w nastroju. Proszę, przeproś ją ode mnie.

– Lekarze – zachnęła się Nora. – Poczekaj chwilę, dam ci twego koleśka.

– Coś nie tak, Judd? – W słuchawce rozległ się głos Petera. Zawahał się.

– Po prostu miałem ciężki dzień, Pete. Opowiem ci jutro. – Tracisz znakomite skandynawskie *smorgasbord*. Chciałem raczej powiedzieć piękne.

– Spotkam się z nią innym razem – przyrzekł Judd. Doszły go jakieś stłumione szepty, a potem w słuchawce rozległ się znowu głos Nory:

– Ona przyjdzie na Wigilię, Judd. A ty?

– Porozmawiamy o tym później – odpowiedział niepewnym głosem. – Przepraszam za dzisiaj. – Odwiesił słuchawkę. Wiele by dał za odkrycie taktownego sposobu, który powstrzymałby Norę od zabawiania się w swatkę.

Judd ożenił się pod koniec studiów. Elizabeth, studentka socjologii,

była serdeczna, błyskotliwa i wesoła. Oboje byli bardzo młodzi, bardzo zakochani i pełni wspaniałych planów, jak ulepszyć świat dla dzieci, które zamierzali mieć. A w pierwszą Wigilię po ślubie Elizabeth, z ich nienarodzonym dzieckiem, zginęła w wypadku samochodowym. Judd poświęcił się całkowicie pracy i po pewnym czasie stał się najznakomitszym psychoanalitykiem w całym kraju. Ale nadal nie potrafił się zmusić, by obchodzić Wigilię w towarzystwie innych ludzi. W jakiś sposób ten dzień, choć przekonywał sam siebie, że to do niczego dobrego nie prowadzi, należał do Elizabeth i ich dziecka.

Pchnął drzwi budki telefonicznej. Zauważył czekającą na zewnątrz dziewczynę. Była młoda i ładna, ubrana w obcisły sweter, minispódniczkę i kolorowy płaszcz od deszczu. Wyszedł z budki.

– Przepraszam – powiedział. Odpowiedziała ciepłym uśmiechem.

– Nic nie szkodzi. – W jej wzroku malowała się zaduma. Znał to spojrzenie, próbujące przedrzeć się przez barierę samotności, którą bezwiednie wokół siebie zbudował.

Jeśli nawet Judd wiedział, że podoba się kobietom, to świadomość ta była głęboko ukryta. Nigdy nie analizował, dlaczego tak jest. Fakt, że pacjentki zakochiwały się w nim, był bardziej przeszkodą niż pomocą. Czasami dość poważnie utrudniało mu to życie.

Odszedł, żegnając dziewczynę przyjacielskim skinieniem głowy. Czuł, że patrzy na niego, moknąc tam na deszczu; odprowadzała go wzrokiem, gdy wsiadł do samochodu i odjechał.

Skręcił w East River Drive i ruszył ku Merritt Parkway. Półtorej godziny później dojechał do roгатki Connecticut. Podczas gdy śnieg w Nowym Jorku był brudny i brejowaty, tu zamienił krajobraz w widoczek z

karty świątecznej.

Minął Westport i Danbury, zmuszając umysł do koncentracji na umykającej pod kołami wstążce szosy i zimowym krajobrazie wokół. Za każdym razem, gdy pamięć podsuwała mu wspomnienie Johna Hansona, próbował myśleć o czymś innym. Jeździł po Connecticut dobre parę godzin i wreszcie emocjonalnie wykończony ruszył z powrotem do domu.

Mike, portier o rumianej twarzy, który zawsze witał go uśmiechem, był dziwnie zamyślony i zachowywał się z wyraźną rezerwą. Judd pomyślał, że ma pewnie kłopoty rodzinne. Zazwyczaj gawędzili o kilkunastoletnim synu Mike'a i jego zamężnych już córkach, ale tego wieczoru także i Judd nie był skłonny do rozmowy. Poprosił tylko portiera, żeby odprowadził mu samochód do garażu.

– Oczywiście, doktorze Stevens. – Mike już miał coś dodać, ale się powstrzymał.

Judd wszedł do budynku. Ben Katz, zarządca domu, przechodził właśnie przez hol. Zobaczył psychoanalityka, nerwowo zamachał dłonią i zniknął w drzwiach prowadzących do jego mieszkania.

Co się dziś ze wszystkimi dzieje? – pomyślał Judd. – A może to mnie się coś przywiduje?

Wsiadł do windy.

– Dobry wieczór, doktorze Stevens – przywitał go windziarz.

– Dobry wieczór, Eddie.

Eddie również wyglądał na zdenerwowanego i wyraźnie starał się nie patrzeć na doktora.

– Czy coś się stało? – zapytał Judd.

Windziarz natychmiast potrząsnął przecząco głową, ale patrzył gdzieś

w bok.

Mój Boże – pomyślał Judd. – Kolejny kandydat na moją kanapę.

Nagle cały budynek wydawał się pełny potencjalnych pacjentów.

Eddie otworzył drzwi i Judd wysiadł. Skierował się w stronę swego mieszkania. Nie usłyszał odgłosu zamykania drzwi windy, więc odwrócił się i zobaczył, że Eddie wpatruje się w niego. Już miał coś powiedzieć, lecz windziarz szybko zatrzasnął drzwi. Judd przekręcił klucz i wszedł do mieszkania.

Wszystkie światła były zapalone. Porucznik McGreavy otwierał właśnie szufladę komody w salonie. Angeli wychodził z sypialni. Judd poczuł, że ogarnia go gniew.

– Co robicie w moim mieszkaniu?

– Czekamy na pana – odparł McGreavy.

Judd podszedł do niego i zatrzasnął szufladę, o mało nie przycinając policjantowi palców.

– Jak się tu dostaliście?

– Mamy nakaz – powiedział Angeli.

Judd spojrzał na niego z bezgranicznym zdziwieniem.

– Nakaz rewizji? Mojego mieszkania?

– Może to raczej my będziemy zadawali pytania, doktorze – odrzekł McGreavy.

– Nie musi pan nanie odpowiadać pod nieobecność adwokata – wtrącił się Angeli. – Powinien pan także wiedzieć, że wszystko, co pan od tej chwili powie, może być użyte przeciwko panu.

– Chce pan zadzwonić do jakiegoś prawnika? – zapytał McGreavy.

– Nie potrzebuję obrońcy. Powiedziałem wam, że sztormiak

pożyczyłem Johnowi Hansonowi po jego rannej wizycie. Ponownie zobaczyłem płaszcz dopiero po południu, kiedy przynieśliście go do mojego gabinetu. I nie mogłem zabić Hansona. Przez cały dzień miałem pacjentów. Panna Roberts może to potwierdzić.

Policjanci wymienili spojrzenia.

– Gdzie pan poszedł po wyjściu z gabinetu dzisiaj po południu? – zapytał Angeli.

– Zobaczyć się z panią Hanson.

– To wiemy – powiedział McGreavy. – Ale później. Judd zawahał się.

– Jeździłem tu i ówdzie.

– Może zatrzymał się pan gdzieś, żeby nabrać benzyny – podsunął mu Angeli.

– Nie – odparł Judd. – Nie zatrzymywałem się. Co za różnica, gdzie” poszedłem dzisiaj po południu. Hansona zabito rano.

– Czy wrócił pan jeszcze potem do gabinetu? – zapytał jakby od niechcienia McGreavy.

– Nie – powiedział Judd. – Dlaczego?

– Ktoś się tam włamał.

– Po co? Kto?

– Nie wiemy – odparł porucznik. – Prosiłbym, żeby pan pojechał tam z nami i rozejrzał się. Chcielibyśmy ustalić, czy nic nie zginęło.

– Oczywiście – zgodził się Judd. – Kto zgłosił włamanie?

– Nocny portier – powiedział Angeli. – Czy trzyma pan u siebie coś wartościowego, doktorze? Pieniądze? Narkotyki? Cokolwiek w tym rodzaju?

– Drobne pieniądze – odpowiedział Judd. – Żadnych uzależniających

lekarstw. Nie ma tam nic, co byłoby warte kradzieży. Cała historia wydaje się bezsensowna.

– Właśnie – zgodził się McGreavy. – Chodźmy.

W windzie Eddie spojrział na Judda przeprasząco. Ich oczy spotkały się i doktor skinął głową ze zrozumieniem.

Przecież – myślał Judd – policja nie może podejrzewać, że włamałem się do własnego gabinetu. Wyglądało to tak, jakby McGreavy próbował go w coś zrobić z powodu swego nieżyjącego partnera. Ale tamta sprawa wydarzyła się pięć lat temu. Czy to możliwe, że policjant przez ten cały czas winił doktora? I czekał na możliwość zemsty?

Kilka kroków od wejścia do budynku stał nieoznakowany policyjny samochód. Wsiedli i jechali w milczeniu.

Niebawem znaleźli się pod domem, w którym znajdował się jego gabinet, i weszli do środka. Judd wpisał się do rejestru osób wchodzących. Bigelow, strażnik, patrzył na niego dziwnym wzrokiem. A może tak mu się tylko zdawało.

Wjechali na piętnaste piętro i ruszyli korytarzem w stronę gabinetu Judda. Przy drzwiach stał policjant ubrany po cywilnemu. Skinął głową McGreavy'emu i odszedł na bok. Judd sięgnął po klucz.

– Drzwi są otwarte – poinformował go Angeli. Pchnął je i Judd jako pierwszy wszedł do środka.

W poczekalni panował niesamowity bałagan. Wszystkie szuflady z biurek były powyciągane, sterty papierów rozwłóczone po całej podłodze. Judd patrzył z niedowierzaniem, czuł się tak, jakby to na nim dokonano gwałtu.

– Jak pan myśli, doktorze, czego szukali? – zapytał McGreavy.

– Nie mam pojęcia – odparł Judd.

Podszedł do drzwi łączących poczekalnię z gabinetem i otworzył je. McGreavy wręcz deptał mu po piętach.

W tym pokoju także panował potworny bałagan: poprzewracane stoły, rozbita lampa na podłodze, dywan przesiąknięty krwią.

W najdalszym rogu pokoju leżało w groteskowej pozie ciało Carol Roberts. Była naga. Ręce związane jej na plecach za pomocą struny od pianina, a twarz, piersi i krocze oblano kwasem. Palce prawej dłoni miała połamane, twarz posiniaczoną i spuchniętą. W usta wepchnięto jej zwiniętą chusteczkę.

Obaj detektywi uważnie obserwowali, jak Judd zareaguje na widok ciała.

– Zbladł pan – powiedział Angeli. – Proszę usiąść.

Judd potrząsnął głową i kilka razy głęboko odetchnął. Kiedy się odezwał, głos drżał mu z wściekłości. – Kto... kto to zrobił?

– To właśnie chcemy usłyszeć od pana, doktorze Stevens – odpowiedział mu McGreavy.

Judd spojrzał na niego.

– Nikt nie mógłby zrobić Carol czegoś takiego. Ona nigdy nikogo nie skrzywdziła.

– Chyba już czas, żeby zaczął pan śpiewać na inną nutę – powiedział McGreavy. – Nikt nie chciał zranić Hansona, ale ktoś wbił mu nóż w plecy. Nikt nie chciał niczego zrobić Carol, ale polali ją kwasem i zamęczyli na śmierć. – Jego głos zabrzmiał nagle twardo. – A pan tu stoi i opowiada, że nikt nie mógł życzyć im niczego złego. Co się z panem, u diabła, dzieje: jest pan głuchy, głupi i ślepy? Ta dziewczyna pracowała dla

pana od czterech lat. A pan jest psychoanalitykiem. I próbuje mi pan wmówić, że się pan nianie interesował i nie wiedział nic o jej życiu osobistym?

– Oczywiście, że się interesowałem – odparł Judd przez zaciśnięte zęby. – Miała chłopaka, za którego zamierzała wyjść za mąż...

– Chick. Już z nim rozmawialiśmy.

– Ale on nigdy by czegoś takiego nie zrobił. To porządny chłopak i bardzo ją kochał.

– Kiedy ostatni raz widział pan Carol żywą? – zapytał Angeli.

– Już wam mówiłem. Zostawiłem ją tutaj i pojechałem zobaczyć się z panią Hanson. Poprosiłem Carol, żeby zamknęła gabinet. Głos mu się załamał. Odetchnął głęboko czując ucisk w piersiach.

– Czy miał pan dzisiaj przyjmować jeszcze jakichś pacjentów?

– Nie. ‘

– Czy pana zdaniem mogła to być robota szaleńca? – zapytał Angeli.

– To musiał być ktoś chory psychicznie. Ale nawet oni kierują się jakimiś motywami.

– Zawsze byłem takiego zdania – powiedział McGreavy. Judd przeniósł spojrzenie na ciało Carol. Wyglądała jak zniszczona szmaciana lalka, bezużyteczna i porzucona.

– Jak długo będzie tak leżała? – zapytał gniewnie.

– Zaraz ją zabiorą – odpowiedział Angeli. – Koroner i chłopcy z Wydziału Zabójstw właśnie skończyli pracę.

Judd odwrócił się do McGreavy’ego.

– Zostawiliście ją tak specjalnie dla mnie?

– Tak – potwierdził McGreavy. – I pytam pana ponownie: czy jest tu

coś, czego ktoś mógłby tak bardzo pragnąć, żeby – tu wskazał na Carol – to zrobić?

– Niczego takiego nie ma.

– A rejestry pacjentów z opisami chorób nie mogłyby nam pomóc?

– Nie – Judd potrząsnął głową.

– Nie za bardzo pan chętny do współpracy, doktorze, prawda? – zapytał McGreavy.

– Myślicie, że nie chcę, byście złapali tego, kto to zrobił? – Zachnął się Judd. – Gdyby w moich papierach było cokolwiek, co mogłoby naprowadzić was na ślad, powiedziałbym wam o tym. Znam moich pacjentów. Nie ma wśród nich ani jednej osoby, która byłaby zdolna zabić Carol. To zrobił ktoś obcy.

– Skąd pan wie, że ta osoba nie szukała czegoś w rejestrach chorób?

– Ponieważ są nietknięte.

McGreavy spojrzał na niego z nagłym zainteresowaniem.

– Jest pan pewien? Przecież nic pan nie sprawdził.

Judd podszedł do przeciwległej ściany. Na oczach obu mężczyzn przycisnął dolną część boazerii i ściana przesunęła się, odsłaniając wbudowane półki. Rząd za rzędem wypełniały je kasety magnetofonowe.

– Nagrywam każdą rozmowę z każdym pacjentem – powiedział psychoanalityk. – I trzymam kasety tutaj.

– Może torturowali Carol, żeby powiedziała im, gdzie są kasety?

– Na kasetach nie ma nic, co miałoby dla kogoś jakąś wartość.

Morderca musiał mieć inny motyw.

Judd spojrzał znowu na pokiereszowane ciało Carol. Poczł bezradność, jednocześnie ogarnęła go furia.

– Musicie znaleźć człowieka, który to zrobił!

– Mamy taki zamiar – odparł McGreavy. Patrzył uważnie na Judda.

Ulica przed budynkiem, w którym mieścił się gabinet Judda, była całkiem opustoszała. Tylko wiatr hulał między domami. McGreavy polecił Angelemu odwieźć doktora do domu.

– Ja mam jeszcze coś do załatwienia – powiedział, a zwracając się do psychoanalityka dodał: – Dobrej nocy, doktorze.

Judd przyglądał się potężnej, ociężałej postaci oddalającej się ulicą.

– Jedźmy – powiedział Angeli. – Przemarzęm na kość. Lekarz wsunął się na przednie siedzenie obok policjanta i ruszyli.

– Muszę zawiadomić o tym rodzinę Carol – odezwał się Judd.

– Już tam byliśmy.

Judd kiwnął głową ze znużeniem. Mimo wszystko chciał się z nimi zobaczyć, ale w tej sytuacji nie musiał się z wizytą bardzo spieszyć.

Jechali w milczeniu. Judd zastanawiał się, jakąż to sprawę do załatwienia mógł mieć tuż nad ranem porucznik McGreavy.

Jakby czytając w jego myślach, Angeli powiedział:

– McGreavy to dobry gliniarz. Uważa, że Ziffren powinien dostać krzesło elektryczne za zabicie jego partnera.

– Ziffren był niepoczytalny.

– Muszę wierzyć panu na słowo, doktorze.

A McGreavy nie uwierzył, pomyślał Judd. Powrócił myślą do Carol. Była taka bystra, tak oddana jemu i pracy, i tak dumna z tego, co osiągnęła. Nagle zorientował się, że Angeli coś do niego mówi i że dojechali już na miejsce.

Pięć minut później był w swoim mieszkaniu. O śnie nawet nie myślał.

Nalał do szklanki brandy. Przypomnił sobie tę noc, kiedy Carol wkroczyła tu naga i piękna, i przywarła do niego swym ciepłym, gibkim ciałem. Udawał chłodnego i obojętnego, ponieważ wiedział, że tylko wtedy zdoła jej pomóc. Nie zdawała sobie nawet sprawy, ile siły woli potrzebował, by nie pójść z nią do łóżka. A może jednak wiedziała? Wypił brandy jednym haustem.

Miejska kostnica wyglądała tak, jak wygląda każda miejska kostnica o trzeciej nad ranem, z tą różnicą, że ktoś położył wianek z jemioly pod drzwiami. Ktoś, pomyślał McGreavy, kto albo przesadnie przejął się świątecznym nastrojem, albo miał makabryczne poczucie humoru.

McGreavy czekał niecierpliwie w korytarzu na zakończenie sekcji. Kiedy koroner przywołał go skinieniem ręki, wszedł do oświetlonego jarzeniówkami pomieszczenia, gdzie nawet żywi wyglądali na ciężko chorych. Koroner szorował ręce nad wielkim białym zlewem. Był to drobny człowieczek, przypominający ptaka, o wysokim, szczebioczącym głosie i szybkich, nerwowych ruchach. Odpowiadał na wszystkie pytania McGreavy'ego krótkimi, gwałtownymi zdaniami, a potem milkł. Porucznik pozostał w kostnicy jeszcze kilka minut, porządkując w myślach wszystko, czego się właśnie dowiedział. A potem wyszedł w lodowatą noc. Chciał złapać taksówkę, ale nie było ich ani na lekarstwo. Te skurwysyny kierowcy odpoczywają pewnie spokojnie na Bermudach. Mógł sobie tak stać, aż mu nogi przymarzną do chodnika. Zauważył policyjny wóz patrolowy, zatrzymał go, wylegitymował się nowicjuszowi za kółkiem i kazał zawieźć do dziewiętnastego komisariatu. To było wbrew przepisom, ale pal diabli, zapowiadała się długa noc.

Kiedy McGreavy wszedł do komisariatu, Angeli już tam na niego czekał.

– Właśnie zakończyli sekcję Carol Roberts – powiedział porucznik.

– I?

– Była w ciąży.

Angeli spojrzał zdziwiony.

– Ponad trzy miesiące. Za późno na bezpieczną aborcję, za wcześnie, by było widać.

– Myślisz, że to ma coś wspólnego z morderstwem?

– Dobre pytanie – odparł McGreavy. – Jeśli dzieciaka zmagstrował chłopak Carol, nie było problemu, bo i tak mieli się pobrać. Wzięliby ślub i za parę miesięcy zjawiłby się malec. Coś takiego ciągle się zdarza. Z drugiej strony, jeśli ktoś zrobił jej dziecko, ale nie chciał się z nią ożenić – to też świat by się nie zawalił. Miałaby dzieciaka bez męża. To zdarza się równie często.

– Przecież rozmawialiśmy z Chickiem. Chciał się z nią ożenić.

– Właśnie – odparł McGreavy. – Zadajmy sobie więc pytanie, dokąd nas to prowadzi. Mamy kolorową dziewczynę w ciąży. Ona idzie z wielką nowiną do przyszłego tatusia, a on ją morduje.

– Musiałby być wariatem.

– Albo było mu to nie na rękę. Stawiałbym na niezadowolonego. Spójrz na to w ten sposób: powiedzmy, że Carol poszła do kochanka ze złą nowiną i na dodatek oświadczyła, że nie zamierza usunąć dziecka. Pragnie je mieć. Może chciała go w ten sposób zmusić do małżeństwa. Ale przypuśćmy, że on nie może się na to zgodzić, bo już jest żonaty albo to biały mężczyzna. Na przykład znany lekarz z szeroką praktyką. Gdyby coś

takiego wyszło na jaw, byłby skończony. Kto, u diabła, leczyłby się u psychologa, który zrobił dziecko czarnej recepcjonistce i musiał się z nią ożenić?

– Stevens jest lekarzem – powiedział Angeli. – Mógł ją zabić na dziesiątki różnych sposobów, nie wzbudzając podejrzeń.

– Może tak – McGreavy wyraźnie nie był przekonany – a może nie. Gdyby padł na niego choć cień podejrzenia, nie wywinąłby się z tego tak łatwo. Kupuje truciznę – ktoś to notuje. Kupuje linę lub nóż – też można wpaść. Ale przyjrzyjmy się takiemu małemu zgrabnemu scenariuszowi. Jakiś maniak zjawia się bez powodu, morduje recepcjonistkę, a porażony bólem pracodawca domaga się od policji, by złapała mordercę.

– To wygląda raczej na scenariusz filmowy.

– Jeszcze nie skończyłem. Weź jego pacjenta, Johna Hansona. Kolejne bezsensowne morderstwo, którego sprawcą jest również nieznany szaleniec. Powiem ci coś, Angeli. Nie wierzę w przypadki. A po dwóch przypadkach tego samego dnia staję się nerwowy. Więc zadaję sobie pytanie, jaki może być związek między śmiercią Johna Hansona i Carol Roberts, i nagle nic nie wydaje się tak do końca przypadkowe. Załóżmy, że Carol weszła do gabinetu i wykrzyczała nowinę, że doktorek ma zostać tatusiem. Zaczęli się kłócić, a ona spróbowała szantażu. Może zażądała, by się z nią ożenił, a może, żeby dał pieniądze – cokolwiek. John Hanson w tym czasie czeka na wizytę i słyszy kłótnię, a gdy trafia już na kanapę, grozi Stevensowi, że wszystko rozgłosi. Może próbował w ten sposób zmusić doktorka, żeby poszedł z nim do łóżka?

– To tylko gdybanie.

– Ale układa się w logiczną całość. Kiedy Hanson wyszedł, doktorek

wymknął się za nim i załatwił go tak, by nie mógł nic wypaplać. Potem wrócił i pozbył się Carol. Oba morderstwa upozorował na robotę szaleńca, potem pojechał zobaczyć się z panią Hanson i powłóczył trochę po Connecticut. Rozwiązał swój problemik. Teraz siedzi sobie spokojniutko, a policja może się załatać na śmierć, szukając jakiegoś nieznanego świra.

– Nie kupuję tego – odparł Angeli. – Próbujesz zbudować oskarżenie bez cienia konkretnego dowodu?

– Co rozumiesz przez „konkretny”? – zapytał McGreavy. – Mamy dwa ciała. Jedno ciężarnej damy, która pracowała dla Stevensa. Drugie pacjenta, zamordowanego o przecznicę od jego gabinetu. Przychodził się leczyć, ponieważ był homoseksualistą. Kiedy chciałem przesłuchać taśmy z jego wizyt, Stevens mi nie pozwolił. Dlaczego? Kogo ochrania nasz doktorek? Pytałem, czy ktoś mógłby się tam włamać, bo czegoś szukał. Wtedy może dałoby się wysmażyć jakąś zgrabną teoryjkę, że dziewczyna przyłapała włamywaczy, a oni torturowali ją, starając się dowiedzieć, gdzie znajduje się to tajemnicze coś. Ale dowiedzieliśmy się, że w gabinecie nie ma nic r wartościowego, taśmy też nie są warte złamanego grosza. Stevens nie trzyma tam narkotyków. Ani pieniędzy. Więc szukamy jakiegoś cholernego maniaka, tak? Tyle tylko, że ja się na to nie dam nabrać. Myślę, że szukamy doktora Judda Stevensa.

– Uważam, że go wrabiasz – powiedział spokojnie Angeli. Twarz McGreavy’ego poczerwieniała z wściekłości.

– On jest winny.

– Zamierzasz go aresztować?

– Zamierzam podać doktorkowi linę – odparł porucznik. – A kiedy sam ją sobie zarzuci na szyję, wyciągnę każdą brudną tajemnicę. Kiedy go

przyspiałę, to już na dobre. – McGreavy odwrócił się i wyszedł.

Angeli spoglądał za nim w zamyśleniu. Musi coś zrobić, w przeciwnym razie jego partner załatwi doktora w trybie przyspieszonym. Nie mógł na to pozwolić. Postanowił porozmawiać rano z kapitanem Bertellim.

Rozdział 4

Nagłówki porannych gazet informowały o sensacyjnym, poprzedzonym torturami, morderstwie Carol. Judda kusilo, by odwołać spotkania, które miał umówione na ten dzień. Po nieprzespanej nocy piekły go oczy, a powieki ciążyły. Ale kiedy sprawdził listę pacjentów, stwierdził, że dwojgu mogłoby to poważnie zaszkodzić, troje poczułoby poważny zawód, pozostałych mógł sobie darować. Uznał, że najrozsądniej będzie nie zmieniać swego normalnego rozkładu zajęć po trosze ze względu na pacjentów, a po trosze na niego samego. Za najlepszą terapię uznał oderwanie myśli od minionych wydarzeń.

Gdy zjawił się rano w pracy, korytarz już wypełniali dziennikarze, reporterzy telewizyjni i fotoreporterzy. Odmówił wpuszczenia ich i złożenia jakiegokolwiek oświadczenia, aż wreszcie udało mu się ich pozbyć. Wolno i z drzeniem otwierał drzwi do gabinetu. Ale dywan z plamą krwi został już usunięty, a pozostałe przedmioty poustawiane na swoich miejscach. Pokój wyglądał normalnie, tyle że już nigdy nie wejdzie do niego uśmiechnięta i pełna życia Carol.

Judd usłyszał odgłos otwieranych drzwi do poczekalni. Zjawił się pierwszy pacjent.

Harrisorr Burke był dystyngowanym mężczyzną ze srebrną grzywą włosów. Wyglądał jak prototyp biznesmena działającego na wielką skalę, którym zresztą, jako wiceprezes Międzynarodowej Korporacji Stali, był. Kiedy Judd zobaczył Burke a po raz pierwszy, zastanawiał się, czy to on wykreował stereotyp, czy raczej stereotyp wykreował jego. Postanowił, że

pewnego dnia napisze książkę o utrwalonych wizerunkach przedstawicieli różnych zawodów i ich znaczeniu. Lekarz przy łóżku chorego, adwokat na sali sądowej, aktorka na scenie – powszechnie akceptowany był raczej zewnętrzny pozór niż wartość jednostki.

Burke położył się na kanapie i Judd skupił na nim całą uwagę. Wiceprezesa przysłał do niego dwa miesiące temu doktor Peter Hadley. Po dziesięciu minutach rozmowy Judd już wiedział, że Harrison Burke jest paranoikiem ze skłonnościami morderczymi. Poranne gazety pełne były opisów morderstwa, które zdarzyło się w tym właśnie pokoju poprzedniej nocy, ale Burke nawet o tym nie wspomniał. Typowe dla jego stanu. Był nastawiony wyłącznie na siebie.

– Nie wierzyłeś mi wcześniej – powiedział Burke – ale teraz mam dowód, że na mnie czyhają.

– Wydaje mi się, że postanowiliśmy być otwarci na różne rozwiązania – odparł ostrożnie Judd. – Przecież wczoraj zgodziliśmy się, że wyobraźnia może grać...

– To nie jest moja wyobraźnia! – krzyknął Burke. Usiadł zaciskając dłonie w pięści. – Oni próbują mnie zabić!

– Może byś się położył i postarał zrelaksować? – zaproponował łagodnie Judd.

Burke zerwał się na równe nogi.

– Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia? Nawet jeszcze nie usłyszałeś, jaki mam dowód! – Jego oczy zwężyły się w szparki. – Skąd mogę wiedzieć, że nie jesteś jednym z nich?

– Wiesz, że nie – powiedział Judd. – Jestem twoim przyjacielem. Staram się pomóc ci. – Poczł ukłucie zawodu. Wszystko, co osiągnęli

przez minione miesiące, poszło na marne. W tej chwili spoglądał na tego samego przerażonego paranoika, który dwa miesiące temu po raz pierwszy wszedł do jego gabinetu.

Burke rozpoczął pracę w Korporacji Stali jako goniec. Przez dwadzieścia pięć lat, dzięki swej wyjątkowej powierzchowności i miłemu usposobieniu, pisał się po szczeblach kariery prawie na sam szczyt. Pozostał mu jeszcze jeden krok do prezesury. I właśnie wtedy, cztery lata temu, jego żona i trójka dzieci zginęli w płomieniach podczas pożaru ich letniego domu w Southampton. Burke był w tym czasie z kochanką na Wyspach Bahama. Nikt nie uświadamiał sobie, jak mocno przeżył tę tragedię. Wychowany w rodzinie praktykujących katolików nie potrafił poradzić sobie z poczuciem winy. Pogrzeżył się w żałobie i przestał spotykać z przyjaciółmi. Przesiadywał wieczorami w domu, wyobrażając sobie agonię żony i dzieci ginących w płomieniach, jednocześnie inna część jego umysłu podsuwała mu widok samego siebie w łóżku z kochanką. To było jak film nieustannie wyświetlany w jego mózgu. Poczował się do całkowitej odpowiedzialności za śmierć rodziny. Przecież, gdyby był na miejscu, na pewno by ich uratował. Ta myśl nie opuszczała go ani na chwilę. We własnych oczach stał się potworem. On o tym wiedział i Bóg również. Na pewno też zorientowali się inni. Musieli nienawidzić go równie mocno, jak on nienawidził samego siebie. Ludzie uśmiechali się i udawali przyjazne uczucia, a czekali tylko, by się odsłonił. Chcieli go złapać w pułapkę. Ale on był na to za sprytny. Przestał chodzić na posiłki do biurowej stołówki, jadał lunch w czterech ścianach własnego gabinetu. Unikał wszystkich, jak się tylko dało.

Dwa lata temu, kiedy przyszła pora na mianowanie nowego prezesa,

pominięto Harrisona Burke'a i zatrudniono kogoś z zewnątrz. Rok później zwolniło się miejsce wicedyrektora. Posadę otrzymał człowiek stojący w hierarchii służbowej niżej od Burke'a. Teraz już miał swój dowód na istnienie zmywy przeciwko niemu. Zaczął szpiegować otaczających go ludzi. Nocami podkładał magnetofony do biur innych wysokich urzędników. Sześć miesięcy temu przyłapano go na tym. Nie został natychmiast zwolniony tylko dlatego, że tak długo pracował w firmie i miał wysoką pozycję.

Prezes Korporacji pragnąc mu dopomóc i zmniejszyć nieco napięcie, zaczął ograniczać jego kompetencje. Tym jeszcze bardziej upewnił Burke'a, że jest prześladowany. Oni boją się go, bo jest od nich sprytniejszy. Gdyby to on został prezesem, wszyscy straciliby swe ciepłe posadki, ponieważ są zbyt głupi. Zaczął popełniać coraz więcej błędów. Kiedy uświadamiano mu, co zrobił, nie przyjmował krytyki. Ktoś celowo zmieniał jego raporty, przestawiał liczby i plątał statystyki, starając się go zdyskredytować. Wkrótce uświadomił sobie, że nie tylko ludzie z Korporacji sprzysięgli się przeciwko niemu. Poza nią też roiło się od szpiegów. Był śledzony nieustannie. Założyli podsłuch na jego linii telefonicznej, czytali jego korespondencję. Bał się jeść, bo mogli go otruć. Jego waga alarmująco spadła. Zaniepokojony prezes Korporacji zaaranżował spotkanie z doktorem Peterem Hadleyem i dopilnował, by Burke się na nim zjawiał. Po półgodzinnej rozmowie z pacjentem Hadley zatelefonował do Judda, którego terminarz był już w tamtym czasie wypełniony po brzegi. Kiedy jednak Peter powiedział, jak poważnie wygląda sprawa, Judd, choć z oporami, zgodził się przyjąć Burke'a.

Teraz pacjent leżał na wznak na pokrytej adamaszkiem kanapie, z

rękami ułożonymi po bokach i mocno zaciśniętymi pięściami.

– Powiedz mi, co to za dowód.

– Ostatniej nocy włamali się do mojego domu. Przyszli mnie zabić. Ale ja jestem dla nich za sprytny. Teraz sypiam w gabinecie i założyłem na drzwiach dodatkowe zamki, żeby nie mogli się do mnie dostać.

– Czy zgłosiłeś włamanie policji? – zapytał Judd.

– Oczywiście, że nie! Policja trzyma z nimi. Mają polecenie mnie zabić. Ale nie ośmielą się, kiedy wokół są ludzie, więc chodzę tam, gdzie jest tłum.

– Cieszę się, że mi to powiedziałeś – rzekł Judd.

– Jak wykorzystasz tę informację? – skwapliwie zapytał Burke.

– Słucham uważnie wszystkiego, co mi mówisz – stwierdził Judd. Wskazał na magnetofon. – Mam to wszystko na taśmie. Gdyby cię zabili, będzie tam twoja wypowiedź o spisku.

Twarz Burke'a rozjaśniła się.

– Na Boga, to świetnie! Taśma! – wykrzyknął zrywając się na równe nogi. – To ich naprawdę załatwi!

– Może byś się jednak położył – zaproponował Judd. Burke skinął głową i osunął się na kanapę. Zamknął oczy.

– Jestem zmęczony. Od miesiący nie spałem. Nie śmiem nawet się zdrzemnąć. Ty nie wiesz, jak to jest, kiedy ktoś chce cię dopaść.

Nie wiem? – Judd pomyślał o McGreavym.

– Czy chłopak, który ci pomaga w domu, słyszał odgłosy włamania? – zapytał.

– Nie mówiłem ci? – zdziwił się Burke. – Zwolniłem go dwa tygodnie temu.

Judd błyskawicznie odtworzył w myślach przebieg ich ostatnich sesji. Nie dalej jak trzy dni temu pacjent opisał kłótnię z pomocnikiem. A więc jego poczucie czasu uległo zachwianiu.

– Chyba o tym nie wspominałeś – powiedział Judd niedbale. – Jesteś pewien, że zwolniłeś go dwa tygodnie temu?

– Ja się nie mylę – zachnął się Burke. – W przeciwnym razie jak mógłbym zostać wiceprezesem jednej z największych korporacji świata? Mam wyjątkowy mózg, doktorze, proszę o tym nie zapominać.

– Dlaczego go zwolniłeś?

– Próbował mnie otruć. – Czym?

– Wsypał arsenik do jajecznicy na szynce.

– Spróbowałaś?

– Oczywiście, że nie – oburzył się Burke.

– To skąd wiesz, że jedzenie było zatrute?

– Czuję zapach trucizny.

– Co mu powiedziałaś?

Na twarzy Burke'a pojawił się uśmiech satysfakcji.

– Nic nie powiedziałem. Zbiłem go na kwaśne jabłko. Judd poczuł, jak ogarnia go przygnębienie. Gdyby miał dość czasu, mógłby pomóc Harrisonowi Burke. Ale ten czas już się skończył. W psychoanalizie zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że przy wywołaniu strumienia wolnych skojarzeń wąska warstewka przerwie się, pozwalając na wymknięcie się spod kontroli wszystkich prymitywnych namiętności i emocji, stłoczonych w umkowitzoży wtkoN JiiżŚwŚam Ci w iprhoanapor w

nienawiść. Wydawało się, że stan chorego poprawia się z każdą wizytą, już zgadzał się z Juddem, że nie istnieje żaden spisek, tylko po prostu on sam jest przepracowany i emocjonalnie wykończony. Lekarz miał wrażenie, że prowadzi Burke'a do punktu, od którego możliwa będzie głęboka analiza i dotarcie do korzeni problemu. Ale okazało się, że chory przez cały czas go okłamywał. Sprawdzał Judda, czy ten nie jest jednym ze spiskowców. Harrison Burke był chodzącą bombą z opóźnionym zapłonem, która mogła eksplodować w każdej chwili. Nie miał nikogo z rodziny, kogo można byłoby o tym powiadomić. Może Judd powinien zadzwonić do prezesa Korporacji i o wszystkim mu opowiedzieć? Jednak w jednej chwili zniszczyłoby to przyszłość pacjenta, który musiałby zostać zamknięty w zakładzie. Czy diagnoza Stevensa, że Burke to paranoik o potencjalnych skłonnościach morderczych, jest właściwa? Wolałby zapoznać się z czyjąś niezależną opinią na ten temat, zanim powiadomi jego przełożonych, ale Burke nie zgodzi się na spotkanie z innym lekarzem. Judd wiedział, że decyzja należy tylko do niego.

– Harrison, chciałbym, żebyś mi coś obiecał – poprosił.

– O co chodzi? – zapytał niespokojnie Burke.

– Skoro oni spiskują przeciwko tobie, to na pewno spróbują sprowokować cię do jakiegoś gwałtownego czynu, żeby cię potem zamknąć... Ale ty jesteś za sprytny dla nich. Żeby nie wiem jak cię prowokowali, obiecaj mi, że nic im nie zrobisz. W ten sposób nie będą mogli cię dopaść.

Oczy Burke'a rozbłysły.

– Na Boga, masz rację! – wykrzyknął. – Więc taki jest ich plan. Ale my jesteśmy od nich sprytniejsi.

Judd usłyszał odgłos otwieranych drzwi do recepcji. Spojrzał na zegarek. Przyszedł następny pacjent. Judd wyłączył magnetofon.

– Myślę, że skończyliśmy na dzisiaj – oznajmił.

– Nagrywasz wszystko, co tu mówimy? – zapytał Burke z ożywieniem.

– Każde słowo – odpowiedział Judd. – Nikt cię nie skrzywdzi. – Zawahał się. – Myślę, że nie powinieneś iść dzisiaj do pracy. Może odpocząłbyś trochę w domu?

– Nie mogę – wyszeptał Burke, a w jego głosie przebijała rozpacz. – Gdybym nie przyszedł do biura, zdjęliby z drzwi tabliczkę z moim nazwiskiem i zastąpili inną. – Pochylił się w stronę Judda. – Uważaj. Jeśli dowiedzą się, że jesteś moim przyjacielem, ciebie też będą starali się dopaść. – Burke podszedł do drzwi. Uchylił je odrobinę i wyjrzał na korytarz, po czym szybko wymknął się z pokoju.

Judd spoglądał za nim, czując ból na myśl, co będzie musiał zrobić. Może gdyby pacjent zjawił się u niego sześć miesięcy wcześniej... Wtem zmroziła go nagła myśl. Czy Harrison Burke już nie stał się mordercą? Czy mógł być odpowiedzialny za śmierć Johna Hansona i Carol Roberts? Zarówno Burke, jak i Hanson byli pacjentami. To, że się spotkali, było bardzo prawdopodobne. Kilkakrotnie w ciągu minionych miesięcy wizyty Burke'a następowały po sesjach Hansona. A Burke często się spóźniał. Jeśli natknął się na Hansona w korytarzu, kilka kolejnych spotkań mogło obudzić jego paranoję, wpoić przekonanie, że Hanson go śledzi, że mu zagraża. Jeśli zaś chodzi o Carol, Burke widział ją za każdym razem, kiedy przychodził do gabinetu. Czy w jego chorym umyśle załęgło się przekonanie, że zagrożenie zniknie dopiero z jej śmiercią? Jak długo Burke był psychicznie chory? Jego żona i dzieci zginęły podczas

przypadkowego pożaru. Przypadek? Musi to sprawdzić.

Podszedł do drzwi prowadzących do recepcji i otworzył je.

– Proszę – powiedział.

Anna Blake wstała z wdziękiem i ruszyła w jego stronę. Twarz rozświetlał jej ciepły uśmiech. Judd poczuł to samo drgnięcie serca, co przy pierwszym spotkaniu. Po raz pierwszy od śmierci Elizabeth żywiej zainteresował się inną kobietą.

Wcale nie były do siebie podobne. Drobna Elizabeth miała jasne włosy i niebieskie oczy. Wysoka, o pięknej, kobiecej figurze Anna Blake była szatynką o niezwykłych fioletowych oczach w oprawie czarnych długich rzęs. Od razu wyczuwało się jej żywą inteligencję. Jej chłodna, klasyczna, wręcz patrycjuszowska uroda sprawiała wrażenie niedostępności, któremu jednak przeczyło ciepłe spojrzenie. Mówiła głosem niskim i łagodnym, jakby nieco ochryłym.

Anna miała około dwudziestu pięciu lat i niewątpliwie była najpiękniejszą kobietą, jaką Judd w życiu widział. Ale przyciągało go poza urodą coś jeszcze. Jakaś prawie fizyczna siła pchała go ku niej, niewytłumaczalne przekonanie, że zna ją od zawsze. Uczucia, które uznał za dawno pogrzebane, wydobyły się znowu na powierzchnię, zaskakując go swoją intensywnością.

Pojawiła się w gabinecie Judda nieumówiona, trzy tygodnie temu. Carol tłumaczyła, że doktor ma całkowicie wypełniony terminarz i naprawdę nie może przyjąć jakiegokolwiek nowego pacjenta. Ale Anna spokojnie zapytała, czy nie mogłaby zaczekać. Siedziała w poczekalni przez dwie godziny i Carol wreszcie zrobiło się jej żal, więc zaprowadziła kobietę do Judda. Jego emocjonalna reakcja była tak silna, że później

nawet nie pamiętał, co powiedziała w czasie pierwszych kilku minut. Wiedział tylko, że poprosił, by usiadła. Przedstawiła mu się jako Anna Blake. Mężatka, nie pracuje. Judd zapytał, jaki problem przywiódł ją do jego gabinetu. Zawahała się i odpowiedziała, że nie jest tego pewna, nie jest nawet do końca przekonana, że problem istnieje. Ma przyjaciela lekarza, to on zarekomendował Judda jako najwybitniejszego psychoanalityka w całym kraju, ale kiedy Judd zapytał o nazwisko tego doktora, nie odpowiedziała. Równie dobrze mogła znaleźć nazwisko Stevensa w książce telefonicznej.

Próbował jej wyjaśnić, że każdy dzień wypełniony ma wizytami pacjentów i po prostu nie jest w stanie przyjąć nikogo nowego. zaproponował, że poda jej nazwiska kilku godnych polecenia kolegów po fachu. Ale Anna spokojnie upierała się, że to on mają leczyć. I w końcu Judd zgodził się. Wyglądała na osobę zupełnie normalną, tylko nieco zdenerwowaną. Dlatego też był przekonany, że jej problem nie jest poważny i zostanie rozwiązany szybko. Złamał swoją zasadę przyjmowania tylko tych pacjentów, których przysyłałi mu inni lekarze, i zrezygnował z godziny lunchu, by zająć się Anną. Już prawie miesiąc zjawiała się u niego dwa razy w tygodniu, ale Judd nadal wiedział o niej równie mało co po pierwszej wizycie. Natomiast o sobie dowiedział się nieco więcej. Był zakochany – po raz pierwszy od śmierci Elizabeth.

Podczas pierwszej sesji zapytał ją, czy kocha swego męża. Nienawidził sam siebie za to, że pragnie usłyszeć zaprzeczenie. Ale odpowiedziała spokojnie:

– Tak. To dobry człowiek. I bardzo silny.

– Jak pani myśli, czy reprezentuje on postać ojca? – zapytał Judd.

Anna zwróciła na niego swe niezwykle fiołkowe oczy.

– Nie szukałam mężczyzny, który miałby mi zastąpić ojca. Miałam bardzo szczęśliwe dzieciństwo.

– Gdzie się pani urodziła?

– W Revere, to niewielkie miasteczko pod Bostonem.

– Czy pani rodzice nadal żyją?

– Ojciec tak. Mama umarła na atak serca, kiedy miałam dwanaście lat.

– Czy stosunki między ojcem i matką układały się dobrze?

– Tak. Bardzo się kochali.

To widać po tobie, pomyślał Judd uszczęśliwiony. Po wszystkich tych chorych i skrzywionych nieszczęśnikach obecność Anny była jak powiew wiosny.

– Ma pani rodzeństwo? – Nie. Byłam jedynaczką. Rozpieszczaną do granic możliwości – wyznała z uśmiechem. Był to otwarty, przyjacielski uśmiech bez przebiegłości czy afektacji.

Opowiedziała mu, że mieszkała za granicą z ojcem, który pracował w służbie dyplomatycznej, a kiedy powtórnie się ożenił i przeniósł do Kalifornii, ona dostała posadę w ONZ jako tłumaczka. Mówiła płynnie po francusku, włosku i hiszpańsku. Swego męża spotkała na Wyspach Bahama, gdzie spędzała wakacje. Jest właścicielem firmy budowlanej. Anna nie od razu zwróciła na niego uwagę, ale był upartym i nieustępliwym adoratorem. W dwa miesiące po tym, jak się spotkali, wzięli ślub. Od tego czasu minęło pół roku. Mieszkają w posiadłości w New Jersey.

I to było właściwie wszystko, czego Judd zdołał się o niej dowiedzieć podczas kilku wizyt. W żaden sposób nie mógł znaleźć klucza do tego, na

czym polega jej problem. Nie potrafiła o tym mówić, cierpiała na rodzaj blokady psychicznej. Pamiętał niektóre z pytań, jakie zadawał jej podczas pierwszej sesji.

– Czy ten problem związany jest z pani mężem?

Cisza.

– Czy jesteście dopasowani pod względem fizycznym?

– Tak. – W jej tonie pojawiło się zakłopotanie.

– Czy podejrzewa go pani o romans z inną kobietą?

– Nie. – Tym razem była wyraźnie rozbawiona.

– Czy ma pani romans z innym mężczyzną?

– Nie. – W głosie pojawił się gniew.

Zawahał się, usiłując znaleźć najlepszą drogę do pokonania bariery. W końcu zdecydował się przystąpić do frontalnego ataku: będzie wnikał w każdą ważną dziedzinę jej życia, aż wreszcie trafi na słaby punkt.

– Czy kłóciecie się na temat pieniędzy?

– Nie. Jest bardzo hojny.

– Jakież kłopoty z krewnymi?

– On jest sierotą. Mój ojciec mieszka w Kalifornii.

– Czy pani albo mąż jesteście uzależnieni od narkotyków?

– Nie.

– Czy podejrzewa pani, że mąż ma skłonności homoseksualne?

Niski, głęboki śmiech.

– Nie.

Naciskał dalej, bo taka była właśnie jego rola.

– Czy odbywała pani kiedyś stosunki seksualne z kobietami?

– Nie. – W głosie zabrzmiał wyrzut.

Dotknął po kolei problemu alkoholizmu, oziębłości, lęku przed ciążą – wszystkiego, co mu tylko przyszło na myśl. I za każdym razem spoglądała na niego swoimi myślącymi, inteligentnymi oczami i tylko potrząsała głową. Kiedy tylko zaczynał mocniej ją naciskać, powstrzymywała go:

– Proszę, niech pan będzie cierpliwy. Chciałabym to rozegrać po swojemu.

Gdyby chodziło o inną osobę, już dawno by zrezygnował. Ale wiedział, że jej musi pomóc. A poza tym chciał ją widywać.

Pozwalał, żeby to ona wybierała temat rozmów. W przeszłości podróżowała po wielu krajach, gdzie spotkała fascynujących ludzi. Jej umysł pracował szybko, miała specyficzne poczucie humoru. Okazało się, że lubią te same książki, tę samą muzykę, te same sztuki teatralne. Była otwarta i przyjacielska, ale nic nie wskazywało, by traktowała Judda inaczej niż tylko jako lekarza. Cóż za gorzka ironia. Podświadomie od lat poszukiwał kogoś takiego jak Anna, a kiedy ją znalazł, jego praca miała polegać na rozwiązaniu jej problemów, bez względu na to, jakie one były, i odesłaniu do męża.

Teraz, kiedy weszła do jego gabinetu, Judd przestawił krzesło bliżej kanapy, czekając, aż Anna się na niej położy.

– Nie dzisiaj – powiedziała spokojnie. – Po prostu przyszłam zapytać, czy mogłabym w czymś pomóc.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, nie potrafiąc wykrztusić ani słowa. W ciągu ostatnich dwóch dni przeżył tak silne emocje, że nieoczekiwane współczucie wytrąciło go z równowagi. Patrzył na nią i nagle poczuł niepohamowaną chęć opowiedzenia jej o wszystkim, co mu się przytrafiło. O koszmarze, który stał się jego udziałem, o McGreavym i jego

idiotycznych podejrzaniach. Ale wiedział, że nie może tego zrobić. On był lekarzem, a ona pacjentką. A nawet jeszcze gorzej. On był zakochany, a ona należała do człowieka, którego nawet nie znał.

Stała i przyglądała mu się. Skinął tylko głową, bał się odezwać, by głos nie zdradził jego uczuć.

– Bardzo lubiłam Carol – powiedziała Anna. – Dlaczego właśnie jej się to zdarzyło?

– Nie wiem – odparł Judd.

– Czy policja podejrzewa kogoś?

Owszem, pomyślał gorzko Judd. Gdyby Anna wiedziała...

Przyglądała mu się z zaciekawieniem.

– Policja ma jakieś teorie na ten temat – wydusił z siebie wreszcie.

– Domyślam się, jak strasznie musi się pan czuć. Przyszłam tylko powiedzieć, że jest mi ogromnie przykro. Nie byłam pewna, czy zastanę pana dzisiaj w pracy.

– Nie miałem zamiaru przychodzić – przyznał się Judd. – Ale... no cóż, jestem. A ponieważ jesteśmy oboje, może byśmy jednak porozmawiali o pani?

Anna zawahała się.

– Chyba już nie warto.

Judd poczuł nagły skurcz serca. Proszę, Boże, niech tylko nie powie, że już jej więcej nie zobaczę.

– W przyszłym tygodniu wyjeżdżam z mężem do Europy.

– To cudownie – udało mu się jakoś wykrztusić.

– Obawiam się, że zmarnowałam mnóstwo pańskiego czasu, doktorze Stevens, chciałam za to przeprosić.

– Proszę, nie – Judd potrząsnął głową.

Jego głos brzmiał dziwnie ochryple. Odchodziła od niego. Chociaż oczywiście nie tak to wyglądało. Zachowujesz się jak dziecko, podpowiadał mu chłodny umysł, podczas gdy żołądek skręcał się z fizycznego bólu, że ona go opuszcza. Na zawsze.

Otworzyła torebkę i wyjęła jakieś pieniądze. Miała zwyczaj płacenia gotówką po każdej wizycie, inaczej niż reszta pacjentów, którzy przysyłali mu czeki.

– Nie – powstrzymał ją szybko Judd. – Zjawiała się pani jako przyjaciel. Jestem... wdzięczny.

I dodał:

– Chciałbym, żeby przyszła pani jeszcze choć raz. – Nigdy żadnego pacjenta o coś takiego nie poprosił.

Popatrzyła na niego spokojnie.

– Dlaczego?

Ponieważ nie mogę znieść myśli, że odejdziesz, pomyślał. Ponieważ już nigdy nie spotkam kogoś takiego jak ty. Ponieważ żałuję, że nie spotkałem cię wcześniej. Ponieważ cię kocham. Ale na głos powiedział:

– Wydaje mi się, że moglibyśmy... zamknąć wszystkie sprawy. Porozmawiać chwilę i upewnić się, że naprawdę uporaliśmy się z pani problemem.

Uśmiechnęła się łobuzersko.

– Chodzi panu o to, że mam jeszcze raz się tu zjawić, by dostać zaświadczenie?

– Coś w tym rodzaju – powiedział. – Przyjdzie pani?

– Jeśli pan sobie tego życzy, to... oczywiście. – Podniosła się. –

Właściwie nie dałam panu szans. Ale i tak wiem, że jest pan wspaniałym lekarzem. Gdybym kiedyś potrzebowała pomocy, przyjdę do pana.

Wyciągnęła rękę, a on ją uścisnął. Dłoń miała mocną i ciepłą. Poczł znowu ten niezwykły dreszcz, który przebiegł między nimi. Zastanawiał się, czy ona też go czuje.

– Do zobaczenia w piątek – powiedziała.

– Do piątku.

Patrzył za nią, gdy wychodziła na korytarz, a potem zapadł w fotel. Nigdy w całym swym życiu nie czuł się tak samotny jak w tej właśnie chwili. Lecz nie mógł przecież siedzieć i po prostu czekać. Trzeba było znaleźć rozwiązanie tego wszystkiego, co się stało, i jeśli McGreavy nie zamierzał się tym zająć, on musi to zrobić, zanim porucznik go zniszczy. McGreavy podejrzewał go o popełnienie dwóch morderstw, a on nie potrafił udowodnić swojej niewinności. Sprawa wyglądała paskudnie. W każdej chwili mógł zostać aresztowany, a to pogrzebałoby na zawsze jego karierę zawodową. Kochał mężatkę, z którą miał się zobaczyć jeszcze tylko raz. Starał się spojrzeć na życie od jasnej strony. Ale nie widział niczego, co wyglądałoby dobrze.

Rozdział 5

Pozostałą część dnia przeżył, jakby znajdował się pod wodą. Kilku pacjentów nawiązywało w rozmowie do śmierci Carol, ale ci najtrudniejsi byli tak bardzo zajęci sobą, że potrafili myśleć wyłącznie o swoich problemach. Judd starał się skoncentrować uwagę na nich, ale jego myśli krążyły gdzie indziej, przez cały czas próbował odpowiedzieć na pytanie, co się właściwie wydarzyło. Wiedział, że będzie musiał później przesłuchać taśmy, by sprawdzić, czy coś mu nie umknęło podczas sesji, jakie przeprowadził tego dnia.

O siódmej, po pożegnaniu ostatniego pacjenta, Judd podszedł do barku mieszczącego się w niszy z taśmami i nalał sobie czystej szkockiej. Aż nim zatrzęśło. Nagle przypomniał sobie, że nie jadł ani śniadania, ani lunchu. Na myśl o jedzeniu zrobiło mu się niedobrze. Opadł na fotel i zaczął myśleć o obu morderstwach. W opisach chorób jego pacjentów nie było nic, co mogłoby pchnąć kogoś do zabijania. Szantażysta mógł próbować je ukraść, ale ludzie parający się szantażem są tchórzliwi, żerują na słabości innych – jeśli by nawet Carol przyłapała kogoś takiego i z tego powodu zginęła, morderstwo zostałoby popełnione szybko, nikt by jej nie torturował. Musiało być jakieś inne wytłumaczenie.

Siedział tak przez długi czas, jego umysł powoli porządkował wydarzenia minionych dwóch dni. Wreszcie Stevens westchnął zrezygnowany. Spojrzał na zegarek i zdziwił się, że zrobiło się tak późno. Zanim opuścił biuro, było już po dziewiątej.

Wyszedł z holu na ulicę i natychmiast przewiał go lodowaty wiatr.

Znowu zaczął sypać śnieg. Płatki wirując opadały z nieba, łagodnie zacierając kontury. Miasto wyglądało jak świeży obraz na płótnie, który jeszcze nie wysechł, a farba zaczynała spływać, zamieniając domy i ulice w rozwodnione plamy bieli. Wielki czerwony napis na witrynie sklepu po drugiej stronie Lexington Avenue ostrzegał:

JUŻ TYLKO SZEŚĆ DNI ZAKUPÓW DO GWIAZDKI

Gwiazdka. Stanowczo odrzucił myśl o świętach i ruszył przed siebie.

Ulica była opustoszała. Tylko w oddali jakiś samotny mężczyzna śpieszył do domu, gdzie czekała na niego żona lub kochanka. Judd uzmysłowił sobie, że zastanawia się, co w tej chwili robi Anna. Najprawdopodobniej wróciła do siebie i właśnie z zainteresowaniem i troską wypytuje męża, jak mu minął dzień. A może już poszli do łóżka i... Przestań, nakazał sobie w duchu.

Ponieważ ulica była pusta, Judd ściał róg, kierując się ku garażom, gdzie trzymał podczas dnia swój samochód. Gdy był już na środku jezdni, usłyszał za sobą jakiś odgłos, więc obejrzał się. Ze zgaszonymi światłami zbliżała się ku niemu wielka czarna limuzyna, jej koła walczyły o przyczepność na cienkiej warstewce śniegu. Samochód był tuż-tuż. Głupi pijak, pomyślał Judd. Wpadnie w poślizg i zabije się. Dał susa na gwarantujący bezpieczeństwo chodnik. Samochód skręcił jednak za nim i jeszcze przyspieszył. Judd zbyt późno zorientował się, że kierowca z premedytacją chce go przejechać.

Jeszcze tylko poczuł, że jakaś twarda rzecz uderzyła go w klatkę piersiową i usłyszał trzask podobny do grzmotu. Ciemna ulica rozświetliła

się nagle świeczkami, które jakby eksplodowały w jego głowie. W tej krótkiej chwili iluminacji Judd nagle wszystko zrozumiał. Już wiedział, dlaczego John Hanson i Carol Roberts zostali zamordowani. Ogarnęło go uniesienie. Musi powiedzieć o tym McGreavy'emu. Potem nagle światła zgasły, nastąpiła tylko cisza i mokra ciemność.

Z zewnątrz siedziba dziewiętnastego komisariatu policji wyglądała jak stary, zniszczony przez czas, trzypiętrowy budynek szkolny: brązowa cegła, tynkowane białe gzymsy upstrzone odchodami całych pokoleń gołębi. Dziewiętnastka odpowiadała za część Manhattanu od Pięćdziesiątej Dziewiątej do Osiemdziesiątej Szóstej ulicy i od Piątej Alei do East River.

Szpital zgłosił telefonicznie wypadek kilka minut po dziesiątej. Rozmowę przełączono do biura detektywów. Dziewiętnasty komisariat nie zaznał wiele spokoju tej nocy. W związku z pogodą zwiększyła się liczba gwałtów i napadów. Opustoszałe ulice wydawały się królestwem lodu, gdzie przestępcy żerowali na bezradnych maruderach, którzy dostali się na ich terytorium.

Większość policjantów była na patrolach, w biurze detektywów pozostał tylko Angeli i sierżant, który przesłuchiwał podejrzanego o podpalenie. McGreavy poszedł właśnie do archiwum.

Kiedy zadzwonił telefon, słuchawkę podniósł Angeli. Zgłosiła się pielęgniarka, u której na oddziale leżał pacjent potrącony przez samochód. Poszkodowany chciał rozmawiać z porucznikiem McGreavym. Gdy podała Angelemu nazwisko pacjenta, detektyw powiedział, że zaraz przyjedzie.

Angeli odłożył słuchawkę i w tym właśnie momencie do pokoju wszedł

McGreavy. Podwładny szybko zrelacjonował odbytą przed chwilą rozmowę.

– Powinniśmy jak najszybciej pojechać do szpitala.

– Pacjent przetrzyma. Najpierw chciałbym porozmawiać z kapitanem odpowiadającym za rewir, w którym to się stało.

Angeli przyglądał się, jak McGreavy wykręca numer. Zastanawiał się, czy kapitan Bertelli powtórzył mu ich poranną rozmowę. Była krótka i zwięzła.

– Porucznik McGreavy to dobry gliniarz – oświadczył kapitanowi Angeli – ale nie potrafi zapomnieć o tym, co się zdarzyło pięć lat temu.

Bertelli spojrzał na niego lodowato.

– Czy oskarża go pan o wrabianie doktora Stevensa?

– O nic go nie oskarżam, kapitanie. Po prostu uważam, że powinien być pan świadom sytuacji.

– W porządku, jestem świadom.

I na tym spotkanie się skończyło.

Rozmowa telefoniczna, którą przeprowadzał teraz McGreavy, trwała jakieś trzy minuty, podczas których porucznik pomrukiwał coś i notował, a Angeli niecierpliwie krążył po pokoju. Kwadrans później obaj detektywi jechali służbowym samochodem do szpitala.

Pokój Judda znajdował się na piątym piętrze, na końcu długiego ponurego korytarza, który nieprzyjemnie pachniał szpitalem. Detektywów zaprowadziła tam pielęgniarka.

– W jakim on jest stanie? – zapytał McGreavy.

– O tym poinformuje lekarz – odparła sztywno. Ale potem dodała

impulsywnie: – To cud, że ten człowiek w ogóle żyje. Przeszedł prawdopodobnie wstrząs mózgu, ma połamane żebra, uszkodzone lewe ramię.

– Czy jest przytomny? – zapytał Angeli.

– Tak. Sporo się namęczyliśmy, żeby utrzymać go w łóżku. – Odwróciła się do McGreavy'ego. – Ciągłe powtarza, że musi się z panem zobaczyć.

Weszli do pokoju. Stało tam sześć łóżek, wszystkie zajęte. Pielęgniarka wskazała jedno z nich w najodleglejszym rogu, oddzielone parawanem. Policjanci poszli w tamtą stronę.

Judd siedział wsparty o poduszkę. Twarz miał białą jak prześcieradło, czoło zakrywał duży plaster. Lewe ramię zostało unieruchomione na temblaku.

– Podobno miał pan wypadek – powiedział McGreavy.

– To nie był wypadek – odparł Judd. – Ktoś próbował mnie zabić. – Mówił słabym i drżącym głosem.

– Kto? – zapytał Angeli.

– Nie wiem, ale teraz wszystko pasuje. – Odwrócił się do McGreavy'ego. – Zabójcom nie chodziło o Johna Hansona czy Carol. Chcieli dopaść mnie.

– To możliwe – zgodził się Angeli.

– Pewnie – przytaknął McGreavy. Zwrócił się do Judda. – Po tym, jak okazało się, że zabili nie tego, co trzeba, przyszli do pańskiego gabinetu, ściągnęli z pana ubranie, ale okazało się, że tak naprawdę jest pan kolorową dziewczyną, więc dostali szalu i zatłukli ją na śmierć.

– Carol zginęła, ponieważ była w biurze, kiedy po mnie przyszli –

powiedział Judd.

McGreavy sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął jakieś kartki z notatkami.

– Rozmawiałem z kapitanem odpowiedzialnym za teren, gdzie zdarzył się wypadek.

– To nie był wypadek.

– Zgodnie z raportem policji pan się zataczał. Judd wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

– Zataczałem? – powtórzył słabym głosem.

– Szedł pan środkiem jezdni, doktorze.

– Nie jechał żaden samochód, więc ja...

– Jechał – poprawił go McGreavy – tylko pan go nie zauważył. Padał śnieg i widoczność była słaba. Pojawił się pan na jezdni nie wiadomo skąd. Kierowca nacisnął na hamulce, wpadł w poślizg i uderzył pana. Potem spanikował i odjechał.

– To nie było tak. W dodatku miał zgaszone światła.

– I na tej podstawie pan sądzi, że był to zabójca Hansona i Carol Roberts?

– Ktoś próbował mnie zabić – upierał się Judd.

– To nie zagra, doktorze. – McGreavy potrząsnął głową.

– Co ma zagrać? – zapytał Judd.

– Czy naprawdę pan myśli, że w ten sposób odwróci pan uwagę od siebie i skieruje mnie na poszukiwanie jakiegoś nieistniejącego mordercy?

– Głos porucznika zabrzmiał nagle twardo. – Czy wiedział pan, że recepcjonistka była w ciąży?

Judd zamknął oczy, a głowa opadła mu na poduszkę. A więc o tym

Carol chciała z nim porozmawiać. Właściwie to się domyślał. A teraz McGreavy pomyśli... Otworzył oczy.

– Nie – odparł zmęczonym głosem. – Nie wiedziałem.

W głowie mu pulsowało. Poczł napływającą falę bólu i zrobiło mu się słabo. Już chciał zadzwonić na pielęgniarkę... nie, nie da McGreavy'emu tej satysfakcji.

– Przejrzałem rejestry w ratuszu – oznajmił porucznik. – I co by pan powiedział na wiadomość, że ta mała była kurwą, zanim przyszła do pana pracować? – Judd czuł, że ból głowy wzmaga się. – Czy wiedział pan o tym, doktorze Stevens? Nie musi pan odpowiadać. Zrobię to za pana. Wiedział pan, ponieważ to właśnie pan pewnej nocy cztery lata temu wyciągnął ją z sądu. Czy nie posunął się pan czasem za daleko, przyjmując do pracy w gabinecie, który odwiedzali ludzie z wyższych sfer, zwykłą dziwkę?

– Nikt się taki nie rodzi – odparł Judd. – Starłem się pomóc szesnastoletniemu dziecku, by dostało swą szansę w życiu.

– A na boku miał pan za darmo czarną laleczkę.

– Ty skurwielu o brudnych myślach! McGreavy uśmiechnął się niewesoło.

– Gdzie zabrał pan Carol po tym, jak wyciągnął ją pan z sądu nocą?

– Do mojego mieszkania.

– Czy ona tam spała?

– Tak.

Teraz już McGreavy uśmiechnął się szeroko.

– Aleś pan paradny! Wyciąga pan ładniutką kurewkę z sądu i zabiera do siebie na noc. Czego pan potrzebował: partnerki do partii szachów?

Jeśli rzeczywiście pan z nią nie spał, to prawie na pewno jest pan pedalem. I zgadnijmy, do kogo nas to prowadzi? No? Do Johna Hansona. A jeśli przespał się pan z Carol, to prawie na pewno sypiał pan z nią i później, aż wreszcie zaszła w ciążę. A pan ma śmiałość opowiadać mi o jakimś maniacu, który biega wkoło i morduje ludzi. – McGreavy odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju, jego twarz była purpurowa ze złości.

Juddowi wydawało się, że pulsowanie rozwali mu czaszkę.

Angeli spojrzał na niego zmartwiony.

– Wszystko w porządku?

– Musi mi pan pomóc – odrzekł Judd. – Ktoś usiłuje mnie zabić. –

Własne słowa zabrzmiały dla niego jak pieśń żałobna.

– Dlaczego miałyby to zrobić, doktorze?

– Nie wiem.

– Ma pan jakichś wrogów?

– Nie.

– Sypiał pan z czyjąś żoną lub dziewczyną?

Judd potrząsnął głową i w tej samej chwili tego pożałował.

– Czy w grę może wchodzić jakiś spadek, krewni, którzy odziedziczyliby pieniądze?

– Nie.

Angeli westchnął.

– Dobra. Tak więc nikt nie miał motywu, by pana zabić. A co z pacjentami? Lepiej, żeby dał pan nam ich listę, wtedy wszystkich sprawdzimy.

– Tego nie mogę zrobić.

– Wszystko, o co proszę, to nazwiska.

– Przykro mi. – Nawet mówienie sprawiało mu trudność. – Gdybym był dentystą albo pedikiurzystą, nie byłoby problemu. Ale chyba potrafi pan zrozumieć, że ci ludzie mają problemy. Większość poważne. Gdyby zaczął pan ich przesłuchiwać, nie tylko by pan nimi wstrząsnął, ale i zniszczył zaufanie do mnie. Żadnego z nich nie mógłbym dalej leczyć. Nie mogę panu podać tej listy. – Opadł wykończony na poduszkę.

Angeli popatrzył na niego bez słowa.

– Jak nazwałby pan człowieka, który uważa, że wszyscy naokoło czyhają na jego życie? – zapytał wreszcie.

– Paranoikiem – odparł Judd. Dostrzegł na twarzy Angelego jakiś dziwny wyraz. – Nie sądzi pan chyba, że ja... ?

– Proszę postawić się na moim miejscu – odpowiedział policjant. – Gdybyśmy się zamienili, ja leżałbym w szpitalnym łóżku, a pan byłby moim doktorem, to co by pan pomyślał?

Judd zamknął oczy, by uciszyć pulsowanie w głowie. Usłyszał jeszcze, jak Angeli mówi:

– McGreavy czeka na mnie. Judd otworzył oczy.

– Proszę zaczekać... Niech da mi pan szansę udowodnienia, że mówię prawdę.

– Jak?

– Ten, kto chciał mnie zabić, spróbuje ponownie. Chcę, by ktoś ze mną był. Przy kolejnej próbie złapię mordercę.

Angeli spoglądał na Judda.

– Doktorze Stevens, jeśli ktoś naprawdę chce pana zabić, wszyscy policjanci tego świata nie zdołają go powstrzymać. Nawet gdy nie dostanie pana jutro, uda mu się pojutrze. Nie w jednym miejscu, to w innym. Bez

względu na to, czy jest pan królem, prezydentem, czy zwykłym Smithem. Życie jest niby cieniutka nić. Wystarczy sekunda, by ją przerwać.

– I nie da się nic... nic nie może pan zrobić?

– Mogę dać panu radę. Proszę założyć nowe zamki na drzwiach mieszkania, sprawdzić okna, czy są szczelnie zamknięte. Niech pan nie wpuszcza nikogo poza znajomymi. Żadnych dostawców, chyba że sam pan coś zamówi.

Judd skinął głową. Gardło miał wysuszone i obolałe.

– W domu, gdzie pan mieszka, jest portier i windziarz – ciągnął Angeli.

– Czy pan im ufa?

– Portier pracuje dziesięć lat, windziarz trzy. Ufam im całkowicie.

Angeli skinął głową.

– Dobrze. Niech mają oczy otwarte. Jeśli pozostaną czujni, niełatwo będzie się komuś wślizgnąć do pańskiego mieszkania. A co z gabinetem? Czy myślał pan o zatrudnieniu nowej recepcjonistki?

Judd wyobraził sobie obcą osobę siedzącą na miejscu Carol. Ogarnęła go bezradność pomieszana z gniewem.

– Na razie jeszcze nie.

– Mógłby pan pomyśleć o przyjęciu mężczyzny.

– Zastanowię się nad tym.

Angeli odwrócił się do wyjścia, ale jeszcze przystanął.

– Mam pomysł, ale to daleki strzał.

– Tak? – Judd nienawidził tego napięcia, jakie pojawiło się w jego głosie.

– Ten mężczyzna, który zabił partnera McGreavy'ego...

– Ziffren.

– Czy on był naprawdę obłąkany?

– Tak. Posłali go do Matteawan – to stanowy szpital dla psychicznie chorych kryminalistów.

– Może obwiniał pana za wsadzenie go do czubków? Sprawdzę go. Po prostu, żeby się upewnić, czy nie uciekł albo nie został zwolniony. Niech pan zadzwoni do mnie z rana.

– Dzięki – powiedział z wdzięcznością Judd.

– To mój obowiązek. Jeśli jednak jest pan w to zamieszany, pomogę McGreavy’emu dopaść pana. – Angeli odwrócił się do wyjścia, ale zatrzymał się znowu. – Niech pan nie wspomina McGreavy’emu, że sprawdzam dla pana Ziffrena.

– Dobrze.

Uśmiechnęli się do siebie. Angeli wyszedł. Judd został sam. Jeśli sytuacja rano wyglądała niedobrze, teraz stała się jeszcze bardziej ponura. Wiedział, że byłby już aresztowany za morderstwo, gdyby nie jedno – charakter McGreavy’ego. Porucznik pragnął zemsty i to tak bardzo, że chciał mieć sprawę zapiętą na ostatni guzik. Czy potrącenie przez samochód, który potem odjechał, mogło być przypadkowe? Ulicę pokrywała warstwa śniegu, może limuzyna wpadła w poślizg i zniosło ją w jego stronę. Ale w takim razie dlaczego miała zgaszone światła? I dlaczego samochód wyłonił się znikąd...

Nie opuszczało go przekonanie, że był to zamach i że napastnik uderzy kolejny raz. Z tą myślą zasnął.

Wcześniej rano następnego dnia Peter i Nora odwiedzili Judda w szpitalu. Dowiedzieli się o wypadku z porannych gazet.

Peter był rówieśnikiem Stevensa, nieco niższy i przeraźliwie chudy.

Pochodzili z tego samego miasta w stanie Nebraska i ukończyli w tym samym czasie akademię medyczną.

Nora była Angielką. Pucółowata blondynka o pełnym biuście, nieco zbyt obfitym jak na osobę mierzącą sto sześćdziesiąt centymetrów. Była tak pełna życia i bezpośrednia, że po pięciu minutach rozmowy ludzie traktowali ją jak starą znajomą.

– Wyglądasz okropnie – stwierdził Peter, przyglądając się przyjacielowi krytycznie.

– To mi się podoba. Tak właśnie powinien się zachowywać lekarz przy łóżku pacjenta. – Głowa nie bolała Judda już tak bardzo, potłuczenia też mniej mu dokuczały.

Nora wręczyła mu bukiet goździków.

– Przyniosłam ci kwiaty – powiedziała – moje ty kochane biedactwo. – Pochyliła się i cmoknęła go w policzek.

– Jak to się stało? – zapytał Peter.

– Potrącił mnie samochód – odrzekł Judd po chwili wahania.

– Można by pomyśleć, że to był piątek trzynastego, co? Czytałem o biednej Carol.

– To okropne – wtrąciła się Nora. – Bardzo ją lubiłam. Judd poczuł ucisk w gardle.

– Ja też.

– Jest jakaś nadzieja, że złapią skurwiela, który to zrobił? – zapytał Peter.

– Pracują nad tym.

– W porannej gazecie napisali, że porucznik McGreavy ma już kogoś na oku. Wiesz coś na ten temat?

– Odrobinę – powiedział Judd sucho. – McGreavy informuje mnie na bieżąco.

– Dopiero wtedy, gdy potrzebujemy policji, okazuje się, że jest naprawdę dobra – stwierdziła Nora.

– Doktor Harris pozwolił mi obejrzeć twoje zdjęcie rentgenowskie. Tylko trochę potłuczeń, nie masz wstrząsu mózgu. Za parę dni będziesz mógł stąd wyjść.

Ale Judd wiedział, że nie ma czasu do stracenia.

Rozmawiali jeszcze jakieś pół godziny, starannie unikając tematu zabójstwa Carol Roberts. Peter i Nora nie wiedzieli, że John Hanson był pacjentem Judda. Z jakiegoś tylko sobie znanego powodu McGreavy zataił tę część historii przed dziennikarzami.

Kiedy zamierzali wyjść, Judd poprosił o chwilę rozmowy z Peterem na osobności. Podczas gdy Nora czekała na zewnątrz, opowiedział przyjacielowi o Harrisonie Burke.

– Przykro mi – odparł Peter. – Kiedy wysyłałem go do ciebie, wiedziałem, że jest w złym stanie, ale miałem nadzieję, że zdążysz go uratować. Oczywiście, że musisz odesłać go do zakładu. Kiedy zamierzasz to zrobić?

– Jak tylko stąd wyjdę – powiedział Judd. Ale wiedział, że kłamie. Nie chciał odsyłać Harrisona. Jeszcze nie. Najpierw musi przekonać się, czy Burke jest zdolny do popełnienia dwóch morderstw.

– Jeśli tylko mogę coś dla ciebie zrobić, stary, zadzwoń. – Z tymi słowami Peter wyszedł.

Judd leżał, planując kolejny ruch. Fakt, że nie znał żadnego racjonalnego powodu, by ktoś chciał go zabić, wskazywał na istnienie w

tej sprawie osoby niezrównoważonej psychicznie, która kierowała się jakimś wyimaginowanym zalem. Tylko dwoje ludzi pasowało mu do tego schematu: Harrison Burke i Amos Ziffren, mężczyzna, który zabił partnera McGreavy'ego. Jeśli Burke nie ma alibi na ten poranek, kiedy zginął Hanson, Judd poprosi detektywa Angelego, by sprawdził go dokładnie. Gdyby okazało się jednak, że Burke ma alibi, trzeba będzie skoncentrować się na Ziffrenie. Stevens poczuł się znacznie lepiej. Teraz przynajmniej miał wrażenie, że coś robi. Nagle zdecydował, że musi wydostać się ze szpitala.

Zadzwoił po pielęgniarkę i powiedział jej, że chce się widzieć z lekarzem dyżurnym. Dziesięć minut później Seymour Harris wkroczył do pokoju. Był mężczyzną wzrostu karła, o jasnoniebieskich oczach i z kępkami czarnych włosów wyrastającymi na brodzie. Judd znał go od dawna i darzył głębokim szacunkiem.

– No proszę. Śpiąca królewna obudziła się. Wyglądasz strasznie.

Judda męczyło już wysłuchiwanie tego refrenu.

– Czuję się dobrze – skłamał. – Chcę stąd wyjść.

– Kiedy?

– Zaraz.

Doktor Harris spojrzał na niego karcąco.

– Dopiero co się tu znalazłeś. Może byś został parę dni? Przyślę ci kilka pielęgniarek nimfomanek do towarzystwa.

– Dzięki, Seymour. Naprawdę chcę wyjść stąd jak najszybciej.

– No cóż, jesteś lekarzem – westchnął doktor Harris. – Lekarz! Ja osobiście nawet swemu kotu nie pozwoliłbym spacerować, gdyby był w takim stanie jak ty. – Przyjrzał się uważnie koledze po fachu. – Mogę w

czymś pomóc?

Judd potrząsnął głową.

– Powiem siostrze oddziałowej, żeby ci oddała ubranie. Pół godziny później dziewczyna z recepcji zamówiła dla Stevensa taksówkę. O dziesiątej piętnaście wkroczył do własnego gabinetu.

Rozdział 6

Jego pierwsza pacjentka, Teri Washburn, czekała już w korytarzu. Przed dwudziestoma laty była jedną z najjaśniejszych gwiazd na firmamencie Hollywood; jej kariera skończyła się w ciągu jednej nocy. Potem wyszła za właściciela tartaku z Oregonu i z dnia na dzień jej nazwisko zniknęło z rubryk plotek towarzyskich. Od tego czasu miała pięciu czy sześciu mężów. Z ostatnim z nich, importerem, mieszkała teraz w Nowym Jorku. W tej chwili patrząc na Judda nadchodzącego korytarzem nie kryła swego rozdrażnienia.

– Ładnie... – zaczęła. Reprimenda, którą zamierzała wygłosić, zamarła na jej ustach, kiedy zobaczyła twarz psychoanalytyka. – Co ci się stało? – zapytała. – Wyglądasz, jakbyś wpadł między dwie roznamiętione kosiarki.

– Drobny wypadek, to wszystko. Przepraszam za spóźnienie. – Otworzył drzwi i wprowadził Teri do poczekalni. Nie mógł patrzeć na puste biurko i krzesło Carol.

– Czytałam o niej – powiedziała Teri. W jej głosie pobrzmiwał ton podniecenia. – Czy to morderstwo na tle seksualnym?

– Nie – odpowiedział Judd krótko i otworzył drzwi do swego gabinetu. – Daj mi dziesięć minut.

Wszedł do środka, sprawdził w kalendarzu, jakie ma umówione na ten dzień spotkania, i zaczął kolejno dzwonić do pacjentów, odwołując wizyty. Udało mu się zastać wszystkich poza trojgiem. Klatka piersiowa i ręka dokuczały mu przy każdym ruchu, w głowie znowu poczuł pulsujący

ból. Wyjął dwa darvany z szuflady i popił je wodą. Dopiero wtedy podszedł do drzwi i poprosił Teri do środka. Zmusił się, by przez następne pięćdziesiąt minut nie myśleć o niczym, co nie dotyczyło jego pacjentki. Teri położyła się na kanapie, z wysoko zadartą spódnicą, i zaczęła mówić.

Dwadzieścia lat temu Teri Washburn była oszałamiającą piękną, czego ślady widać było do dziś. Miała największe, najłagodniejsze, najbardziej niewinne oczy, jakie Judd kiedykolwiek widział. Zmysłowe usta – choć otoczone silnie zarysowanymi zmarszczkami – nadal były pełne. Pod obcisłą bluzką wyraźnie rysował się pełny i jędrny biust. Judd podejrzewał, że Teri miała implant silikonowy, ale czekał, by sama mu to powiedziała. Reszta jej ciała była równie dobra, a nogi wręcz znakomite.

Większość pacjentek Judda przechodziła etap podkochiwania się w nim, co było naturalnym przeniesieniem stosunku pacjent-lekarz na pacjento-piekun-kochanek. Ale przypadek Teri był inny. Od pierwszej chwili, kiedy weszła do tego gabinetu, próbowała usidlić Judda. Za każdym razem, gdy tylko trafiała jej się okazja, robiła wszystko, by go podniecić – a była w tym ekspertem. Judd wreszcie ostrzegł ją, że jeśli nie przestanie, będzie ją musiał odesłać do innego lekarza. Od tego czasu zachowywała się względnie poprawnie, ale nieustannie i z uwagą obserwowała lekarza, starając się znaleźć jego piętę achillesową. Teri została polecona Juddowi przez znakomitego angielskiego lekarza po dość nieprzyjemnym międzynarodowym skandalu w Antibes. W kronice towarzyskiej jednej z francuskich gazet zarzucano Teri, że podczas weekendu spędzanego na jachcie słynnego armatora greckiego – z którym była zaręczona – korzystając z jego jednodniowej nieobecności

spowodowanej wyjazdem do Rzymu w interesach, przespała się z jego trzema braćmi. Historia została szybko wyciszona, dziennikarz napisał sprostowanie, po czym został wylany z gazety.

Podczas pierwszej sesji z Juddem Teri pochwaliła się, że relacja była prawdziwa co do słowa.

– To szaleństwo – powiedziała. – Ale ja bez przerwy potrzebuję seksu. Nigdy nie mam dość. – Oparła ręce na biodrach, podciągając przy tym nieco sukienkę. Cały czas spoglądała na Judda niewinnym wzrokiem. – Wiesz, o co mi chodzi, słoneczko? – zapytała.

Od tego pierwszego spotkania Judd sporo dowiedział się o Teri. Pochodziła z małej górniczej osady w Pensylwanii.

– Mój ojciec był głupim Polakiem. Kiedy dostawał wypłatę, upijał się w sobotnie wieczory, a potem bił moją matkę.

Teri w wieku trzynastu lat miała ciało dojrzałej kobiety, a twarz anioła. Szybko nauczyła się, że może zarobić parę groszy chodząc za hałdy z górnikami. W dniu, w którym jej ojciec się o tym dowiedział, przyszedł do ich małej klitki, wykrzykując coś niezrozumiale po polsku, a potem wypchnął na dwór matkę Teri. Zamknął drzwi na klucz, ściągnął swój ciężki pas i zaczął nim okładać córkę. A na koniec ją zgwałcił.

Judd przyglądał się uważnie Teri, która leżąc na kanapce opisywała tę scenę. Na jej twarzy nie widać było żadnej emocji.

– Wtedy ostatni raz widziałam swoich rodziców.

– Uciekłaś – domyślił się Judd. Teri spojrzała na niego zdziwiona.

– Co?

– Po tym, jak ojciec cię zgwałcił...

– Uciekłam? – powtórzyła Teri. Odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła

śmiechem. – Mnie się to podobało. Ta dziwka matka wyrzuciła mnie z domu.

To wszystko było gdzieś na jego taśmach. Teraz też Judd włączył magnetofon.

– O czym byś chciała porozmawiać? – zapytał.

– O pieprzeniu – odpowiedziała. – Może byśmy tym razem ciebie poddali psychoanalizie i dowiedzieli się, czemu jesteś taki sztywny, jakbyś kij połknął.

Zignorował zaczepkę.

– Dlaczego pomyślałaś, że śmierć Carol ma coś wspólnego z seksem?

– Ponieważ mnie się wszystko z nim kojarzy, skarbie. – Przesunęła się tak sprytnie, że sukienka podjechała jeszcze nieco wyżej.

– Popraw sukienkę, Teri. Obdarzyła go niewinnym spojrzeniem.

– Przepraszam... Straciłeś świetne przyjęcie urodzinowe w sobotę, doktorku.

– Opowiedz mi o nim.

Zawahała się. W jej głosie pojawiła się niezwykła nuta obawy.

– Nie znienawidzisz mnie?

– Już ci mówiłem, że nie potrzebujesz mojej aprobaty. Powinnaś dbać tylko o własną ocenę. To my sami ustaliśmy dla siebie zasady dobra i zła, które pozwalają nam funkcjonować między ludźmi. Bez tych zasad wszystko by nam się poplątało. Ale nigdy nie zapominaj: zasady są wymyślone.

Przez moment panowała cisza.

– To był taneczny wieczorek. Mój mąż wynajął sześćoosobowy zespół. Czekał.

Podniosła się, by spojrzeć na niego.

– Czy jesteś pewien, że nie stracisz dla mnie szacunku?

– Chcę ci pomóc. Wszyscy robimy rzeczy, których się wstydzimy, ale to nie znaczy, że musimy ciągle popełniać błędy.

Przyglądała mu się przez chwilę, a potem znowu położyła na kanapie.

– Czy mówiłam ci kiedyś, że podejrzewam swojego męża o impotencję?!

– Tak.

To był jej stały temat.

– Właściwie nie robiliśmy tego ze sobą od dnia ślubu. Zawsze ma jakiś znakomity wykręt... No dobrze... – skrzywiła się z goryczą. – A więc... w sobotę wieczorem pieprzyłam się z całym zespołem, a Harry patrzył. – Zaczęła płakać.

Judd podał jej kilka papierowych chusteczek, a potem usiadł i przyglądał się swojej pacjentce.

Nikt nigdy nie dał Teri Washburn nic, za co by nie musiała słono zapłacić. Kiedy znalazła się w Hollywood, wylądowała jako kelnerka w knajpie dla kierowców. Większą część swoich zarobków wydawała na jakiś trzeciorzędny kurs gry aktorskiej. Po tygodniu nauczyciel zaproponował, żeby się do niego wprowadziła. Nauka zamieniła się w prace domowe i ćwiczenia łóżkowe. Kiedy kilka tygodni później zrozumiała, że nie mógł jej załatwić żadnej roli, nawet gdyby chciał, odeszła od niego i przyjęła pracę sprzedawczyni w sklepie hotelowym w Beverly Hills. W gwiazdkowy wieczór zjawił się tam pewien producent filmowy, by kupić w ostatniej chwili świąteczny prezent dla żony. Dał Teri swoją kartę wizytową i powiedział, żeby do niego zadzwoniła.

– Chcesz powiedzieć, że bym wychodziła. – Zerwała się z gniewem na równe nogi. – Ty świński skurwielu. Myślisz, że podobało mi się pieprzenie z całym zespołem?

– A podobało?

W ataku złości chwyciła wazon i cisnęła nim w jego stronę. Szkło zagrzechotało na stole.

– Czy to wystarczająca odpowiedź?

– Nie. Ten wazon kosztował dwieście dolarów. Dopiszę tę sumę do twojego rachunku.

Wpatrywała się w niego bezradnie.

– Czyja to naprawdę lubię? – wyszeptała.

– Ty mi to powiedz.

– Muszę być chora – powiedziała jeszcze ciszej. – O Boże. Jestem chora. Proszę, pomóż mi, Judd. Pomóż!

Judd podszedł do niej.

– Musisz mi pomóc pomóc sobie. Skinęła głową, patrząc na niego tępo.

– Chcę, abyś poszła do domu i zastanowiła się nad swymi uczuciami, Teri. Nie wtedy, kiedy robisz te rzeczy, ale zanim zaczniesz je robić. Pomyśl, dlaczego ich pragniesz. Kiedy znajdziesz odpowiedź, dowiesz się o sobie bardzo wiele.

Spoglądała przez chwilę na niego, twarz jej się rozpogodziła. Wyjęła chusteczkę i jeszcze raz wydmuchała nos.

– Niezły z ciebie facet, Charlie Brown. – Sięgnęła po torebkę i rękawiczki. – Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

– Tak – powiedział. – Do przyszłego tygodnia. – Otworzył drzwi na korytarz i Teri wyszła.

Wiedział, jak brzmi odpowiedź na problem Teri, ale ona musiała do niej dojść sama. Powinna się nauczyć, że nie musi kupować miłości, że może również otrzymywać ją za darmo. Dopóki nie pozna wartości uczucia, nie zaakceptuje faktu, że ktoś kocha ją prostu za to, jaka jest. Do tego czasu Teri będzie się starała kupić miłość, posługując się jedyną walutą, jaką posiada: swoim ciałem. Wiedział, ile ją to kosztuje; popadała w bezdenną rozpacz, nienawidziła samej siebie. Ale mógł jej pomóc tylko w jeden sposób – starając się udawać bezstronnego i chłodnego. Zdawał sobie sprawę, że w odczuciu swoich pacjentów ma do nich duży dystans. Sądzi, iż spogląda z góry na ich kłopoty i rozdaje mądre rady jakby z wyżyn samego Olimpu. To była bardzo istotna część terapii. Jednak naprawdę bardzo przeżywał problemy swoich pacjentów. Gdyby tylko wiedzieli, jak często dręczące ich demony starały się przebić mur obronny jego emocji i wdrzeć do środka, kreując jego własne koszmary.

Podczas pierwszych sześciu miesięcy dwuletniej praktyki psychiatrycznej, niezbędnej do uzyskania specjalizacji w dziedzinie psychoanalizy, Judd cierpiał na chroniczne bóle głowy. Empatycznie przejmował symptomy od swych pacjentów i prawie rok zabrało mu nauczenie się, jak kontrolować własne emocje.

Gdy teraz odkładał na półkę nagraną rozmowę z Teri Washburn, trudno mu było powrócić myślami do własnych dylematów. Podszedł do telefonu i zadzwonił do informacji, prosząc o numer dziewiętnastego komisariatu.

Telefonistka połączyła go z biurem detektywów. Usłyszał w słuchawce głęboki bas:

- Porucznik McGreavy.
- Chciałbym mówić z detektywem Angelim.

– Proszę czekać.

Doszedł go stukot odkładanej słuchawki. Chwilę potem rozległ się głos Angelego.

– Detektyw Angeli.

– Mówi Judd Stevens. Czy zdobył pan już jakąś informację?

Cisza.

– Sprawdziłem – odpowiedział wreszcie ostrożnie Angeli.

– Wystarczy, jeśli powie pan „tak” albo „nie”. – Serce Judda waliło jak młotem. Z wysiłkiem zadał następne pytanie. – Czy Ziffren jest wciąż jeszcze w Matteawan?

Wydawało mu się, że minęły całe wieki, zanim Angeli wreszcie odpowiedział:

– Tak, wciąż tam przebywa. Judd poczuł falę zawodu.

– Och. Rozumiem.

– Przykro mi.

– Dzięki – powiedział Judd.

Powoli odwiesił słuchawkę. W takim razie zostawał Harrison Burke. Beznadziejny paranoik, przeświadczony, że wszyscy wokół chcą go zabić. Czy Burke zdecydował się uderzyć pierwszy? John Hanson opuścił gabinet lekarza o dziesiątej pięćdziesiąt w poniedziałek, a zginął w kilka minut później. Judd musiał sprawdzić, czy Harrison Burke znajdował się w tym samym czasie w pracy. Znalazł telefon służbowy pacjenta i wykręcił numer.

– Międzynarodowa Stal. – Głos miał odległe, bezosobowe brzmienie automatu.

– Poproszę z panem Harrisonem Burke.

– Pan Harrison Burke... moment, już łączę...

Judd spekulował, jakie słowa nagrane są automatycznej sekretarce Burke'a.

– Biuro pana Burke'a – odezwał się dziewczęcy głos.

– Mówi doktor Judd Stevens. Czy mogłaby mi pani udzielić pewnych informacji?

– Oczywiście, doktorze Stevens. – W jej głosie pojawiła się nuta ulgi, połączonej z oczekiwaniem. Musiała wiedzieć, że Stevens jest psychoanalitykiem jej szefa. Czyżby liczyła, że on coś pomoże?

– Chodzi o rachunek pana Burke'a... – zaczął Judd.

– Rachunek? – Nie próbowała nawet ukryć rozczarowania. Judd mówił dalej:.

– Moja recepcjonistka... przestała dla mnie pracować i staram się uporządkować księgi. Widzę tu, że obciążyła pana Burke'a za spotkanie w zeszły poniedziałek o godzinie dziewiątej trzydzieści. Czy mogłaby pani sprawdzić jego kalendarz?

– Chwileczkę – odpowiedziała.

Teraz w jej głosie słyhać już było naganę. Wiedział dlaczego. Jej pracodawca tracił grunt pod nogami, a jego psychoanalityka obchodziło jedynie odzyskanie pieniędzy. Kilka minut później wróciła do telefonu.

– Obawiam się, że pańska recepcjonistka pomyliła się, doktorze Stevens – powiedziała uszczypliwie. – Pan Burke nie mógł być u pana w poniedziałek rano.

– Jest pani pewna? – dopytywał się Judd. – Tu jest napisane, że o dziewiątej trzydzieści...

– Nic mnie nie obchodzi, co ma pan w dokumentach, doktorze – teraz

już była wyraźnie zła, zirytowana jego bezduszną. – Pan Burke w tym czasie brał udział w spotkaniu pracowników. Zaczęło się punktualnie o ósmej.

– Nie mógł się wymknąć na godzinkę?

– Nie, doktorze – powiedziała. – Pan Burke nigdy w czasie dnia nie opuszcza biura. – W jej głosie słychać było wyrzut: Czy nie widzi pan, że on jest chory? Co zamierza pan zrobić, by mu pomóc? – Czy mam powtórzyć, że pan dzwonił?

– To nie jest konieczne – odparł Judd.

Odłożył słuchawkę. Jeśli ani Ziffren, ani Harrison Burke nie próbowali go zabić – w takim razie musiał istnieć jeszcze ktoś i do tego mieć motyw. Stevens powrócił do punktu wyjścia. Jakaś osoba zamordowała jego recepcjonistkę i jego pacjenta. A może to nie był ten sam morderca? Potrącenie przez samochód mogło być celowe lub przypadkowe. W czasie, kiedy się zdarzyło, wydawało mu się zamierzone. Ale patrząc na całą historię beznamiętnie, Judd musiał sam przed sobą przyznać, że mocno wpłynęły nań wydarzenia poprzednich dni. Był tak podatny na emocje, że z łatwością mógł potraktować zwykły wypadek jako coś złowieszczonego. Prawda była jednak taka, że nie istniał nikt, kto miałby motyw, by go zabić. Stosunki z pacjentami układały mu się znakomicie, z przyjaciółmi łączyły go serdeczne więzy. Nigdy, przynajmniej on o tym nie wiedział, nikogo nie skrzywdził. W tym momencie zadzwonił telefon. Od razu rozpoznał niski, gardłowy głos Anny.

– Czy jest pan zajęty?

– Nie. O co chodzi?

Słychać było, że jest bardzo przejęta.

– Czytałam, że potrącił pana samochód. Chciałam zadzwonić wcześniej, ale nie wiedziałam, gdzie można pana znaleźć.

Postarał się, by jego głos zabrzmiał pogodnie:

– To nic poważnego. Dostałem lekcję, że nie należy spacerować po jezdni.

– Według doniesień prasy kierowca uciekł z miejsca wypadku.

– Tak.

– Czy go złapali?

– Nie. To z pewnością jakiś łobuz. – Pewnie, w czarnej limuzynie ze zgaszonymi światłami, pomyślał.

– Czy jest pan tego pewien? – zapytała Anna. To pytanie go zaskoczyło.

– Co pani sugeruje?

– Sama nie bardzo wiem. – W jej głosie brzmiało wahanie. – Chodzi mi tylko o to, że... Carol została zamordowana. A teraz ta historia z panem.

Więc ona także połączyła te dwie sprawy.

– Wygląda to zupełnie tak, jakby jakiś szalenciec krążył koło waszego gabinetu.

– Jeśli ktoś taki rzeczywiście istnieje, policja go złapie – zapewnił ją Judd.

– Czy grozi panu jakieś niebezpieczeństwo? Poczul, jak robi mu się ciepło na sercu.

– Oczywiście, że nie.

Zapadła niezręczna cisza. Tyle rzeczy chciał jej powiedzieć, a nie mógł. Nie wolno mu niewłaściwie ocenić przyjacielskiego telefonu, który był jak najbardziej na miejscu ze strony zaniepokojonej pacjentki. Anna była

właśnie taką osobą, która zainteresowałaby się każdym, kto by wpadł w tarapaty. To nie znaczyło nic więcej.

– Zobaczymy się w piątek? – zapytał.

– Tak. – W jej głosie zabrzmiała jakaś dziwna nuta. Czyżby miała zamiar zmienić decyzję?

– A więc jesteśmy umówieni – powiedział szybko. Oczywiście to nie było żadne umówienie tylko wizyta pacjentki u lekarza.

– Tak. Do widzenia, doktorze Stevens.

– Do widzenia, pani Blake. Dziękuję za telefon. Bardzo dziękuję.

Odwiesił słuchawkę, lecz nadal myślał o Annie. Zastanawiał się, czyjej mąż zdaje sobie sprawę, że jest wyjątkowym szczęściarzem.

Jakim człowiekiem był jej mąż? Z tych skąpych informacji, których Anna udzieliła na jego temat, Judd uformował sobie obraz atrakcyjnego i myślącego mężczyzny. Sportowiec, błyskotliwy i odnoszący sukcesy biznesmen, wspomagający swymi pieniędzmi artystów. Z takim człowiekiem Judd chętnie by się zaprzyjaźnił. W innych okolicznościach.

Jaki mógł być problem Anny, że obawiała się rozmawiać o nim z mężem? A nawet ze swoim psychoanalitykiem? Jej charakter wskazywał, że było to najprawdopodobniej poczucie winy z powodu romansu, jaki przeżyła albo przed swym małżeństwem, albo już w trakcie jego trwania. Nie mógł wyobrazić sobie, by odpowiadały jej przelotne kontakty z mężczyznami. Może powie mu wreszcie w piątek. Kiedy zobaczy ją ostatni raz.

Reszta popołudnia minęła jak z bicza trząśł. Judd spotkał się z tymi pacjentami, których nie zdołał odwołać. Kiedy za ostatnim z nich

zamknęły się drzwi, lekarz wyciągnął kasetę z nagraniem sesji Harrisona Burke'a i przesłuchał ją, od czasu do czasu coś notując.

Skończył i wyłączył magnetofon. Nie było wyjścia. Musiał zadzwonić z rana do szefa Korporacji i poinformować go o stanie, w jakim znajdował się wiceprezes. Spojrzał przez okno zdziwiony, że już zapadła noc. Zbliżała się ósma. Teraz, gdy przestał koncentrować się na pracy, poczuł nagle ogromne znużenie. Bolały go zębra i dokuczało ramię. Czas iść do domu, wymoczyć się w wannie.

Odłożył wszystkie taśmy. Tylko tę z nagraniem sesji Burke'a zamknął w szufladzie stolika. Odda ją psychiatrze wyznaczonemu przez sąd. Włożył płaszcz i był właściwie w połowie drogi do drzwi, gdy zadzwonił telefon. Zawrócił i podniósł słuchawkę.

– Doktor Stevens, słucham.

Nikt nie odpowiedział. Słysząc tylko było ciężki nosowy oddech.

– Halo?

Nadal brak odpowiedzi. Judd odwiesił słuchawkę. Przez chwilę stał jeszcze marszcząc brwi. Pomyłka, stwierdził wreszcie. Zgasił światła, zamknął drzwi i ruszył w stronę wind. Inne biura już dawno opustoszały, natomiast nie zjawiała się jeszcze nocna armia sprzątaczy. W całym budynku był tylko Bigelow, stróż.

Judd podszedł do windy i nacisnął guzik. Lampka nie zapaliła się. Nacisnął guzik jeszcze raz. Bez skutku.

I w tym momencie światła na korytarzu zgasły.

Rozdział 7

Stał przed windami. Fala ciemności uderzyła w niego z fizyczną niemal siłą. Zamarło mu serce, a potem zaczęło bić w przyspieszonym tempie. Nagle poczuł atawistyczny lęk. Sięgnął do kieszeni szukając zapalek. Zostawił je w biurze. Może światła zgasły tylko na tym piętrze? Powoli i uważnie stawiając kroki skierował się w stronę drzwi klatki schodowej. Otworzył je pchnięciem. Tam również panowały ciemności. Trzymając się poręczy, ruszył dalej. Gdzieś poniżej zobaczył promień światła latarki przesuwający się w górę schodów. Poczuł nagłą ulgę. Bigelow, strażnik.

– Bigelow! – krzyknął. – Bigelow! Tu doktor Stevens!

Jego głos odbił się od kamiennych ścian, złowieszczo odpowiadając echem. Postać z latarką posuwała się powoli, nieubłaganie naprzód.

– Kto to? – zapytał Judd.

Ponownie odpowiedziało mu tylko echo własnych słów.

Teraz już wiedział, kto tam jest: napastnik. Musiało ich być przynajmniej dwóch. Jeden odciął w piwnicy dopływ prądu, podczas gdy drugi uniemożliwiał ucieczkę schodami.

Promień światła był coraz bliżej, dzieliły go od Judda tylko dwa czy trzy piętra. Zbliżał się nieubłaganie. Stevens zlodowaciał z lęku. Serce waliło mu jak młotem, kolana się pod nim ugiwały. Zawrócił szybko i wszedł schodami na własne piętro. Otworzył drzwi i stał, nasłuchując. A jeśli ktoś czeka tu na niego w ciemności korytarza?

Judd Kroki na schodach stawały się coraz donośniejsze. Judd miał zupełnie sucho w ustach. Odwrócił się i zanurzył w atramentową czerń

korytarza. Minał windy i szedł dalej, licząc mijane biura. Kiedy dotarł do swojego gabinetu, usłyszał, że otwierają się drzwi klatki schodowej. Klucze wysliznęły mu się z drżących palców i upadły na podłogę.

Szukał ich, ogarnięty przerażeniem, wreszcie znalazł, otworzył drzwi do recepcji, wpadł do środka i przekręcił zamek. Skomplikowany mechanizm wymagał specjalnego klucza.

Słyszał zbliżające się kroki. Przeszedł do gabinetu i nacisnął kontakt. Nadal panowała ciemność. W całym budynku odcięto dopływ prądu. Zamknął wewnętrzne drzwi i dobiegł do telefonu. Wymacując odpowiednie cyfry wybrał numer centrali. Usłyszał spokojny, długi sygnał, wreszcie odezwał się głos telefonistki, jedyny łącznik Judda ze światem zewnętrznym.

Powiedział cicho:

– Uwaga, nagły wypadek. Mówi doktor Judd Stevens. Proszę mnie połączyć z detektywem Frankiem Angelim z dziewiętnastego komisariatu. Sprawa bardzo pilna.

– Już łączę. Pański numer, proszę. Judd podał go szeptem.

Usłyszał, jak ktoś próbuje dostać się do gabinetu. Drzwi nie miały zewnętrznej klamki.

– Niech się pani pośpieszy.

– Jedną chwileczkę – odparł chłodny, flegmatyczny głos. Rozległ się dzwonek na linii, a potem odezwała się kolejna telefonistka:

– Dziewiętnasty komisariat, słucham. Serce Judda skoczyło.

– Z detektywem Angelim – powiedział. – To pilne.

– Detektyw Angeli... chwileczkę.

Na korytarzu coś się działo. Słyszał stłumione głosy. Do włamywacza

ktoś dołączył. Co planowali? W słuchawce rozległ się znajomy głos:

– Detektyw Angeli na razie jest nieobecny. Mówi jego partner, porucznik McGreavy. Czy...

– Tu Judd Stevens. Dzwonię ze swego gabinetu. Wyłączono dopływ prądu, a ktoś próbuje się włamać i mnie zabić.

Na drugim końcu linii zapadła ciężka cisza.

– Niech pan posłucha, doktorze – powiedział McGreavy. – Może by pan wpadł tu na pogawędkę...

– Nigdzie nie mogę przyjść – Judd prawie krzyczał. – Ktoś próbuje mnie zamordować!

Znowu zapadła cisza, ale już jakaś inna. McGreavy nie wierzył mu i nie zamierzał pomóc. Judd usłyszał, jak zewnętrzne drzwi biura otwierają się, głosy dochodziły już teraz z recepcji. Przecież nie mogli się dostać bez klucza. Ale jednak zbliżali się do drzwi gabinetu.

McGreavy coś jeszcze mówił, ale Judd już go nie słuchał. Było za późno. Odłożył słuchawkę. To, czy McGreavy przyjdzie, czy nie, nie miało znaczenia. Napastnicy byli tuż-tuż. Życie jest jak cienka nić, niewiele potrzeba, by ją zerwać. Strach nagle zmienił się w ślepią furję. Judd nie da się zarżnąć tak jak Hanson i Carol. Będzie walczyć. Macał dłonią w ciemności szukając jakiejś broni. Popielniczka... nóż do papieru... bezużyteczne. Napastnicy będą mieli rewolwer. To był koszmar jak z Kafki. Prześladowali go zupełnie bez powodu napastnicy, których twarzy nawet nie mógł sobie wyobrazić.

Słyszał, jak podchodzą do wewnętrznych drzwi, i wiedział, że pozostało mu tylko parę chwil życia. Ze straszliwym, desperackim spokojem, jakby był własnym pacjentem, analizował swoje uczucia.

Pomyślał o Annie i poczuł bolesną stratę. Pomyślał o pacjentach i o tym, jak bardzo go potrzebowali. Harrison Burke. Nagle przypomniał sobie, że nie powiadomił jeszcze pracodawców Burke'a o konieczności zamknięcia go w zakładzie. Powinien położyć taśmy na miejsce... Serce mu skoczyło. Może jednak miał broń do walki!

Usłyszał odgłos przekręcanej gałki. Drzwi były zamknięte, ale nie stanowiły poważnej przeszkody. Wyłamanie ich to drobiazg. Ruszył szybko po ciemku w stronę stołu, gdzie zamknął w szufladzie kasetę. Usłyszał skrzypnięcie, jakiś ciężar napierał na drzwi. Potem ktoś zaczął majstrować przy zamku. Dlaczego po prostu ich nie wyważą? – zastanawiał się. Gdzieś kołatała w nim myśl, że odpowiedź na to pytanie jest ważna, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Drżącymi rękami otworzył szufladę, w której zamknął taśmę. Wyciągnął ją z pudełka na karty wizytowe, potem przesunął się w stronę magnetofonu i usiłował po ciemku włożyć taśmę. Wiedział, że jego szanse nie są wielkie, ale musiał spróbować.

Skoncentrowany, próbował przypomnieć sobie dokładnie rozmowę, jaką przeprowadził z Burke'em. Napór na drzwi zwiększał się. Judd szybko odmówił w duchu modlitwę.

– Przykro mi, Harrison, że wyłączyli prąd – powiedział głośno. – Ale jestem pewien, że za kilka minut wszystko naprawią. Może byś się jednak położył i odprężył?

Odgłosy przy drzwiach nagle ucichły. Juddowi udało się wreszcie umieścić taśmę w magnetofonie. Nacisnął przycisk. Cisza. No oczywiście. Przecież nie było prądu. Usłyszał, że znowu zabrali się do roboty. Ogarnęła go rozpacz.

– Teraz lepiej – powiedział. – Ułóż się jak najwygodniej. Wymacał na stole pudełko zapalek i jedną zapalił. Przysunął płomień do magnetofonu. Odszukał napis „baterie”, ustawił suwak w takim położeniu i jeszcze raz przycisnął włącznik. W tym samym momencie usłyszał, że zamek w drzwiach puszcza. Nie udało mu się obronić!

I nagle głos Burke’a wypełnił pokój:

– Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia? Nawet jeszcze nie usłyszałeś, jaki mam dowód! Skąd mogę wiedzieć, że nie jesteś jednym z nich.

Judd zamarł, bojąc się nawet drgnąć, serce waliło mu jak szalone.

– Wiesz, że nie – usłyszał swój własny głos z kasety. – Jestem twoim przyjacielem. Staram się ci pomóc... powiedz mi, co to za dowód.

– Ostatniej nocy włamali się do mojego domu – rozległ się głos Burke’a. – Przyszli mnie zabić. Ale ja jestem dla nich za sprytny. Teraz śpiam w gabinecie i założyłem na drzwiach dodatkowe zamki, żeby nie mogli się do mnie dostać.

Odgłosy za drzwiami ucichły. Odezwał się znowu głos Judda:

– Czy zgłosiłeś włamanie policji?

– Oczywiście, że nie! Policja trzyma z nimi. Mają polecenie zabić mnie. Ale nie ośmielą się, kiedy wokół są ludzie, więc chodzę tam, gdzie jest tłum.

– Cieszę się, że mi to powiedziałaś.

– Jak wykorzystasz tę informację?

– Słucham uważnie wszystkiego, co mi mówisz – powiedział głos Judda. – Mam to wszystko – w tym momencie w jego umyśle rozległ się dzwonek ostrzegawczy; następne słowa brzmiały: na taśmie.

Rzucił się na przycisk i jednocześnie powiedział głośno:

– W pamięci. Wypracuję najlepszy sposób, by sobie z tym poradzić. – Umilkł. Odegranie kolejny raz taśmy nie wchodziło w grę, bo w żaden sposób nie mógł określić miejsca, od którego należało zacząć. Jediną jego nadzieją było, że przekonał tych mężczyzn na zewnątrz o obecności w gabinecie pacjenta. Ale nawet jeśli uwierzyli, czy to ich powstrzyma?

– Takie przypadki – powiedział Judd podnosząc głos – są częstsze niż myślisz, Harrison. – I dodał ze zniecierpliwieniem. – Chciałbym, żeby wreszcie włączyli światło. Wiem, że przed budynkiem czeka na ciebie kierowca. Na pewno się zastanawia, co się stało, zaraz pewnie przyjdzie tu na górę.

Judd stał nasłuchując. Zza drzwi dochodziły go szepty. Co postanowią? Wtem usłyszał z ulicy głos syren policyjnych. Szeptanie ucichło. Czekał na odgłos zamykanych drzwi na korytarz, ale nic takiego nie nastąpiło. Czyżby nadal tam stali? Jęk syren potężniał. Samochody zatrzymały się przed budynkiem.

I nagle zapaliły się wszystkie światła.

Rozdział 8

Drinka?

McGreavy potrząsnął głową. Przyglądał się uważnie Juddowi. Sam też wyraźnie był w nie najlepszym nastroju. Stevens nalał sobie kolejną szklanekę czystej szkockiej. McGreavy patrzył bez słowa. Dłonie lekarza jeszcze teraz się trzęsły. Dopiero kiedy fala ciepła wywołana alkoholem zaczęła rozpływać się po jego ciele, odprężył się.

McGreavy zjawił się w gabinecie doktora dwie minuty po zapaleniu świateł. Towarzyszył mu potężnie zbudowany sierżant, który teraz siedział i notował.

– Przejdźmy przez to jeszcze raz – powiedział McGreavy. Judd odetchnął głęboko i zaczął opowiadać wszystko od początku, starając się, by jego głos był spokojny i opanowany.

– Zamknąłem gabinet i wyszedłem na korytarz. Nagle zgasły wszystkie światła. Pomyślałem, że to awaria tylko na moim piętrze, więc zacząłem schodzić w dół po schodach. – Zawahał się, na nowo przeżywając strach. – Wtedy zobaczyłem kogoś z latarką wchodzącego po schodach. Myślałem, że to Bigelow, strażnik, więc go zawołałem. Ale to nie był on.

– A kto?

– Powiedziałem już – odparł Judd. – Nie wiem. Nikt mi nie odpowiedział.

– Skąd przyszło panu do głowy, że ci ludzie chcą pana zabić?

Gniewna riposta sama cisnęła się na usta Judda, ale udało mu się opanować, chciał, żeby McGreavy mu uwierzył.

– Przyszli za mną aż tutaj.

– Uważa pan, że dwóch mężczyzn chciało pana zabić?

– Co najmniej dwóch – potwierdził Judd. – Słyszałem, jak szeptali między sobą.

– I mówi pan, że po powrocie do gabinetu zamknął pan drzwi na klucz. Czy to się zgadza?

– Tak.

– A kiedy wszedł pan do gabinetu, zamknął pan kolejne drzwi.

– Tak.

McGreavy podszedł do drzwi między gabinetem a recepcją.

– Czy próbowali je wyważyć?

– Nie – przyznał Judd. Pamiętał jak bardzo sam był tym zdziwiony.

– Idźmy dalej – powiedział McGreavy. – Drzwi na korytarz otwiera się specjalnym kluczem.

Judd zawahał się. Wiedział, do czego zmierza McGreavy.

– Tak.

– Kto ma klucz do tego zamka?

Judd poczuł, że twarz mu purpurowieje.

– Carol i ja.

Głos McGreavy'ego był pozbawiony wyrazu.

– A co ze sprzątaczkami? Jak one się tu dostają?

– Mamy z nimi specjalną umowę. Carol przychodziła trzy razy w tygodniu nieco wcześniej i wpuszczała je. Kończyły, zanim zjawiał się pierwszy pacjent.

– To wydaje się mało praktyczne. Dlaczego nie mogły sprzątać tych pomieszczeń w tym samym czasie co inne biura?

– Ponieważ trzymam tu całkowicie poufne informacje. Wolę niewygodę niż kręcących się obcych ludzi.

McGreavy spojrzał na sierżanta upewniając się, że ten wszystko notuje. Usatysfakcjonowany przeniósł wzrok z powrotem na Judda.

– Kiedy weszliśmy do recepcji, drzwi z korytarza były otwarte. Nie wyważone, otwarte.

Judd nic nie odpowiedział. McGreavy ciągnął dalej:

– Dopiero co powiedział nam pan, że tylko dwie osoby były w posiadaniu klucza: Carol i pan. A klucze Carol są u nas. Proszę się dokładnie zastanowić. Kto jeszcze może mieć klucz do tych drzwi?

– Nikt.

– W takim razie jak ci ludzie dostali się do środka? I nagle Judd już wiedział.

– Zrobili duplikat z kluczy Carol, kiedy ją zabili.

– To możliwe – zgodził się McGreavy. Na jego ustach pojawił się blady uśmiech. – Jeśli odciskali klucz, znajdziemy na nim ślady parafiny. Sprawdzimy to w laboratorium.

Judd przytaknął. Czuł się tak, jakby zdobył punkt w rozgrywce, ale uczucie satysfakcji nie trwało długo.

– A więc widzi to pan w ten sposób – podsumował McGreavy – dwóch mężczyzn, na razie zakładamy, że nie była w to zaangażowana żadna kobieta, dorobiło sobie klucz, by dostać się tutaj i zabić pana. Zgadza się?

– Tak.

Głos McGreavy'ego wprost ociekał słodyczą.

– Ale te drzwi także były otwarte.

– W takim razie musieli mieć też drugi klucz.

– I kiedy już uporali się z zamkiem, nie weszli, by pana zabić?

– Przecież mówiłem. Usłyszeli głosy na taśmie i...

– Dwóch zdesperowanych zabójców naraziło się na tyle kłopotów.

Wyłączyli światło, mieli pana zamkniętego w gabinecie, włamali się do niego, a wszystko po to, by zniknąć nie uszczknąwszy nawet włosa z pańskiej głowy – mówił to wyraźnie lekceważącym tonem.

Judd czuł narastający gniew.

– Co pan imputuje?

– Powiem to panu bardzo wyraźnie, doktorze. Nie sędzę, aby ktokolwiek tutaj w ogóle był, ani nie wierzę, że ktoś chciał pana zabić.

– Nie musi mi pan wcale wierzyć na słowo – odparł zirytowany Judd. – A co ze światłem? I z nocnym stróżem?

– Jest na dole.

Serce Judda przez chwilę przestało bić.

– Nieżywy?

– Kiedy nas wpuszczał, był jeszcze cały i zdrowy. Zdarzyła się awaria kabla przy głównym włączniku prądu. Bigelow zszedł na dół, żeby to naprawić. Właśnie skończył, kiedy się zjawiliśmy.

Judd spoglądał na niego jak odrętwiały.

– Aha – wykrztusił wreszcie.

– Nie wiem, w co pan gra, doktorze Stevens – powiedział McGreavy – ale od tej chwili proszę już na mnie nie liczyć. – Ruszył w stronę drzwi. – I niech mi pan wyświadczy pewną grzeczność. Proszę już do mnie nie wydzwaniać, to ja zadzwonię do pana.

Sierżant z trzaskiem zamknął notes i podążył za porucznikiem.

Cały efekt whisky wyparował w jednej chwili. Euforia minęła,

ustępując miejsca głębokiej depresji. Judd nie miał pojęcia, jaki powinien być jego następny krok. Znalazł się w samym środku zagadki, a nie miał do niej klucza. Czuł się jak chłopiec, który krzyczy: „wilki!” – tyle że wilkami były śmiertelnie niebezpieczne, niewidzialne fantomy, znikające za każdym razem, gdy na scenę wkraczał McGreavy. Fantomy albo... Istniała jeszcze jedna ewentualność. Była tak przerażająca, że bał się przyjąć ją do wiadomości. Ale musiał.

Musiał stawić czoło hipotezie, że stał się paranoikiem.

Umysł w stanie wytężonego stresu mógł zrodzić iluzje, a Judd wziął je za realne. Zbyt ciężko pracował. Od lat nie był na wakacjach. Niewykluczone, że śmierć Hansona i Carol stała się katalizatorem, który wepchnął go w emocjonalną przepaść, wszystko nabrało niezwykłych proporcji, cały świat przewrócił się do góry nogami. Ludzie cierpiący na paranoję żyją w świecie, w którym każdego dnia najnormalniejsze przedmioty zamieniają się w śmiertelnie groźną broń. Na przykład taki wypadek samochodowy. Jeśli byłaby to celowa próba morderstwa, na pewno kierowca wysiadłby i dokończył robotę. A ci dwaj, którzy zjawili się w biurze. Nie wiedział przecież, czy mieli broń. Czy paranoik założyłby, że przyszli go zabić? Logika wskazywała, że prawdopodobnie byli to po prostu złodzieje. Kiedy usłyszeli głosy dochodzące z gabinetu, zmyli się. Gdyby zjawili się z zamiarem popełnienia morderstwa, otworzyliby drzwi i zabili go. W jaki sposób mógł poznać prawdę? Wiedział, że ponowne zgłaszanie się na policję jest bezcelowe. Nie miał się do kogo zwrócić.

W jego umyśle zaczął formować się pewien pomysł. Zrodzony z desperacji. Jednak im bardziej Judd się zastanawiał, tym wydawał mu się

sensowniejszy. Sięgnął po książkę telefoniczną i zaczął wertować żółte strony.

Rozdział 9

U godzinie czwartej następnego popołudnia Judd wyszedł z gabinetu i pojechał na West Side. Zatrzymał się przed starym, rozwalającym się, ceglany budynkiem. Ogarnęły go wątpliwości. Może miał zły adres. Ale w tym momencie zauważył umieszczony w oknie pierwszego piętra napis:

NORMAN Z. MOODY

PRYWATNY DETEKTYW

SATYSFAKCJA GWARANTOWANA

Judd wysiadł z samochodu. Był mroźny, wietrzny dzień, w powietrzu czuło się zapowiedź śniegu. Ostrożnie ruszył oblodzonym chodnikiem, dotarł do budynku i wszedł do środka.

W westybulu smród uryny mieszał się z odorami kuchennymi. Doktor nacisnął przycisk obok nazwiska „Norman Z. Moody – i w tej chwili rozległ się dzwonek obwieszczający, że zamek został zwolniony. Wszedł do wnętrza i znalazł apartament numer 1. Na drzwiach widniała tabliczka z napisem:

NORMAN Z. MOODY

PRYWATNY DETEKTYW

ZADZWOŃ I WEJDŹ

Więc zadzwonił i wszedł.

Moody najwyraźniej nie był człowiekiem, który trwoniłby pieniądze na luksusy. Biuro wyglądało tak, jakby meblował je ślepiec. W kątach stały niezwykle przedmioty: poszarpany japoński parawan, lampa ze wschodnich Indii, a pod lampą porysowany, nowoczesny duński stół. Wszędzie leżały gazety i stare czasopisma.

Nagle otworzyły się wewnętrzne drzwi i pojawił się w nich Norman Z. Moody. Miał niewiele ponad sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, za to ważył dobre sto pięćdziesiąt kilo. Szedł rozkołysanym krokiem przypominając ożywiony posąg Buddy. Miał okrągłą, jowialną twarz o dużych, niewinnych, bladoniebieskich oczach. Jajowata głowa była całkowicie łysa. Nikt nie potrafiłby ocenić jego wieku.

– Pan Stevenson? – powitał go Moody.

– Doktor Stevens – uściślił Judd.

– Proszę, niech pan siada – powiedział Budda z południowym akcentem.

Judd rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś do siedzenia. Zdjął stos starych pism dla kulturystów i nudystów ze skrofulicznie wyglądającego skórzanego fotela i ostrożnie usiadł.

Moody ułożył swe ciało w ogromnym bujanym fotelu.

– No, dobrze! Co też ja mogę dla pana zrobić?

Judd wiedział już, że popełnił błąd. Przez telefon celowo podał Moody'emu swoje nazwisko. Nazwisko, które pojawiało się w czasie ostatnich kilku dni na pierwszych stronach gazet w Nowym Jorku. I trafił akurat na takiego detektywa, który w ogóle o nim nie słyszał. Usiłował wymyślić jakąś wymówkę, by móc sobie pójść.

– Kto mnie zarekomendował? – ponaglił go Moody. Judd zawahał się,

nie chcąc go urazić.

– Znalazłem pańskie nazwisko na żółtych stronach książki telefonicznej.

Moody roześmiał się.

– Nie wiem, co bym zrobił bez tych żółtych kartek – powiedział. – Największy wynalazek od czasu zbożowej nalewki. – Jeszcze raz parsknął śmiechem.

Judd podniósł się. Miał najwyraźniej do czynienia z kompletnym idiotą.

– Przepraszam, że stracił pan przeze mnie czas, panie Moody – powiedział. – Chyba powinienem się jeszcze zastanowić, zanim...

– Jasne, rozumiem – powiedział Moody. – Ale i tak musi mi pan zapłacić za wizytę.

– Oczywiście – zgodził się Judd. Sięgnął do kieszeni, z której wyjął kilka banknotów. – Ile?

– Pięćdziesiąt dolarów.

– Pięćdziesiąt? – Judd opanował gniew, odliczył banknoty i wcisnął je w dłoń Moody'ego. Detektyw przeliczył starannie pieniądze.

– Wielkie dzięki – powiedział.

Judd ruszył do drzwi czując, że zrobił z siebie durnia.

– Doktorze...

Judd odwrócił się. Moody uśmiechał się do niego łaskawie.

– Ponieważ już i tak stracił pan te pięćdziesiąt dolarów, równie dobrze może pan usiąść i opowiedzieć mi, na czym polega ten pański problem – rzekł łagodnie. – Zawsze powiadam, że nic tak nie przynosi ulgi jak zrzucenie ciężaru z piersi.

Judd o mało się nie roześmiał, słysząc te słowa od głupkowatego

grubasa. Całe życie psychoanalityka polegało na wysłuchiwaniu problemów, których chcieli się pozbyć pacjenci. Przez moment przyglądał się Moody'emu. Ostatecznie, cóż miał do stracenia? Może rozmowa z obcym dobrze mu zrobi. Wrócił na fotel.

– Patrząc na pana można by pomyśleć, że dźwiga pan na ramionach kłopoty całego świata, doktorze. Zawsze powiadam, że cztery ramiona są lepsze niż dwa.

Judd nie był pewny, ile aforyzmów Moody'ego zdoła wytrzymać.

Detektyw patrzył na niego uważnie.

– Co sprowadziło pana tutaj? Kobieta czy pieniądze? Zawsze powiadam, że gdyby zniknęły kobiety i pieniądze, natychmiast rozwiązałyby to większość problemów świata. – Moody przyglądał się Stevensowi czekając na odpowiedź.

– Ja... wydaje mi się, że ktoś chce mnie zabić. Niebieskie oczy zamrugały.

– Wydaje się panu? Judd zignorował pytanie.

– Może mógłby mi pan polecić kogoś, kto specjalizuje się w takich właśnie sprawach.

– Oczywiście, że mogę – powiedział Moody. – Norman Z. Moody. Najlepszy w całym kraju.

Judd westchnął zniechęcony.

– Dlaczego nie opowie mi pan wszystkiego, doktorze? – zachęcił Moody. – Zobaczmy, czy wspólnie uda nam się to trochę uporządkować.

Judd musiał się mimo wszystko uśmiechnąć. To było tak, jakby słuchał samego siebie. Proszę się położyć i mówić wszystko, co przychodzi panu do głowy. Czemu nie? Odetchnął głęboko i tak zwięźle jak potrafił,

opowiedział Moody'emu o wypadkach minionych dni. Zapomniał o obecności detektywa. Właściwie mówił do siebie. Układał w słowa poplątane wydarzenia. Ale nie wspomniał, że podejrzewa samego siebie o utratę zmysłów. Kiedy skończył, Moody spojrzał na niego pogodnie.

– No to ma pan problemik. Albo ktoś chce pana zamordować, albo boi się pan, że stał się schizofrenikiem paranoidalnym.

Judd spojrzał na niego zaskoczony. Punkt dla Normana Z. Moody'ego.

Detektyw mówił dalej:

– Twierdzi pan, że sprawą zajmuje się dwóch detektywów. Pamięta pan ich nazwiska?

Judd zawahał się. Nie bardzo miał ochotę wprowadzać tego człowieka w szczegóły. Właściwie jedyne, czego chciał, to uciec z tego miejsca.

– Frank Angeli – odpowiedział – i porucznik McGreavy. W zachowaniu Moody'ego nastąpiła prawie niedostrzegalna zmiana.

– Jaki powód miałby ktoś, żeby pana zabić, doktorze? – Nie mam pojęcia. O ile wiem, nie mam żadnych wrogów.

– Daj pan spokój. Każdy ich ma. Zawsze powiadam, że wrogowie to szczypta soli, bez której życie by tak nie smakowało.

Judd z trudem powstrzymał się od grymasu zniecierpliwienia.

– Żonaty?

– Nie – odpowiedział.

– Lubi pan chłopców? Judd westchnął.

– Proszę posłuchać, już raz przez to przechodziłem z policją i...

– Taaa. Tyle tylko, że mnie pan płaci za pomoc – stwierdził niewzruszony Moody. – Jest pan komuś winien pieniądze?

– Tylko normalne świadczenia.

– Co z pańskimi pacjentami?

– A co miałoby być?

– Zawsze powiadam, że gdy szukasz muszelek, idź na brzeg morza.

Pańscy pacjenci to świry, tak?

– Nie – odpowiedział Judd krótko. – To ludzie z problemami.

– Emocjonalnymi problemami, których sami nie potrafią rozwiązać.

Czy któryś z nich nie ma żalu do pana? Nie chodzi mi o żadne „uzasadnione pretensje, ale może wyobraźnia podsunęła mu coś przeciwko panu.

– To możliwe. Tylko jedna sprawa przeczy takiemu wytłumaczeniu. Większością pacjentów zajmuję się od roku lub dłużej. Przez taki czas zdołałem się o nich dowiedzieć tyle, ile jedna istota ludzka potrafi dowiedzieć się o drugiej.

– Nigdy nie wściekają się na pana? – zapytał niewinnym tonem Moody.

– Czasami. Ale my nie szukamy kogoś rozgniewanego. Szukamy paranoika o skłonnościach morderczych, który zabił przynajmniej dwoje ludzi i kilkakrotnie próbował pozbawić mnie życia. – Zawahał się, ale dodał: – Gdybym miał takiego pacjenta i nie rozpoznał choroby, byłbym najbardziej niekompetentnym psychoanalitykiem, jakiego można sobie wyobrazić.

Podniósł wzrok i zobaczył, że detektyw przygląda mu się uważnie.

– Zawsze powiadam, że najpierw to, co najważniejsze – stwierdził pogodnie Moody. – Przede wszystkim musimy określić, czy ktoś próbuje pana załatwić, czy to pański umysł przestał funkcjonować jak trzeba. Prawda, doktorze? – Uśmiechnął się tak szeroko, że trudno było potraktować jego słowa jako obrazę.

– Jak? – zapytał Judd.

– To proste – powiedział Moody. – Po pierwsze dowiemy się, czy ktoś z nami gra, a potem, kim są gracze. Ma pan samochód?

– Tak.

Judd już nie myślał o ucieczce i szukaniu innego detektywa. Za niewinną, poczciwą twarzą Moody’ego wyczuwał spokojną inteligencję.

– Wydaje mi się, że ma pan nerwy w strzępach – powiedział Budda. – Chciałbym, żeby wziął pan kilka dni wolnego.

– Kiedy? – Od jutra rano.

– To niemożliwe – zaprotestował Judd. – Mam wyznaczone spotkania z pacjentami....

Moody machnął niecierpliwie ręką.

– Niech pan je odwoła.

– Ale co dobrego...

– Czyja pana pouczam, jak ma pan wykonywać swoją pracę? – zapytał Moody. – Po wyjściu stąd uda się pan prosto do agencji podróży. Proszę zrobić rezerwację na pobyt w... – zastanawiał się przez chwilę – Grossinger. Prowadzi tam piękna droga przez Catskills... Czy w budynku, w którym pan mieszka, znajduje się garaż?

– Tak.

– Dobrze. Niech sprawdzą i przygotowują pana samochód do podróży. Nie chcę żadnych problemów po drodze.

– Czy nie mógłbym zrobić tego w przyszłym tygodniu? Jutro mam mnóstwo...

– Po załatwieniu rezerwacji wróci pan do biura i odwoła pacjentów. Proszę im powiedzieć, że wydarzyło się coś niespodziewanego i że wróci

pan za tydzień.

– Ja naprawdę nie mogę – powiedział Judd. – To poza...

– Dobrze by było również, gdyby zadzwonił pan do Angelego – ciągnął Moody. – Nie chcę, żeby szukała pana policja.

– Dlaczego mam to wszystko zrobić? – zapytał Judd.

– By nie stracić swych pięćdziesięciu dolarów. To mi o czymś przypomina: będę potrzebował kolejnych dwieście zaliczki. Plus pięćdziesiąt dziennie na wydatki.

Moody uniósł swój wielki brzuch z fotela.

– Chciałbym, żeby wyruszył pan jutro dość wcześnie rano – powiedział – wtedy dotrze pan na miejsce przed zapadnięciem zmroku. Mógłby pan wyjechać o siódmej?

– Ja... myślę, że tak. Czego mogę oczekiwać na miejscu?

– Przy odrobinie szczęścia informacji na temat graczy.

Pięć minut później głęboko zamyślony Judd wsiadał do samochodu. Powiedział Moody'emu, że nie może tak po prostu zniknąć i zostawić pacjentów. Ale wiedział, że to zrobi. Dosłownie powierzył swoje życie Falstaffowi świata prywatnych detektywów. Kiedy odjeżdżał, obrzucił spojrzeniem slogan w oknie biura:

SATYSFAKCJA GWARANTOWANA

Lepiej, żeby tak naprawdę było, pomyślał ponuro.

Przygotowania do podróży poszły gładko. Judd zatrzymał się w agencji podróży na Madison Avenue. Zarezerwował pokój w Grossinger, otrzymał mapę z zaznaczonym dojazdem i plik kolorowych broszur z Catskills.

Następnie zadzwonił do współpracującej z nim centrali telefonicznej i zlecił odwołanie spotkań z pacjentami na czas nieokreślony. Potem zatelefonował na dziewiętnasty komisariat i poprosił do telefonu detektywa Angelego.

– Angeli zachorował – odpowiedział bezosobowy głos. – Czy podać panu jego prywatny numer?

– Poproszę.

Kilka chwil później rozmawiał już z Angelim. Sądząc po głosie policjant był mocno przeziębiony.

– Zdecydowałem się wyjechać z miasta na kilka dni – powiedział Judd.

– Wyjeżdżam rano. Chciałem tylko pana zawiadomić.

Odpowiedziała mu cisza, najwyraźniej Angeli zastanawiał się nad tym, co właśnie usłyszał.

– To może nie być wcale taki zły pomysł – stwierdził wreszcie. – Dokąd się pan wybiera?

– Myślę, że pojedę do Grossinger.

– Dobra – powiedział Angeli. – Niech pana o nic głowa nie boli. Załatwię to z McGreavym. – Zawahał się. – Słyszałem, co się stało u pana w gabinecie zeszłego wieczoru.

– To znaczy, że słyszał pan wersję porucznika – sprostował Judd.

– Widział pan tego mężczyznę, który przyszedł pana zabić?

Więc przynajmniej Angeli mu wierzył. – Nie.

– Nic, co by mogło pomóc nam w poszukiwaniach? Kolor skóry, wiek, wzrost?

– Przykro mi – odpowiedział Judd. – Było ciemno. Angeli westchnął.

– No dobrze. Rozejrzemy się. Może będziemy mieli jakieś dobre

wieści, kiedy pan wróci. Proszę uważać, doktorze.

– Będę – powiedział z wdzięcznością Judd i odłożył słuchawkę.

Następnie zadzwonił do pracodawców Harrisona Burke'a i w skrócie przedstawił im jego sytuację. Chorego trzeba zamknąć w zakładzie, i to jak najszybciej. Potem Judd skontaktował się z Peterem, wyjaśnił, że musi na tydzień wyjechać z miasta, i poprosił o dopilnowanie koniecznych formalności w sprawie Burke'a. Peter zgodził się.

Złatwił wszystko, co należało.

Jednak najbardziej dręczyło Judda to, że nie spotka się w piątek z Anną. Być może już nigdy jej nie zobaczy.

Wracając do domu myślał o Normanie Z. Moodym. Wydawało mu się, że wie, o co chodziło detektywowi. Zawiadamiając wszystkich pacjentów o wyjeździe doktora, Moody zastawiał pułapkę z Juddem w roli przynęty. Jeśli morderca w ogóle istniał i był jednym z pacjentów, mógł w nią wpaść.

Moody poinstruował go, by zostawił swój wakacyjny adres w centrali telefonicznej i u portiera. W ten sposób każdy, kogo interesowałoby, dokąd pojechał, mógł zdobyć tę informację.

Przed domem na spotkanie doktorowi wyszedł portier.

– Wyjeżdżam jutro rano, Mike – poinformował go Judd. – Dopilnuj, by w garażu sprawdzili samochód i zatankowali benzynę.

– Zajmę się tym, doktorze Stevens. O której godzinie będzie panu potrzebny samochód?

– Wyjeżdżam o siódmej. – Wchodząc do budynku Judd czuł na sobie spojrzenie portiera.

Dotarł do mieszkania, zamknął drzwi na klucz i sprawdził po kolei

okna. Wszystko wydawało się w jak najlepszym porządku.

Wziął dwie tabletki kodeiny, rozebrał się i ostrożnie zanurzył obolałe ciało w gorącej wodzie. Poczuł, jak opuszcza go napięcie. Leżał błogosławiąc dobrodziejstwo wanny, i rozmyślał. Dlaczego Moody ostrzegł go przed wypadkami na drodze? Ponieważ najbardziej prawdopodobnym miejscem, gdzie mógł zostać zaatakowany, była opustoszała szosa przez Catskills. A co zrobiłby Moody, w przypadku gdyby Stevens został zaatakowany? Detektyw nie chciał zdradzić swego planu, jeśli w ogóle go posiadał. Im dokładniej Judd analizował całą sytuację, tym bardziej był przekonany, że pakuje się prosto w pułapkę. Moody twierdził, że zastawia ją na prześladowców doktora. Ale niezależnie od tego, z jakiego punktu widzenia Judd na to patrzył, nasuwała się ta sama odpowiedź: pułapka przeznaczona była dla niego. Tylko dlaczego? Jaki interes miałby Moody w zabijaniu go? Mój Boże, pomyślał Judd. Wybrałem jego nazwisko na chybił trafił z żółtych kartek książki telefonicznej Manhattanu, a teraz zaczynam myśleć, że on chce mnie zabić. Naprawdę jestem paranoikiem!

Czuł, jak oczy same mu się zamykają. Pigułki i gorąca kąpiel zrobiły swoje. Znużony wyszedł z wanny, wytarł się starannie i założył pidżamę. Położył się do łóżka i nastawił budzik na godzinę szóstą. I zapadł w głęboki sen.

O szóstej, kiedy zadzwonił budzik, Judd natychmiast się rozbudził. Jego pierwszą myślą było: nie wierzę w serię przypadków i nie wierzę, by któryś z moich pacjentów był wielokrotnym mordercą. Z tego wniosek, że albo sam już jestem paranoikiem, albo właśnie się nim staję.

Musiał koniecznie skonsultować się z innym lekarzem, i to jak

najszybciej. Mógł zadzwonić do doktora Robbiego. Wiedział, że taki krok oznaczałby koniec jego zawodowej kariery, ale na to już nic nie mógł poradzić. Jeśli cierpi na paranoję, będą musieli zamknąć go w zakładzie. Czy Moody podejrzewał, że ma do czynienia z chorym psychicznie? Może dlatego sugerował odpoczynek? Po prostu zauważył pierwsze oznaki załamania nerwowego, a wcale nie wierzył, by ktoś czyhał na życie Judda? W takim razie najrozsądniej byłoby posłuchać rady Moody'ego i wyjechać do Catskills na kilka dni, zostawiając wszystkie napięcia za sobą. W samotności spokojnie wszystko sobie poukładać, znaleźć punkt, w którym umysł zaczął mu płatać figle i tracić kontakt z rzeczywistością. Po powrocie umówiłby się z doktorem Robbiem i oddał w jego ręce.

Była to bardzo bolesna decyzja, ale Judd po jej podjęciu poczuł się znacznie lepiej. Ubrał się, zapakował do niewielkiej torby rzeczy konieczne na pięć dni i wyniósł ją do windy.

Eddiego nie było jeszcze na służbie, więc musiał windę obsłużyć sam. Zjechał na poziom garaży. Rozejrzał się, szukając zajmującego się samochodami Wilta, ale nigdzie nie było go widać. Garaż wyglądał na opustoszały.

Samochód Judda stał zaparkowany w rogu cementowej ściany. Doktor podszedł do niego, wrzucił torbę na tylne siedzenie, otworzył drzwi i usadowił się wygodnie na miejscu kierowcy. Włożył kluczyk w stacyjkę i w tym momencie jak spod ziemi wyrósł przed nim mężczyzna. Serce Judda zabiło niespokojnie.

– Jest pan punktualny – powiedział Moody.

– Nie wiedziałem, że chce mnie pan pożegnać – odparł Judd.

Moody uśmiechnął się do niego promiennie. Jego twarz przypominała

oblicze cherubina.

– Nie miałem nic lepszego do roboty, a nie mogłem spać. Judd poczuł nagle wdzięczność za takt, z jakim Moody rozegrał tę sytuację. Żadnej wzmianki o stanie psychicznym Judda, tylko szczerą propozycją, by lekarz wyjechał z miasta i odpoczął. Judd mógł przynajmniej udawać, że wszystko jest całkiem w porządku.

– Doszedłem do wniosku, że ma pan rację. Wyjadę i zobaczymy, czy uda się ustalić, kto z kim gra.

– O, po to nigdzie nie musi pan jeździć – powiedział Moody. – Wszystko zostało wyjaśnione.

Judd wpatrywał się w niego pustym spojrzeniem.

– Nie rozumiem.

– To proste. Zawsze powiadam, jeśli chcesz zejść na dno, zacznij kopać.

– Panie Moody...

Detektyw oparł się o drzwiczki samochodu.

– Wie pan, co mnie zaintrygowało w pańskiej sprawie, doktorze? Wyglądało, jakby co pięć minut ktoś chciał pana zabić – być może chciał. I właśnie to „być może” mnie fascynowało. Nie mamy się czego złapać, póki nie stwierdzimy, czy to z panem jest nienajlepiej, czy może ktoś naprawdę chce z pana zrobić trupa.

Judd wpatrywał się w niego bacznie wzrokiem.

– Ale Catskills... – powiedział słabym głosem.

– Och, do Catskills nigdy nie miał pan jechać. – Moody otworzył drzwi samochodu. – Proszę wysiąść.

Nic z tego nie rozumiejąc Judd wysiadł z auta.

– Widzi pan, to był po prostu taki rodzaj ogłoszenia. Zawsze powiadam, że jeśli chce się złapać rekina, najpierw trzeba ochrzcić wodę krwią.

Judd przyglądał się mu uważnie.

– Obawiam się, że nie dojechałby pan do Catskills – powiedział łagodnie Moody.

Obszedł samochód i podniósł maskę. Judd zbliżył się do niego. Do rozrządu przyczepione były trzy laski dynamitu. Dwa druciki przymocowane z jednej strony do zapłonu zwisały teraz luźno.

– Pułapka – powiedział Moody.

Judd spojrzał na niego zdumiony. – Ale jak pan... Moody uśmiechnął się.

– Mówiłem już, że mam kłopoty ze spaniem. Przyszedłem tutaj około północy. Zapłaciłem nocnemu stróżowi za to, by sobie poszedł i zabawił się, a sam zostałem. Stróż kosztował następne dwadzieścia dolarów – dodał. – Nie chciałem, by wyszedł pan na skąpiradło.

Judd poczuł nagły przyływ sympatii do małego grubasa.

– Czy widział pan, kto to zrobił?

– Nie. Dynamit założono, jeszcze zanim przyszedłem. O szóstej rano stwierdziłem, że już nikt się nie pojawi, więc obejrzałem samochód. – Wskazał na zwisające przewody. – Pana przyjaciele to prawdziwi spryciarze. Przygotowali podwójną pułapkę. Dynamit mógł być zdetonowany zarówno w chwili podniesienia maski, jak i przekręcenia kluczyka. Jest tu dość materiału, żeby wysadzić w powietrze pół garażu.

Judd poczuł nagle skurcz żołądka. Moody popatrzył na niego ze współczuciem.

– Proszę się rozchmurzyć – powiedział. – Naprawdę posunęliśmy się do przodu. Wiemy już dwie rzeczy. Po pierwsze, i to jest najważniejsze, że nie jest pan świrem. A po drugie – teraz już się nie uśmiechał – że komuś bardzo zależy, by pana zabić, doktorze Stevens.

Rozdział 10

Siedzieli w salonie Judda i rozmawiali. Ogromne ciało Moody'ego zajmowało dużą część kanapy. Wcześniej detektyw zebrał starannie wszystkie części rozbrojonego ładunku wybuchowego i schował je w bagażniku własnego samochodu.

– Czy nie powinien pan raczej zostawić dynamitu tam, gdzie był, żeby policja mogła go zbadać? – zapytał Judd.

– Zawsze powiadam, że najbardziej przeszkadza nadmiar informacji.

– Ale to udowodniłoby porucznikowi McGreavy'emu, że mówię prawdę.

– Tak pan sądzi?

Judd wiedział, o co chodziło detektywowi. Zgodnie z rozumowaniem porucznika doktor sam mógł założyć bombę. Ale nadal wydawało mu się dziwne, że prywatny detektyw ukrywa dowody przed policją. Miał wrażenie, że Moody jest jak ogromny lodolamacz. Prawdziwa jego natura skrywała się pod powierzchnią, którą stanowiła fasada łagodnego małomiasteczkowego funkcjonariusza. Ale teraz, słuchając Moody'ego, doznawał uniesienia. Nie oszalał i to, co mu się przydarzyło, nie było całkiem przypadkowe. Na wolności grasował zbrodniarz. Morderca z krwi i kości. I z jakiegoś powodu obrał Stevensa za swój cel. Mój Boże – pomyślał Judd – jak łatwo można zniszczyć nasze ego. Przecież jeszcze kilka minut temu gotów był uwierzyć, że jest paranoikiem. Miał w stosunku do Moody'ego ogromny dług wdzięczności.

– Pan jest lekarzem – mówił detektyw. – A ja jestem tylko starym

szpiclem. Zawsze powiadam, jeśli chcesz miodu, idź do ula.

Judd powoli zaczynał rozumieć żargon, którym posługiwał się Moody.

– Chciałby pan usłyszeć moją opinię na temat człowieka czy ludzi, których szukamy?

– Właśnie – rozpromienił się Moody. – Czy mamy do czynienia z kimś ogarniętym szałem mordowania, kto uciekł z wariatkowa...

Zakładu psychiatrycznego, automatycznie poprawił w myśli Judd.

– ... czy jest to coś poważniejszego?

– Coś poważniejszego – odparł bez zastanowienia Judd.

– Dlaczego tak pan myśli, doktorze?

– Po pierwsze, do mojego biura włamywało się dwoje ludzi. Byłbym w stanie przełknąć teorię o jednym wariacie, ale dwóch współpracujących ze sobą to zbyt wiele.

Moody pokiwał aprobowująco głową.

– Łapię. Co dalej?

– Po drugie, obłąkany umysł podlega obsesji, ale działa zgodnie z jakimś wzorem. Nie wiem, z jakiego powodu zginęli John Hanson i Carol Roberts, ale wydaje mi się, że ja miałem być trzecią i ostatnią ofiarą.

– Dlaczego uważa pan, że ostatnią? – zapytał z wyraźnym zainteresowaniem Moody.

– Ponieważ – odparł Judd – jeśli miałyby się zdarzyć inne morderstwa, to po pierwszym nieudanym zamachu na mnie mordercy zajęliby się następnymi osobami na liście. A oni koncentrują się na kolejnych próbach usunięcia mnie spośród żywych.

– Wie pan co – powiedział z uznaniem Moody – ma pan naturalne zdolności detektywistyczne.

Judd zmarszczył czoło.

– Jest kilka spraw, które nie mają sensu.

– Na przykład?

– Po pierwsze, motyw – powiedział Judd. – Nie znam nikogo, kto...

– Do tego jeszcze wrócimy. Co dalej?

– Jeśli komuś rzeczywiście zależało na tym, żeby mnie zabić, to po nieskutecznym potrąceniu mnie samochodem wystarczyło, żeby kierowca się cofnął i najechał na mnie jeszcze raz. Byłem nieprzytomny.

– Aha. I tu na scenę wkracza pan Benson. Judd spojrzał na niego pytająco.

– Pan Benson był świadkiem wypadku – wyjaśnił uprzejmie Moody. – Znalazłem jego nazwisko w raporcie policyjnym. Byłem u niego po pańskiej wizycie w moim biurze. Trzy i pół dolara na taksówki. OK?

Judd przytaknął bez słowa.

– Pan Benson jest kuźnierzem, tak dla pańskiej wiadomości. Robi naprawdę piękne rzeczy. Gdyby chciał pan kiedyś kupić coś dla ukochanej, załatwię panu zniżkę. W każdym razie w czwartek, wtedy właśnie, kiedy się zdarzył wypadek, Benson wychodził z biurowca, gdzie pracuje jego bratowa. Przyniósł jej jakieś lekarstwa dla brata, który nazywa się Matthew i jest domokrażcą sprzedającym Biblię. Zachorował na gripę, więc miała zanieść mu do domu te lekarstwa.

Judd opanował zniecierpliwienie. Nawet jeśli Norman Z. Moody zamierzał siedzieć tu i recytować całą listę praw obywatelskich, on był gotów tego wysłuchać.

– Tak więc pan Benson zaniósł lekarstwa i wychodził właśnie z budynku, kiedy zobaczył najeżdżającą na pana limuzynę. Oczywiście

wtedy nie wiedział, że to pan.

Judd skinął głową.

– Samochód skręcał za bardzo w stronę chodnika. Z miejsca, gdzie stał Benson, wyglądało to tak, jakby wpadł w poślizg. Kiedy zobaczył, że samochód uderzył w pana, ruszył biegiem na pomoc.

Kierowca cofnął wóz z zamiarem kolejnego ataku, ale w tym momencie zauważył Bensaona i zwiął, aż się za nim kurzyło. Judd poczuł, że ma sucho w gardle.

– Więc gdyby nie trafił się pan Benson...

– Tak – zgodził się pogodnie Moody. – Można powiedzieć, że pan i ja nigdy byśmy się nie spotkali. Ci chłopcy nie żartują. Im naprawdę na panu zależy, doktorze.

– A co z włamaniem do mojego biura? Dlaczego nie wyważyli drzwi?

Moody przez chwilę zastanawiał się w milczeniu.

– Zagadkowa sprawa. Powinni byli włamać się, zabić pana, nawet gdyby musieli załatwić jeszcze kogoś. Nikt by ich nie widział. A oni po prostu poszli sobie, kiedy stwierdzili, że nie jest pan sam.

– To nie pasuje do reszty historii – powiedział trąc z zastanowieniem dolną wargę. – Chyba że...

– Chyba że co?

Na twarzy Moody'ego pojawił się wyraz zastanowienia.

– Tak sobie myślę, czy... – westchnął.

– Co?

– Na razie wolę jeszcze tego nie mówić. Mam taki mały pomysł, ale dopóki nie znajdę motywu, to nie ma sensu.

Judd wzruszył bezradnie ramionami.

– Nie znam nikogo, kto chciałby mnie zabić. Moody zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Doktorze – powiedział wreszcie – czy nie było jakiegoś sekretu, który dzielił pan z pacjentami, na przykład z Hansonem, a może z Carol Roberts? Coś, o czym wiedzieliście tylko wy troje?

Judd potrząsnął głową.

– Jedynymi tajemnicami są problemy moich pacjentów. I w żadnej historii choroby nie ma nic, czego zdobycie usprawiedliwiłoby morderstwo. Nikt z moich pacjentów nie jest tajnym agentem ani szpiegiem, ani zbiegłym zbrodniarzem. Są to najnormalniejsi ludzie: gospodynie domowe, ciężko pracujący mężczyźni, tyle tylko, że mają kłopoty i nie potrafią sobie sami z nimi poradzić.

Moody patrzył na niego uważnie.

– I jest pan pewny, że nie ukrył się wśród nich żaden szaleniec o morderczych skłonnościach?

Głos Judda zabrzmiał zdecydowanie.

– Jestem pewny. Wczoraj mogłem jeszcze mieć wątpliwości. Jeśli chce pan znać prawdę, zacząłem podejrzewać samego siebie o paranoję, a pana, że stara się spełnić kaprys chorego człowieka.

Moody uśmiechnął się do niego.

– Coś takiego przyszło mi nawet do głowy – przyznał. – Ale po telefonicznej rozmowie, kiedy umówiliśmy się na spotkanie, sprawdziłem pana. Zadzwoiłem do kilku moich dobrych znajomych, lekarzy. Ma pan niezłą reputację.

A więc rzucone na powitanie „panie Stevenson” było tylko elementem fasady prowincjonalnego urzędnika.

– Jeśli teraz udamy się na policję – powiedział Judd – z tym, co już mamy, może przynajmniej uda nam się ich zmusić, żeby zaczęli szukać, kto się za tym wszystkim kryje.

Moody spoglądał na niego z pewnym zdziwieniem.

– Tak pan myśli? Wcale nie mamy zbyt wiele do powiedzenia, doktorze.

To była prawda.

– Nie chcę pana zniechęcać – rzekł Moody. – Wydaje mi się, że sporo osiągnęliśmy. Zawężaliśmy sobie dość ładnie pole działania.

– Pewnie. – W głosie Judda pojawiła się nuta zniechęcenia. – To może być każdy, kto mieszka na kontynencie amerykańskim.

Moody siedział przez chwilę wpatrując się w sufit. Wreszcie potrząsnął głową.

– Rodziny – westchnął.

– Rodziny?

– Doktorze, wierzę panu, kiedy mówi pan, że zna na wylot swoich pacjentów. I gdy pan twierdzi, że żaden z nich nie mógł czegoś takiego zrobić. To jest pańska pasieka i pan pilnuje tego miodu. – Pochylił się do przodu. – Ale proszę mi powiedzieć jedną rzecz. Kiedy przyjmuje pan pacjenta, czy rozmawia pan także z jego rodziną?

– Nie. Czasami najbliżsi nie są nawet świadomi, że dana osoba odwiedza psychoanalityka.

Moody zadowolony rozparł się znowu na kanapie.

– No i ma pan – powiedział. Judd spoglądał na niego uważnie.

– Sądzi pan, że chciał mnie zabić ktoś z rodziny któregoś pacjenta?

– To możliwe.

– Nie miałyby nawet takich motywów jak pacjenci. Moody podniósł się z wyraźnym trudem.

– Tego się nigdy nie wie, doktorze. Powiem panu, czego od pana oczekuję. Proszę dać mi listę osób, które odwiedzały pana w ciągu ostatnich czterech czy pięciu tygodni. Czy może pan to zrobić?

Judd zawahał się.

– Nie – odrzekł wreszcie.

– Zaufanie między lekarzem a pacjentem? Wydaje mi się, że tym razem można by trochę się ugiąć. Chodzi o pańskie życie.

– Uważam, że jest pan na złej drodze. To, co się zdarzyło, nie ma nic wspólnego ani z moimi pacjentami, ani z ich rodzinami. Gdyby wśród najbliższych tych osób, z którymi przeprowadzałem psychoanalizę, zdarzył się przypadek obłądu, wyszłoby to w czasie rozmów. – Pokręcił głową. – Przykro mi, panie Moody. Muszę chronić ludzi, którzy się u mnie leczą.

– Mówił pan, że w aktach nie ma nic ważnego.

– Nic ważnego dla nas. – Przypomniały mu się niektóre z nagranych rozmów. John Hanson podrywający żeglarzy w pedalskich barach na Trzeciej Alei. Teri Washburn oddająca się po kolei członkom muzycznego zespołu. Czternastoletnia Evelyn Warshak, prostytutka... – Przykro mi – powtórzył. – Nie mogę udostępnić tych akt. Moody wzruszył ramionami.

– Niech będzie – powiedział. – Ale w takim razie musi pan wykonać trochę pracy za mnie.

– O co chodzi?

– Proszę wyjąć taśmy wszystkich, z którymi spotykał się pan przez ostatni miesiąc. Niech pan przesłucha je uważnie. Ale tym razem nie jako

lekarz: proszę postawić się w roli detektywa, może coś panu zazgrzyta.

– I tak to robię. Na tym właśnie polega moja praca.

– Proszę to zrobić jeszcze raz. I mieć uszy otwarte. Nie chciałbym stracić pana przed zakończeniem tej sprawy. – Sięgnął po płaszcz i wbił się w niego, podrygując niby słoń w składzie porcelany.

Mówi się, że tędy ludzie poruszają się z wdziękiem, ale na pewno nie dotyczyło to Moody'ego.

– Wie pan, co jest najdziwniejsze w tym całym bałaganie? – powiedział z zastanowieniem detektyw.

– Co?

– Sam mi pan to wskazał mówiąc, że było dwóch mężczyzn. Jednemu mógł pan nastąpić na odcisk, ale dwóm?

– Nie mam pojęcia, co o tym myśleć.

Moody przyglądał mu się przez chwilę badawczo.

– Na Boga! – wykrzyknął wreszcie.

– O co chodzi?

– Urządziłem właśnie burzę mózgu. Jeśli mam rację, może być nawet więcej zabójców.

Judd patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Myśli pan, że cała grupa szaleńców stara się mnie dopaść? To nie ma najmniejszego sensu.

Na twarzy detektywa pojawił się wyraz podniecenia.

– Doktorze, mam pewne wyobrażenie, kto może być sędzią w tym meczu – spojrzał na Judda rozjaśnionym wzrokiem. – Nie wiem jeszcze, o co ani dlaczego toczy się gra, ale możliwe, że wiem, kto w niej bierze udział.

– Kto?

Moody potrząsnął głową.

– Gdybym panu powiedział, wysłałby mnie pan do wariatkowa. Zawsze powiadam, że zanim zaczniesz się strzelać z własnych ust, trzeba najpierw sprawdzić, czy się ma amunicję. Najpierw oddam próbny strzał. Jeśli będzie trafiony, powiem panu.

– Mam nadzieję, że idzie pan dobrym tropem – z powagą powiedział Judd.

Moody patrzył na niego przez chwilę.

– Nie, doktorze. Jeśli ceni pan choć trochę swoje życie, niech się pan modli, bym się mylił.

I wyszedł.

Judd pojechał do biura taksówką.

Był piątek, południe. Pozostały tylko trzy dni do Gwiazdki, na ulicach tłoczyli się spóźnialscy, którzy walcząc z ostrymi podmuchami wiatru od Hudsonu pośpiesznie robili ostatnie zakupy. Wesole i jasne witryny sklepów ozdabiały rozświetlone choinki i postacie z szopki. Pokój na Ziemi. Gwiazdka. Elizabeth i ich nienarodzone dziecko. Pewnego dnia, może już niedługo – jeśli będzie nadal żył – on też osiągnie spokój, uwolni się od przeszłości, która umarła dawno temu. Wiedział, że z Anną udałoby mu się... Ale nie wolno mu o tym myśleć. Co dadzą fantazje na temat zameężnej kobiety wyjeżdżającej właśnie ze swym mężem, którego na dodatek kocha. Taksówka podjechała pod biurowiec i Judd wysiadł, nerwowo rozglądając się wokoło. Czego właściwie wypatrywał? Nie miał pojęcia, jaką broń chciał zastosować morderca, ani kto mógł się nią

posłużyć.

Kiedy dotarł do gabinetu, zamknął na klucz drzwi, po czym podszedł do półki z kasetami i otworzył ją. Wszystkie materiały ułożone były chronologicznie, każda taśma podpisana nazwiskiem pacjenta. Wyjął najświeższe i położył przy magnetofonie. Ponieważ na ten dzień odwołał wszystkie spotkania, mógł się skupić na poszukiwaniach jakiejś nici prowadzącej do przyjaciół lub rodziny któregoś z pacjentów. Uważał sugestię Moody'ego za naciąganą, ale miał zbyt wiele szacunku dla detektywa, by ją zignorować.

Kiedy włożył pierwszą kasetę, przypomniało mu się, w jakich okolicznościach korzystał z magnetofonu ostatnim razem. Czy wydarzyło się to zaledwie ubiegłej nocy? We wspomnieniach przeżyty koszmar zdawał się taki wyraźny. Ktoś postanowił zamordować go tutaj, w tym samym pokoju, gdzie wcześniej straciła życie Carol.

Nagle uświadomił sobie, że nie pomyślał wcale o pacjentach w klinice przyszpitalnej, w której pracował raz w tygodniu przed południem. Być może dlatego, że morderca kręcił się raczej koło gabinetu niż w pobliżu szpitala. Ale jednak... Podszedł do tej części szafy, która oznaczona była etykietką „Klinika”. Przebiegł wzrokiem kasety i wreszcie wybrał kilka. Włożył pierwszą z nich do magnetofonu.

Rosę Graham.

– ... wypadek, doktorze. Nancy strasznie płakała. Zawsze była mazgajem, więc kiedy ją biłam, to tylko dla jej dobra. Rozumie pan, doktorze?

– Czy starałaś się dowiedzieć, dlaczego Nancy tak często płacze? – zapytał głos Judda.

– Bo jest rozpuszczona. Jej ojciec rozpuścił ją jak dziadowski bicz, a potem uciekł i zostawił nas. Nancy zawsze uważała, że jest córeczką tatusia, ale gdyby Harry naprawdę ją kochał, to czy by uciekł?

– Ty i Harry nie mieliście ślubu, prawda?

– Myślę, że zgodnie z prawem zwyczajowym byliśmy małżeństwem. I mieliśmy się pobrać.

– Jak długo żyliście razem?

– Cztery lata.

– Ile czasu minęło od odejścia Harry’ego do chwili, kiedy złamałaś Nancy rękę?

– Wydaje mi się, że jakiś tydzień. Nie chciałam jej złamać ręki. Ale nie przestawała płakać i wreszcie wzięłam kij do zasłon i zaczęłam ją okładać.

– Czy myślisz, że Harry kochał Nancy bardziej niż ciebie?

– Nie. Harry miał na moim punkcie kompletnego bzika.

– W takim razie dlaczego cię zostawił?

– Ponieważ jest mężczyzną. Nie wie pan, jacy są mężczyźni? To zwierzęta! Wszyscy, co do jednego. Powinni być szlachtowani jak świnie!

– Zaczęła płakać.

Judd wyłączył taśmę i pomyślał o Rosę Graham. Była typem psychotycznego mizantropa i o mało dwukrotnie nie zatłukła na śmierć swojej sześciolatniej córeczki. Ale morderstwa, które zaprzętały jego uwagę, nie pasowały do wzorca jej psychozy.

Włożył kolejną kasetę z kliniki.

– Policja twierdzi, że zaatakowałaś Championa nożem, Fallon.

– On kazał mi to zrobić. – Kto?

– Bóg.

– Dlaczego Bóg kazał ci go zabić?

– Ponieważ Champion jest złym człowiekiem. Aktorem. Widziałem go na scenie. Całował tamtą kobietę. Na oczach całej publiczności. Pocałował ją i...

Cisza.

– Mów dalej.

– Dotykał jej... cycków.

– Czy to cię tak bardzo zdenerwowało?

– Oczywiście. Po prostu mną wstrząsnęło. Czy nie rozumiesz, co to znaczy? Posiadał cielesną wiedzę o niej.

Wychodząc z teatru czułem się tak, jakbym właśnie opuścił Sodomę i Gomorę. Należało ich ukarać.

– Więc postanowiłeś go zabić.

– To nie ja tak postanowiłem, tylko Bóg. Ja tylko robiłem to, co mi kazał.

– Czy Bóg często z tobą rozmawia?

– Tylko wtedy, gdy jest jakaś robota do wykonania. Wybrał mnie na swoje narzędzie, ponieważ jestem czysty. Czy wiesz, co czyni mnie czystym? Czy wiesz, co jest najbardziej oczyszczające na świecie? Zabijanie czyniących zło.

Alexander Fallon. Trzydzieści pięć lat. Pomocnik piekarza. Został wysłany do szpitala dla umysłowo chorych, a po jakimś czasie zwolniony. Czy Bóg kazał mu zniszczyć homoseksualistę Hansona i byłą prostytutkę Carol, a także Judda, ich opiekuna? Judd stwierdził, że to mało prawdopodobne. Proces myślowy Fallona przebiegał w krótkich, bolesnych spazmach. Ten, kto zaplanował te morderstwa, był nadzwyczaj

zorganizowany.

Przesłuchał jeszcze kilka taśm, ale żaden przypadek nie pasował do wzoru, którego szukał.

Przebiegł wzrokiem po imiennym spisie pacjentów i jedno nazwisko przykuło jego uwagę.

Skeet Gibson.

Włożył kasetę.

– Dzieńdoberek, doktoru. Jak się panu podoba ten prześliczny dzionek, który wysmażyłem dla pana?

– Jesteś dziś w doskonałym nastroju.

– Gdybym był w jeszcze lepszym, musieliby mnie zamknąć. Widział pan mój występ wczoraj wieczorem?

– Nie, przykro mi, ale nie mogłem.

– Było wspaniale. Jack Gould nazwał mnie „najcudowniejszym komikiem świata”, a czy ja mogę dyskutować z takim geniuszem jak on? Szkoda, że nie słyszał pan, jak reagowała publiczność! Aż to się stało niesmaczne. Czy wie pan, czego to dowodzi?

– Ze umieją czytać wyświetlane napisy, podpowiadające, kiedy należy się śmiać.

– Sprytny z pana stary diabeł. To właśnie lubię: psychol z poczuciem humoru. Poprzednie sesje prowadziła ze mną prawdziwa kłoda. Na dodatek z wąsiskami, co działało na mnie jak płachta na byka.

– Dlaczego?

– Ponieważ to była dania. Wybuch śmiechu.

– Dobry dowcip, co, stary pierdzielu. Ale mówiąc poważnie, jednym z powodów mego zadowolenia jest to, że właśnie zadeklarowałem milion

dolarów – możesz je przeliczyć, milion zielonych – na pomoc dzieciom w Biafrze.

– Nic dziwnego, że humor ci dopisuje.

– Żebyś wiedział. Możesz się założyć o swego słodkiego ptaszka. Napiszą o tym we wszystkich gazetach na całym świecie.

– To dla ciebie ważne?

– O co ci chodzi? Ilu facetów deklaruje taką masę szmalu? Powinieneś zadać w swój własny róg, Piotrusiu Panie. Cieszę się, że stać mnie na zadeklarowanie takiej kupy pieniędzy.

– Ciągłe używasz słowa „zadeklarować”. Masz na myśli „dać”?

– Zadeklarować, dać, co za różnica. Zadeklarujesz milion, dasz trochę, a i tak będą cię całować po tyłku... Mówiłem ci, że dzisiaj jest moja rocznica ślubu?

– Nie. Wszystkiego najlepszego.

– Dzięki. Piętnaście cudownych lat. Nigdy nie poznałeś Sally. Najśłodsza pupka, jaka kiedykolwiek chodziła po bożej ziemi. Naprawdę jestem szczęściarzem. Czy wiesz, jakim wrzodem na dupie może być rodzinka małżonki? Otóż Sally ma dwóch braci, Bena i Charleya. Opowiadałem ci o nich. Ben jest głównym scenarzystą w moim przedstawieniu, a Charley producentem. To prawdziwi geniusze. Występuję w telewizji od siedmiu lat. Nigdy nie spadłem z topowej dziesiątki. Sprytnie się wżenić w taką rodzinę, co? Większość kobiet robi się gruba i zaniedbana, kiedy tylko złapie męża. Ale Sally, niech Bóg ją błogosławi, jest szczuplejsza niż w dniu naszego ślubu. Co za klasa!... Masz papierosa?

– Proszę. Myślałem, że rzuciłeś palenie.

– Chciałem po prostu udowodnić sobie, że nie straciłem siły woli, więc rzuciłem. Teraz palę, ponieważ mam ochotę... Wczoraj zawarłem nową umowę z telewizją. Naprawdę ich zaszachowałem. Czy mój czas już się kończy?

– Nie. Czemu jesteś taki niespokojny, Skeet?

– Powiem ci prawdę, skarbie. Jestem w tak znakomitej formie, że nie wiem, po co, u diabła, mam jeszcze tu przychodzić.

– Żadnych problemów?

– U mnie? Chyba żartujesz. Coś ci powiem. Naprawdę bardzo mi pomogłeś. Jesteś moim ulubieńcem. Robisz niezły szmal, co? Myślę, że sam powinienem otworzyć taki gabinecik... To mi przypomina jedną historię o facecie, który poszedł do psychologa, ale był tak zdenerwowany, że tylko się położył na leżance i nie powiedział ani słowa. Po godzinie ten lekarz od główek mówi mu: „Poproszę pięćdziesiąt dolarów”. I tak to trwało przez dwa lata, a ten szmondak nie odzywał się nigdy ani słowem. Wreszcie nie wytrzymał i powiedział: „Doktorze, czy mogę zadać panu pytanie?” „Oczywiście”, odpowiedział lekarz. A facecik pyta: „Nie potrzebuje pan współnika?”

Głośny wybuch śmiechu.

– Masz aspirynę czy coś w tym guście?

– Oczywiście. Zaczyna cię męczyć ból głowy?

– Nic, z czym nie mógłbym sobie poradzić, chłopie... Dzięki. To zaraz pomoże.

– Jak myślisz, skąd się biorą te bóle głowy?

– To normalne, kiedy się robi w rozrywce... Ciężka harówka. Dziś po południu mamy próbę.

– Dlatego jesteś zdenerwowany?

– Ja? Do diabła, nie. Dlaczego miałbym się denerwować? Jeśli żarty są do kitu, zrobię minę, mrugnę do publiczności, a ona się na to łapie. Żeby przedstawienie było nie wiadomo jak nędzne, stary Skeet wychodzi z uśmiechem na twarzy.

– Dlaczego masz te bóle głowy regularnie co tydzień?

– Skąd mam to, do cholery, wiedzieć? To chyba ty jesteś lekarzem. Więc mi powiedz. Nie płacę ci za siedzenie na czterech literach i zadawanie głupich pytań. Na Chrystusa Pana, ty idioto, jeśli nie potrafisz wyleczyć zwykłego bólu głowy, powinni ci zakazać praktyki, żebyś nie mieszał ludziom w życiu. Gdzie jest twój dyplom? Skończyłeś szkołę weterynaryjną czy co? Nie zawierzyłbym ci nawet mojego pieprzonego kota. Jesteś cholernym szarlatanem. Przychodzę tu tylko dlatego, że Sally mnie w to wrobiła. Tylko tak mogłem się od niej odczepić. Czy znasz moją definicję piekła? Być żonatym z brzydką, kościstą wiedźmą przez piętnaście lat. A jeśli chcesz z kimś pogadać, weź się za tych jej dwóch zidiociałych braciszków. Ben, mój czołowy scenarzysta, nie jest w stanie rozróżnić, za który koniec trzyma się pióro, a Charley to jeszcze większy głupek. Życzę im wszystkim nagłej śmierci. Żeby się od nich odczepić. A ty myślisz, że ciebie lubię? Ty śmierdzieliu! Jesteś taki cholernie gładki, kiedy siedzisz tu i spoglądasz na każdego z góry. Ty nie masz żadnych problemów, prawda? Wiesz dlaczego? Bo tak naprawdę wcale nie żyjesz. Jesteś poza nawiasem. Siedzisz tylko przez cały dzień na swojej tłustej dupie i wyciągasz chorym ludziom pieniądze z kieszeni. No cóż, ja zamierzam zrobić z tym porządek, ty skurwieliu. Złożę raport do...

Zaczął płakać.

– Gdybym tylko nie musiał iść na tę cholerną próbę.

Cisza.

– No cóż, uszy do góry. Do zobaczenia za tydzień, skarbie. Judd wyłączył magnetofon. Skeet Gibson, najukochańszy komik Ameryki, powinien znaleźć się w zakładzie już dziesięć lat temu. Jego hobby polegało na biciu młodych, jasnowłosych girlasek i udziale w barowych burdach. Skeet był niepozornym mężczyzną, ale zaczynał karierę jako bokser i wiedział, jak uderzyć. Uwielbiał pójść do baru dla pedałów, zwabić nic nie podejrzewającego homoseksualistę do toalety i pobić go do nieprzytomności. Wiele razy zgarniała go policja, ale incydenty zawsze tuszowano. Ostatecznie był przecież najukochańszym komikiem Ameryki. Paranoja Skeeta była tak daleko posunięta, że w szale mógł zabić. Ale Judd nie sądził, aby potrafił z zimną krwią rozegrać zaplanowaną wendetę. A w jego przypadku o to właśnie chodziło. Ten, kto chciał go zamordować, nie działał pod wpływem namiętności, ale metodycznie i z zimną krwią.

Szaleniec.

Który nie był szalony.

Rozdział 11

Zadzwoił telefon. Zgłosiła się centrala telefoniczna, z którą współpracował. Powiadomili wszystkich pacjentów poza Anną Blake. Judd podziękował telefonistce i odwiesił słuchawkę.

Więc Anna przyjdzie tu dzisiaj. Niepokojące było to uczucie szczęścia ogarniającego go na samą myśl, że ją zobaczy. Przychodziła tylko dlatego, że poprosił ją o to jako lekarz, nie wolno mu było o tym zapominać. Zamyślił się. Jak wiele o niej wiedział... i jak mało.

Włożył kasetę z jej nazwiskiem, włączył magnetofon i słuchał. To była jedna z pierwszych wizyt.

- Wygodnie pani, pani Blake?
- Tak, dziękuję.
- Odprężona?
- Tak.
- Zaciska pani dłonie w pięści.
- Może jestem trochę spięta.
- Dlaczego? Długa cisza.
- Proszę opowiedzieć mi coś o sobie. Jest pani mężatką od sześciu miesięcy?
- Tak.
- Proszę mówić dalej.
- Wysłałam za cudownego człowieka. Mieszkamy w pięknym domu.
- Jaki to dom?
- W stylu francuskiej prowincji... Stary i bardzo piękny. Prowadzi do

niego szeroki, długi podjazd. Wysoko na dachu stoi taki kurek z brązu, któremu brakuje ogona. Myślę, że jakiś myśliwy odstrzelił go dawno temu. Mamy wokół pięć akrów ziemi, przeważnie zalesionej. Chodzę na długie spacery. Zupełnie jakby się mieszkało na wsi.

– Lubi pani wieś?

– Bardzo.

– A pani mąż?

– Chyba tak.

– Mężczyzna zazwyczaj nie kupuje pięciu akrów ziemi, jeśli nie kocha wiejskiego trybu życia.

– Kocha mnie. Kupił ją dla mnie. Jest bardzo hojny.

– Porozmawiajmy o nim. Cisza.

– Czy jest przystojny?

– Nawet bardzo.

Judd poczuł ukłucie nierozsądnej i nieprofesjonalnej zazdrości.

– Czy jesteście dobrani fizycznie? – To było jak dotknięcie językiem chorego zęba.

– Tak.

Wiedział, jaka musi być w łóżku: podniecająca, kobieca i oddana. Chryste, pomyślał, nie wolno mi tak o niej myśleć.

– Czy chce pani mieć dzieci?

– O tak.

– A pani mąż?

– Oczywiście.

Długa cisza zmacona tylko szmerem taśmy. Potem:

– Pani Blake, przyszła pani do mnie twierdząc, że męczy ją jakiś

poważny problem. Jest on związany z mężem, zgadza się?

Cisza.

– Załóżmy, że tak. Z tego, co powiedziała mi pani wcześniej, wiem, że kochacie się, oboje jesteście sobie wierni, oboje pragniecie mieć dzieci, mieszkacie w pięknym domu, pani mąż odnosi sukcesy zawodowe, jest przystojny i rozpieszcza panią. I na dodatek minęło dopiero pół roku od waszego ślubu. Obawiam się, że to sytuacja jak w starym dowcipie: „I gdzie ten mój problem, panie doktorze?”

Znowu cisza, zakłócona tylko odgłosem przesuwającej się taśmy. Wreszcie Anna odezwała się:

– Tak... trudno mi o tym mówić. Myślałam, że komuś zupełnie obcemu... – pamiętał, jak gwałtownie obróciła się na kanapie, żeby spojrzeć na niego tymi wielkimi oczyma o zagadkowym wyrazie – ale jest mi ciężko. Widzi pan – teraz mówiła już szybciej, starając się pokonać barierę milczenia – niechcący coś usłyszałam i ja... mogłam wyciągnąć z tego błędne wnioski.

– Coś mającego związek z osobistym życiem pani męża? Chodzi o jakąś kobietę?

– Nie.

– Sprawy zawodowe? – Tak...

– Wydało się pani, że mąż ją okłamał? Starał się wykorzystać kogoś w interesach?

– Coś w tym rodzaju.

Judd czuł się teraz na pewniejszym gruncie.

– I to zachwiało pani zaufanie do niego? Ujrzała go pani takim, jakim nie widziała nigdy wcześniej?

– Ja... ja nie mogę o tym mówić. Nawet moja obecność tutaj wydaje mi się jakąś nielojalnością. Proszę o nic więcej mnie już dzisiaj nie pytać, doktorze Stevens.

I na tyrrt skończyło się tamto spotkanie. Judd przewinął taśmę.

Więc mąż Anny brał udział w jakichś śliskich interesach. Może oszukiwał na podatkach. Albo doprowadził kogoś do bankructwa. Coś takiego naturalnie wstrząsnęłoby Anną. Była kobietą wrażliwą. Jej wiara w męża doznała uszczerbku.

Zastanowił się nad mężem Anny, starając się spojrzeć na niego pod każdym możliwym kątem. Prowadził jakieś interesy związane z budownictwem. Judd nigdy się z nim nie spotkał, poza tym nie mógł wyobrazić sobie, by sprawy zawodowe pana Blake'a miały cokolwiek wspólnego zarówno z nim samym, jak i z Johnem Hansonem czy Carol Roberts.

A co z Anną? Czy była psychopatką? O skłonnościach maniakalno-morderczych? Judd oparł się wygodnie w fotelu i próbował pomyśleć o niej w sposób obiektywny.

Nie wiedział na jej temat nic ponad to, co mu sama powiedziała. Jej przeszłość mogła być zupełnie inna, wszystko mogło być zmyślane. Tylko w jakim celu? Jeśliby chodziło o jakąś skomplikowaną szaradę dla ukrycia morderstwa, musiał przecież istnieć także i motyw. Wspomnienie jej twarzy i głosu wypełniło mu myśli. Był pewny, że nie mogła mieć nic wspólnego z całą tą sprawą. Gotów był założyć się o własne życie. Uśmiechnął się na ironię takiego stwierdzenia.

Sięgnął do kaset z sesji Teri Washburn. Może tu kryło się coś, czego wcześniej nie zauważył.

Teri na własną prośbę przyszła do niego ostatnio kilka razy nadprogramowo. Czy była pod wpływem jakiegoś dodatkowego stresu, o którym mu jeszcze nie opowiedziała? Ze względu na jej wzmagające się zainteresowanie seksem trudno było prowadzić normalne rutynowe leczenie. Jednak – dlaczego tak nagle zażądała, by poświęcił jej więcej swego czasu?

Judd wybrał na chybił trafił kasetę i włożył ją do magnetofonu.

– Porozmawiajmy o twoich małżeństwach, Teri. Byłaś mężatką pięć razy.

– Sześć, ale kto by tam liczył.

– Czy dochowywałaś wiary swoim mężom? Śmiech.

– Też mi coś. Nie ma na świecie takiego mężczyzny, który by mnie zaspokoił. To sprawa fizyczna.

– Co masz na myśli mówiąc „sprawa fizyczna”?

– Chodzi mi o to, jak jestem zbudowana. Po prostu mam gorącą dziurę, która musi być zatkana przez cały czas.

– Wierzysz w to?

– Że musi być zatkana?

– Że różnisz się pod względem fizycznym od innych kobiet?

– Jasne. Tak mi powiedział doktor w studio. To sprawa gruczołów czy czegoś w tym rodzaju. – Po chwili dodała: – Z niego to był leniuch w łóżku.

– Widziałem wyniki twoich badań. Pod względem fizjologicznym twoje ciało jest absolutnie normalne.

– Pieprz badania, doktoru. Dlaczego sam nie sprawdzisz?

– Czy byłaś kiedyś zakochana, Teri?

– Mogłabym zakochać się w tobie. Cisza.

– Nie patrz tak na mnie. To jest silniejsze ode mnie. Mówiłam ci. W taki sposób zostałam skonstruowana. Zawsze mam ochotę.

– Wierzę. Ale to nie twoje ciało jest głodne. Chodzi o uczucia.

– Nikt nigdy nie pieprzył się z moimi uczuciami. Chcesz spróbować?

– Nie.

– To czego chcesz?

– Pomóc ci.

– Więc dlaczego nie przyjdiesz tu i nie siądziesz koło mnie?

– Na tym dzisiaj zakończymy.

Judd wyłączył magnetofon. Pamiętał rozmowę, podczas której Teri opowiedziała mu o swojej karierze wielkiej gwiazdy i przyczynach odejścia z Hollywood.

– Podczas przyjęcia trzepnęłam po buzi jakiegoś naprzykrzającego się pijaka – powiedziała. – A on okazał się wielką szychą. I kazał mi zabierać z Hollywood mój polski tyłek.

Judd nie drążył głębiej tej sprawy, ponieważ w tamtym czasie bardziej go interesowały wydarzenia związane z jej domem rodzinnym, a potem już temat nie wypłynął. Teraz poczuł jakiś dokuczliwy niepokój. Powinien był dowiedzieć się czegoś więcej. Nigdy specjalnie nie interesował się światem wielkich gwiazd, w każdym razie nie więcej niż dr Louis Leakey czy Margaret Mead mogliby interesować się tubylcami z Patagonii. Kto mógłby coś wiedzieć o Teri Washburn, gwiazdce filmowej?

Nora Hadley była kinomanką. Judd widział u niej w domu pliki filmowych czasopism i nawet żartowali sobie z Peterem na ten temat. Nora przez cały wieczór broniła wtedy Hollywood. Podniósł słuchawkę i wybrał

jej numer. Telefon odebrała Nora.

– Cześć – powitał ją.

– Judd! – Jej głos w jednej chwili nabrał ciepła i serdeczności. – Dzwonisz, bo masz ochotę przyjść do nas na kolację.

– Już wkrótce.

– Lepiej, żeby tak było – powiedziała. – Obiecałam Ingrid. Jest bardzo piękna.

Co do tego Judd nie miał wątpliwości. Tylko że nie taka jak Anna.

– Jeśli nie zjawisz się na następną randkę, Szwecja wypowie nam wojnę.

– To już się nie powtórzy.

– Doszedłeś do siebie po wypadku?

– O tak.

– Co za okropna historia. – W głosie Nory pojawiło się wahanie. – Judd... a co z Wigilią? Peter i ja chcielibyśmy, żebyś ją spędził z nami. Proszę.

Poczuł znajomy ucisk w sercu. Przechodzili przez to każdego roku. Peter i Nora byli jego najbliższymi przyjaciółmi i nie mogli znieść myśli, że on spędza Gwiazdkę samotnie spacerując wśród ludzi, gubiąc się w tłumie obcych, chodząc do upadłego, by osiągnąć wreszcie stan takiego zmęczenia, żeby już o niczym nie myśleć. Jakby celebrował jakąś straszliwą czarną mszę za zmarłych, pozwalając, by żal wziął nad nim górę i rozdzierał mu serce, kaleczył go jak w jakimś starożytnym rytuale.

– Dramatyzujesz, pomyślał w duchu ze znużeniem.

– Judd... Odchrząknął.

– Przykro mi. – Wiedział, jak bardzo martwiła się o niego.

– Może w przyszłym roku.

– Jasne. Powiem Peterowi. – Starła się ukryć zawód.

– Dzięki. – Nagle przypomniał sobie, dlaczego do niej zadzwonił. –
Nora, czy wiesz, kto to jest Teri Washburn?

– Teri Washburn? Ta gwiazda? Dlaczego pytasz?

– Ja... zobaczyłem ją na Madison Avenue dziś rano.

– Ją we własnej osobie? Poważnie? – W głosie Nory brzmiało dziecięce
podniecenie. – Jak wygląda? Staro? Młodo? Jest chuda czy gruba?

– Wygląda zupełnie nieźle. Kiedyś była całkiem popularna, prawda?

– Całkiem popularna? Teri Washburn była najwspanialsza i to pod
każdym względem, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Dlaczego taka dziewczyna rezygnuje z Hollywood?

– Ona właściwie z niego nie zrezygnowała. Została wykopana.

Więc Teri powiedziała prawdę. Judd poczuł się lepiej.

– Wy, doktorzy, żyjecie w innym świecie. Przecież Teri Washburn
zamieszana była w największy skandal związany z Hollywood.

– Naprawdę? – zapytał Judd. – Jaki skandal?

– Zamordowała swego chłopaka.

Rozdział 12

Znowu zaczął padać śnieg, tłumiąc hałas ulicy znajdującej się piętnaście pięter niżej; wiał arktyczny wiatr. W oświetlonym oknie biura po przeciwnej stronie ulicy zobaczył rozmazaną twarz kobiety chuchającej na zmrożone okno.

– Nora, jesteś tego pewna?

– Jeśli chodzi o Hollywood, to rozmawiasz z chodzącą encyklopedią, skarbie. Teri mieszkała z szefem Continental Studios, ale trzymała sobie na boku asystenta reżysera. Przyłapała go pewnej nocy na zdradzie i zasztyletowała na śmierć. Szef studia musiał pociągnąć za całe mnóstwo sznurków i zapłacić wielu ludziom, ale sprawa została szybko wyciszona i nazwana nieszczęśliwym wypadkiem. Jednym z warunków umowy było, że Teri opuści Hollywood i nigdy już tam nie wróci. I tak się właśnie stało.

Judd wpatrywał się tępo w telefon.

– Judd, jesteś tam jeszcze? – Tak.

– Masz taki dziwny głos.

– Skąd, u licha, o tym wiesz?

– Skąd? Trąbili o tym we wszystkich gazetach i pismach dla fanów kina. Każdy o tym wie.

Poza nim.

– Dzięki, Noro – powiedział. – Uściskaj Petera. – I odłożył słuchawkę.

Więc to był nic nie znaczący incydent. Teri Washburn zamordowała mężczyznę i nigdy nawet o tym nie wspomniała. A jeśli zamordowała raz...

W zadumie podniósł notes i zapisał w nim: Teri Washburn.

Zadzwoił telefon. Judd odebrał.

– Tu doktor Stevens....

– Po prostu sprawdzam, czy wszystko u pana w porządku. – Głos detektywa Angelego był wciąż ochrypły od przeziębienia.

Judda przepełniło uczucie wdzięczności. Ktoś był po jego stronie.

– Coś nowego?

Zawahał się. Nie widział powodu, by trzymać w tajemnicy sprawę ładunków wybuchowych.

– Próbowali znowu. – Opowiedział policjantowi o Moodym i dynamicie zainstalowanym w samochodzie. – To powinno przekonać McGreavy’ego – dodał.

– Gdzie jest ten ładunek? – W głosie Angelego brzmiało podniecenie.

– Został rozbrojony – powiedział już mniej pewnie Judd.

– Został co? – zapytał z niedowierzaniem Angeli. – Kto to zrobił?

– Moody. Myślałem, że to nie ma znaczenia.

– Nie ma znaczenia?! A niby po co istnieje departament policji? Wiedząc, w jaki sposób założono dynamit, moglibyśmy określić, kto to zrobił. Mamy specjalne MO.

– MO?

– *Modus operandi*. Ludzie postępują według utartych wzorów. Jeśli zrobią coś w pewien sposób za pierwszym razem, istnieje duże prawdopodobieństwo, że powtórzą to znowu. Ale chyba panu flie muszę tego tłumaczyć.

– Nie – powiedział z zastanowieniem Judd. Moody z pewnością też to wiedział. Czyżby miał jakiś powód i celowo nie chciał informować

McGreavy'ego?

– Doktorze Stevens, w jaki sposób zatrudnił pan Moody'ego?

– Znalazłem go na żółtych stronach. – Nawet dla niego zabrzmiało to śmiesznie.

Usłyszał, jak Angeli wzdycha głęboko.

– Aha. W takim razie właściwie nic pan o nim nie wie.

– Wiem, że mu ufam. O co panu chodzi?

– W tej chwili – oświadczył Angeli – nie powinien pan ufać nikomu.

– Ale Moody nie może mieć żadnego związku z tym wszystkim. Na Boga, wybrałem go przecież na chybił trafił z książki telefonicznej.

– Nie obchodzi mnie, skąd pan go wziął. Coś mi tutaj śmierdzi. Moody twierdził, że zastawia pułapkę na tego, kto chce pana dopaść, ale zanim zdecydował się ją zamknąć, zabrał przynętę, więc nie możemy nikogo przyszpilić. Potem pokazuje materiał wybuchowy w pańskim samochodzie, który mógł sam podłożyć. I zdobywa pańskie zaufanie.

Zgadza się?

– Chyba można na to i tak spojrzeć – powiedział Judd.

– Ale...

– A co jeśli pański przyjaciel Moody ma za zadanie wystawić pana? Chcę, by rozgrywał pan to na chłodno do czasu, aż go sprawdzimy.

Moody przeciwko niemu? Trudno było w to uwierzyć. A jednak przypomniał sobie własne wcześniejsze obawy, że Moody wciąga go w zasadzkę.

– Co pańskim zdaniem powinienem zrobić? – zapytał Judd.

– Może by pan jednak wyjechał z miasta? Ale tak naprawdę.

– Nie mogę zostawić moich pacjentów.

– Doktorze Stevens...

– Poza tym – dodał Judd – to by niczego nie rozwiązało. Nawet nie wiedziałbym, dlaczego właściwie uciekam. A po powrocie i tak wszystko zaczęłoby się od nowa.

Na moment zapadła cisza.

– Ma pan rację – Angeli westchnął, a potem kichnął. Najwyraźniej był mocno zakatarzony. – Kiedy oczekuje pan jakichś wieści od Moody’ego?

– Nie wiem. Twierdził, że domyśla się już, kto za tym wszystkim stoi.

– Czy nie przyszło panu do głowy, że ten, kto za tym stoi, jak pan to określił, może zapłacić Moody’emu o wiele więcej niż pan? Gdyby poprosił pana o spotkanie, proszę od razu mnie zawiadomić – powiedział z naciskiem policjant. – Przez dzień czy dwa będę w domu, w łóżku. Doktorze, niech pan się z nim nie spotyka sam na sam!

– Kręci pan bicz z piasku – sprzeciwił się Judd – tylko dlatego, że Moody wyjął dynamit z mojego samochodu...

– To nie wszystko – przerwał Angeli. – Coś mi mówi, że wybrał pan nieodpowiedniego człowieka.

– Kiedy tylko będę miał od niego wiadomość, zadzwonię do pana – obiecał Judd.

Odkładał gwałtownie słuchawkę drżącą ręką. Czy Angeli rzeczywiście był przesadnie podejrzliwy? Przecież Moody mógł kłamać na temat ładunku wybuchowego, by zdobyć zaufanie Judda. Następny krok byłby już łatwy. Wystarczyło zadzwonić do zleceniodawcy i poprosić go o spotkanie w ustronnym miejscu pod pretekstem pokazania jakiegoś dowodu. Potem... Judd wzdrygnął się. Czyżby mógł aż tak pomylić się w ocenie charakteru detektywa? Przypomniał sobie pierwsze wrażenie.

Pomyślał wtedy, że mężczyzna jest niezbyt inteligentny i na pewno średnio skuteczny. Dopiero później uświadomił sobie, że za maską prowincjusza ukrywa się bystry, błyskotliwy mózg. Ale to nie oznaczało, że Moody'emu można było zaufać. A jednak... Usłyszał kroki, ktoś zbliżał się do drzwi recepcji, Judd spojrzął na zegarek. Anna! Szybko schował kasety, przeszedł do poczekalni i otworzył szeroko drzwi na korytarz.

Rzeczywiście to była ona. Miała na sobie elegancko skrojony kostium w morskim kolorze, jej twarz okalało rondo niewielkiego kapelusika. Stała zadumana, nieświadoma obecności Judda. Przyglądał się jej, napawał jej urodą, próbując znaleźć drobną choćby niedoskonałość. Gdyby z jakiegoś powodu mógł powiedzieć sobie, że ona nie jest dla niego odpowiednią kobietą, że pewnego dnia znajdzie kogoś lepszego. Lis i winogrona. To nie Freud był ojcem psychiatrii, ale Ezop.

– Dzień dobry – powiedział.

Spojrzała na niego zaskoczona. Potem uśmiechnęła się.

– Dzień dobry.

– Proszę wejść, pani Blake.

Kiedy go mijiała, otarła się o niego lekko. Odwróciła się i spojrzała tymi swoimi niesamowicie fiołkowymi oczyma.

– Czy złapali sprawcę wypadku? – Na jej twarzy widział prawdziwe zainteresowanie i przejęcie.

Znowu poczuł przemożną chęć opowiedzenia jej o wszystkim. Ale wiedział, że nie wolno mu tego zrobić. Choćby dlatego, że byłby to tylko tani chwyt w celu zdobycia jej sympatii. A co gorsza, mógłby ją wtedy narazić na jakieś niewiadome niebezpieczeństwo.

– Jeszcze nie. – Wskazał ręką krzesło. Anna przyglądała się jego

twarzy.

– Wygląda pan na zmęczonego. Nie powinien pan chyba tak szybko wracać do pracy?

O Boże. Chyba nie będzie w stanie wytrzymać współczucia. Nie teraz. I nie od niej.

– Czuję się dobrze – odparł. – Odwołałem dzisiejsze spotkania. Moja centrala nie mogła pani złapać.

Na jej twarzy pojawił się niepokój, pomyślała pewnie, że przeszkadza. Tak jakby ona mogła mu kiedykolwiek przeszkodzić.

– Przykro mi. Może w takim razie lepiej sobie pójdę...

– Nie, proszę – powiedział szybko. – Cieszę się, że pani nie zastali. – Przecież widział ją po raz ostatni. – Jak się pani czuje? – zapytał.

Zawahała się, otworzyła usta, już chciała powiedzieć coś banalnego, ale zmieniła zdanie.

– Jestem trochę zakłopotana.

Spoglądała na niego dziwnie, było coś w jej wzroku, co dotknęło delikatnej struny, o której prawie zapomniał. Czuł płynące od niej ciepło, fizyczne przyciąganie... nagle uświadomił sobie, co robi: przenosi na nią własne emocje. Przez chwilę dał się nabrać jak student pierwszego roku psychiatrii.

– Kiedy wyjeżdża pani do Europy? – zapytał.

– W Wigilię rano.

– Tylko pani i mąż? – Czuł się jak idiota mamroczący banały. – Dokąd jedziecie?

– Sztokholm – Paryż – Londyn – Rzym.

Jak bardzo chciałbym ci pokazać Rzym, pomyślał. Spędził tam rok

praktykując w amerykańskim szpitalu. Znał fantastyczną starą restaurację „Cybele” w pobliżu Tivoli, wysoko na szczycie góry koło pogańskiej kaplicy. Siedziało się tam na słońcu i przyglądało setkom dzikich gołębi krążących niby ciemna chmura po niebieskim niebie nad lśniącymi skałami.

Ale Anna jechała do Rzymu ze swoim mężem.

– To będzie drugi miesiąc miodowy. – W jej głosie pojawiło się ledwo zauważalne napięcie, które wręcz mógł uznać za swe pobożne życzenie. Niewytrenowane ucho nigdy by go nie usłyszało.

Judd przyjrzał się jej uważnie. Wydawała się spokojna, ale wyczuwał, że jest spięta. Jeśli tak miała wyglądać młoda, zakochana dziewczyna, która wybiera się do Europy na drugi miesiąc miodowy, to w obrazku czegoś mu brakowało.

I nagle uświadomił sobie czego.

W Annie nie było podniecenia. A jeśli nawet, to tłumiała je jakaś silniejsza emocja. Smutek? Żal?

Zdał sobie sprawę, że się w nią uporczywie wpatruje.

– Jak... jak długo pani nie będzie? – Znowu odezwał się jak idiota.

Słaby uśmiech przemknął przez jej wargi, jakby rozumiała, dlaczego ją o to pyta.

– Nie wiem – powiedziała poważnie. – Plany Anthony’ego nie są sprecyzowane.

– Rozumiem. – Zrozpaczony opuścił wzrok na dywan. Powinien z tym skończyć. Nie mógł pozwolić, by Anna wyjechała uważając go za kompletnego durnia. Musiał ją odprawić i to już. – Pani Blake... – zaczął.

– Słucham.

Starał się mówić lekkim tonem:

– Ściągnąłem tutaj panią pod fałszywym pretekstem. Tak naprawdę to wcale nie było potrzeby, żeby przychodziła pani na jeszcze jedną sesję. Chciałem tylko... pożegnać się.

O dziwo, wydawało się, że właśnie w tym momencie trochę się odprężyła.

– Wiem – powiedziała cicho. – Ja też chciałam się pożegnać. – Coś w jej głosie znowu zwróciło jego uwagę.

Podniosła się.

– Judd... – Spojrzała na niego. Dostrzegł w jej oczach to samo, co ona musiała zobaczyć w jego. Było to lustrzane odbicie prądu tak silnego, że prawie fizycznego. Ruszył ku niej, ale nagle zatrzymał się. Nie mógł jej narazić na niebezpieczeństwo, które jemu groziło.

Kiedy wreszcie się odezwał, prawie panował nad swoim głosem.

– Przyślij mi kartkę z Rzymu. Patrzyła na niego przez długą chwilę.

– Proszę, uważaj na siebie, Judd.

Skinął głową. Nie miał odwagi powiedzieć nic więcej. Odeszła.

Judd uświadomił sobie, że dzwoni telefon dopiero przy którymś dzwonku.

– Czy to pan, doktorze? – Podniecony głos Moody'ego wylewał się ze słuchawki. – Jest pan sam?

– Tak.

W ekscytacji detektywa było coś dziwnego, czego Judd nie potrafił określić. Ostrożność? Lęk?

– Doktorze... pamięta pan, że domyślałem się, kim jest osoba, która za tym stoi?

– Tak.

– Nie myliłem się.

Judd poczuł, że przebiega go chłodny dreszcz.

– Wie pan, kto zamordował Hansona i Carol?

– Tak. Wiem. I wiem dlaczego. Pan ma być następny.

– Proszę mi powiedzieć...

– Nie przez telefon – sprzeciwił się Moody. – Lepiej spotkajmy się gdzieś i pogadajmy. Niech pan przyjdzie sam!

Judd wpatrywał się w trzymaną w rękę słuchawkę. Ma przyjść sam!

– Czy pan mnie słyszy? – dopytywał się Moody.

– Tak – odparł szybko Judd. Co powiedział mu Angeli? Doktorze, niech pan się nie spotyka z nim sam na sam. – Dlaczego nie moglibyśmy się spotkać tutaj? – zapytał, próbując zyskać na czasie.

– Wydaje mi się, że byłem śledzony. Udało mi się ich jakoś zmylić. Telefonuję teraz z paczkowni mięsa, która nazywa się „Pięć Gwiazdek”. Na Dwudziestej Trzeciej ulicy, idąc od Dziesiątej Alei w stronę doków.

Judd wciąż jeszcze nie wierzył, by Moody zastawiał na niego pułapkę. Postanowił go sprawdzić.

– Przyprawdzą Angelego. Głos detektywa zabrzmiał ostro.

– Nikogo. Niech pan przyjdzie sam. A więc to tak.

Judd widział oczami wyobraźni małego, grubego Buddę na drugim końcu linii. Niewinnego przyjaciela, który obciążał go pięćdziesięcioma dolarami dziennie plus wydatki, aby podać mordercy na tacy.

– Zgoda – powiedział spokojnym głosem. – Zaraz tam będę. – Spróbował jeszcze raz. – Na pewno pan wie, kto się za tym kryje, panie Moody?

– Jestem tego pewny jak własnej śmierci, doktorze. Czy słyszał pan kiedyś o Don Vintonie? – I Moody rozłączył się.

Judd stał próbując uspokoić burzę emocji, która się w nim rozszalała. Odnalazł domowy numer Angelego i zadzwonił. Sygnał rozległ się pięć razy z rzędu i Judd poczuł narastającą panikę, że policjant mógł wyjść z domu. Czy w takim przypadku odważy się pójść sam na spotkanie z Moodym?

Nagle usłyszał nosowy głos Angelego:

– Słucham?

– Mówi Judd Stevens. Właśnie telefonował Moody.

– Co powiedział? – W głosie policjanta słychać było napięcie.

Judd zawahał się. Odczuwał ciągle jakieś resztki niedorzecznej lojalności i – tak, również serdeczności – w stosunku do małego grubasa, który z zimną krwią chciał go zabić.

– Poprosił, żebym spotkał się z nim w paczkowni mięsa „Pięć Gwiazdek”. Mieści się na Dwudziestej Trzeciej ulicy, w pobliżu Dziesiątej Alei. Prosił, żebym przyszedł sam.

Angeli roześmiał się bezlitośnie.

– Mogłem się założyć, że o to poprosi. Niech pan się nie rusza z biura. Zadzwonię do porucznika McGreavy’ego. Przyjedziemy po pana.

– Dobrze – zgodził się Judd. Powoli odkładał słuchawkę. Norman Z. Moody. Galaretowaty Budda z żółtych kartek. Judd poczuł nagle niewytłumaczalny smutek. Lubił Moody’ego. Ufał mu.

A Moody czekał, by go zabić.

Rozdział 13

Dwadzieścia minut później Judd otwierał drzwi Angelemu i porucznikowi McGreavy. Oczy detektywa były czerwone i załzawione. Judd poczuł wyrzuty sumienia, że wyciągnął chorego z łóżka. McGreavy przywitał się krótkim, mało przyjaznym skinieniem głowy.

– Powiedziałem porucznikowi o telefonie Normana Moody’ego – powiedział Angeli.

– Taaa. Sprawdźmy o co, u licha, chodzi – powiedział zimnym tonem McGreavy.

Po pięciu minutach siedzieli już w nieoznakowanym samochodzie policyjnym i jechali w stronę śródmiejskiej części West Side. Angeli prowadził. Śnieg już nie padał i słabe promienie popołudniowego słońca przedzierały się przez groźne chmurzyska zasnuwające niebo nad Manhattanem. Z daleka doszedł ich huk grzmotu, po którym pokazał się jasny harpun błyskawicy. O szybę samochodu zaczęły bębnić krople deszczu. Wjechali do dzielnicy, w której drapacze chmur ustąpiły miejsca małym, ponurym budynkom tulącym się do siebie jakby w ochronie przed zimnem.

Samochód skręcił w Dwudziestą Trzecią ulicę, kierując się na zachód ku rzece Hudson. Znaleźli się na terenie śmietnisk, warsztatów rzemieślniczych i obskurnych barów. Potem minęli garaże i zawałone częściami samochodowymi podwórka. Kiedy samochód zbliżał się do rogu Dziesiątej Alei, McGreavy polecił Angelemu, by zatrzymał się przy krawężniku.

– Tutaj wysiadziemy – porucznik zwrócił się do Judda. – Czy Moody powiedział, że ktoś jeszcze z nim będzie?

– Nie.

McGreavy rozpiął płaszcz i przełożył rewolwer z kabury do kieszeni. Angeli zrobił to samo.

– Niech pan się trzyma za nami – rozkazał McGreavy Juddowi.

Ruszyli, kuląc się w podmuchach smagającego deszczem wiatru. W połowie przecznicy doszli do obskurnie wyglądającego budynku z wyblakłym napisem nad drzwiami:

PACZKOWALNIA MIĘSA. PIĘĆ GWIAZDEK

Przed budynkiem nie było żadnego samochodu osobowego czy ciężarówki, w ogóle wszystko wyglądało jak wymarłe.

Policjanci podeszli do drzwi, każdy z innej strony. McGreavy sprawdził je. Były zamknięte. Rozejrzał się, ale nigdzie nie dostrzegł dzwonka. Przez chwilę nasłuchiwali. Cisza, tylko szum deszczu.

– Wygląda na zamknięte – stwierdził Angeli.

– I najprawdopodobniej jest – odparł McGreavy. – Przed Gwiazdką większość zakładów zamyka się w południe.

– Musi być jakieś wejście, przez które dowozi się towary.

Judd, próbując omijać kałuże, ruszył za policjantami ostrożnie przesuwanymi się wzdłuż budynku. Doszli do alejki dojazdowej, która przechodziła w rampę, obok stały puste ciężarówki. Tu również panował kompletny bezruch. Doszli do platformy.

– OK – powiedział McGreavy do Judda. – Odzywaj się pan. Judd

zawahał się, mając dziwne wrażenie, że zdradza Moody'ego. Ale po chwili krzyknął:

– Moody!

Jedyną odpowiedzią było miauknięcie rozgniewanego kocura, którego wypłoszył z suchego śmietnika.

– Panie Moody!

Z rampy prowadziły do wnętrza magazynu duże, wahadłowe, drewniane drzwi, przez które wynoszono towar, by ładować go na ciężarówki. Przy rampie nie było żadnych schodów. McGreavy podciągnął się, wykazując zadziwiającą sprawność jak na tak potężnego mężczyznę. Angeli zrobił to samo, a Judd w ślad za nim. Angeli podszedł do drzwi i pchnął je. Nie były zamknięte. Przesunęły się z głośnym jękiem. Kocisko z radosnym „miau” wbiegło do środka, zapominając o śmietniku. Wewnątrz panowały egipskie ciemności.

– Przyniosłeś latarkę? – zapytał Angelego McGreavy.

– Światła Angeli? – zapytał McGreavy.

Angeli przesuwali się wzdłuż ściany, macając w poszukiwaniu włącznika, Judd szedł przez cały czas przed siebie. Nie widział pozostałych dwóch mężczyzn.

– Moody! – krzyknął znowu.

Usłyszał głos Angelego dochodzący z przeciwległego kąta magazynu.

– Mam. – Pstryknęło, ale światło się nie zapaliło.

– Musi być wyłączony główny kontakt – stwierdził McGreavy.

Judd wpadł na ścianę. Kiedy wyciągnął rękę, natrafił na klamkę. Nacisnął ją i pociągnął. Masywne drzwi przesunęły się i uderzył w niego podmuch lodowatego powietrza.

– Znalazłem drzwi! – zawołał.

Przestąpił przez próg i ostrożnie przesunął się do przodu. Usłyszał, jak drzwi zatrząskują się za nim. Serce zaczęło mu walić jak młotem. Tu wydawało się jeszcze ciemniej niż w pierwszym pomieszczeniu.

– Moody! Moody...

Ciężka, gęsta cisza. Musiał tu przecież gdzieś być. Jeśli nie, Judd wiedział, co pomyśli sobie McGreavy. Że kolejny raz wszczyna fałszywy alarm.

Judd zrobił jeszcze jeden krok do przodu i nagle poczuł chłodny dotyk na twarzy. Odskoczył w panice, czując, jak włosy na głowie stają mu dęba. Poczował intensywny zapach krwi, gdzieś w pobliżu czaiła się śmierć. W ciemnościach kryło się zło gotowe w każdej chwili zaatakować. Czuł mrowienie skóry, a serce biło mu tak szybko, że z trudem oddychał. Drżącymi palcami wyłuskał pudełko zapalek z kieszeni płaszcza, wyciągnął jedną i potarł o draskę. W jej świetle na wysokości swojej twarzy zobaczył wielkie, martwe oko. Dopiero po chwili uświadomił

sobie, że patrzy na zaszlachtowaną krowę, zwisającą z haka. Nim zapalka zgasła, zdążył jeszcze obrzucić szybkim spojrzeniem pozostałe zwierzęta i zarys drzwi na końcu korytarza. Najprawdopodobniej musiały prowadzić do biura. Tam na pewno czekał na niego Moody.

Judd przesunął się do przodu w atramentowo-czarną otchłań. Znowu poczuł dotyk martwego zwierzęcia. Odskokzył i ostrożnie zaczął się skradać w stronę biura.

– Moody!

Zastanawiał się, co zatrzymało policjantów. Przesuwał się między martwymi zwierzętami. Miał wrażenie, że ktoś o makabrycznym poczuciu humoru specjalnie dla niego zaaranżował tę koszmarną scenę. Kiedy już prawie dotarł do drzwi, wpadł na kolejne zwisające zwłoki.

Zatrzymał się dla złapania oddechu. Zapalił ostatnią zapalkę. Tuż przed nim, zaczepiony na haku, z groteskowym uśmiechem na ustach wisiał Norman Z. Moody. Zapalka zgasła.

Rozdział 14

Ludzie koronera skończyli swoją robotę i wynieśli się. Zabrano ciało Moody'ego. Na miejscu zostali tylko Judd, McGreavy i Angeli. Siedzieli w małym pomieszczeniu, w którym stało stare biurko, obrotowe krzesło i dwie szafy, a na ścianie wisiały kalendarze ze zdjęciami nagich kobiet. Światła były włączone, podobnie jak elektryczny grzejnik.

Kierownika zakładu, pana Paula Morettiego, odnaleziono na przedwigilijnym przyjęciu i sprowadzono do biura. Policjanci zadali mu kilka pytań. Wyjaśnił, że ze względu na świąteczny weekend zwolnił pracowników w południe. Pozamykał magazyny o dwunastej trzydzieści i z tego przynajmniej, co on wiedział, na ich terenie nie pozostał nikt. Pan Moretti był już zalany w pestkę i gdy McGreavy zorientował się, że nie będzie z niego najmniejszego pożytku, odesłał go do domu. To, co się działo w pokoju, docierało do Judda jak przez mgłę. Jego myśli były przy Moodym. Nie mógł zapomnieć pogody i radości życia detektywa, co jeszcze bardziej potęgowało koszmar śmierci. A na dodatek Judd obwinał siebie: gdyby nie wciągnął Moody'ego w tę sprawę, mały człowiek nadal by żył.

Była prawie północ, Judd ze znużeniem kolejny raz opowiadał o telefonie Moody'ego. McGreavy, zawinięty w płaszcz, przyglądał mu się uważnie i żuł końcówkę cygara.

Wreszcie odezwał się:

– Czy pan czytuje powieści kryminalne? Judd spojrzał na niego zaskoczony.

– Nie. Dlaczego?

– Powiem panu. Wydaje mi się pan nazbyt dobry, żeby być prawdziwy, doktorze Stevens. Od samego początku uważałem, że siedzi pan w tym po same uszy. I nie kryłem tego. I co się dzieje? Nagle to pan okazuje się ofiarą, a nie zabójcą. Najpierw twierdzi pan, że potracił pana samochód i...

– Samochód naprawdę doktora potracił – przypomniał mu Angeli.

– Nawet nowicjusz potrafiłby to wyjaśnić – zachnął się McGreavy. – Wszystko mogło być zaaranżowane. – Odwrócił się do Judda. – Następnie dzwoni pan do detektywa Angelego z jakąś wymyśloną historyjką o dwóch facetach usiłujących się dostać do pańskiego biura z zamiarem zabicia pana.

– Oni się włamali – powiedział Judd.

– Nic podobnego – zaproponował McGreavy. – Użyli specjalnego klucza. – Głos mu stwardniał. – Powiedział pan, że były tylko dwa komplety tych kluczy:” pana i Carol Roberts.

– Zgadza się. Mówiłem już, że musieli podrobić klucze Carol.

– Wiem, co mi pan mówił. Zrobiłem test na obecność parafiny. Klucze Carol nigdy nie posłużyły do dorobienia innych, doktorze. – Wydawało się, że jego słowa ciągle brzmią w ciszy, która po nich nastąpiła. – A skoro nie one, to pozostają jeszcze pańskie, prawda?

Judd wpatrywał się w niego bez słowa.

– Nie kupiłem tej bajeczki o szaleńcu na wolności, więc wynajmuje pan detektywa, przypadkowy wybór z książki telefonicznej, a ten, co za zbieg okoliczności – odkrywa dynamit w pańskim samochodzie. Tyle tylko, że ja nie mogę go zobaczyć. Potem dochodzi pan do wniosku, że już czas podrzucić mi kolejne ciało, i wyskakuje pan z opowiadką, że Moody

dzwonił, prosząc o spotkanie, ponieważ wie, kim są ci tajemniczy szaleńcy usiłujący pana zabić. No i co? Przyjeżdżamy tutaj i znajdujemy go wiszącego na haku jak poleć mięsa. Judd poczerwieniał z gniewu.

– Nie odpowiadam za to, co się tu wydarzyło. McGreavy obrzucił go długim, twardym spojrzeniem.

– Czy wie pan, dlaczego nie został jeszcze aresztowany? Ponieważ jak do tej pory nie odkryłem motywu tej chińskiej łamigłówki. Ale znajdę go, doktorze. Przyrzekam.

Wstał.

Judd coś nagle sobie przypomniał.

– Zaraz, zaraz! – krzyknął. – A co z Don Vintonem?

– A co ma być?

– Moody powiedział, że on stoi za tą całą sprawą.

– Czy zna pan kogoś, kto się nazywa Don Vinton?

– Nie – powiedział Judd. – Ja... przypuszczałem, że policja go zna.

– Nigdy nie słyszałem o kimś takim. – McGreavy spojrzał na Angelego, który potrząsnął przecząco głową.

– Dobra. Wyślij informację, że szukamy Don Vintona. Do FBI, Interpolu, szefów policji we wszystkich większych miastach Ameryki. – Spojrzał na Judda. – Zadowolony?

Judd skinął głową. Ktoś, kto popełnił tyle morderstw, nie mógł być nowicjuszem. Bez trudu powinno się go znaleźć.

Powrócił myślą do Moody'ego z jego naiwnymi aforyzmami i bystrym umysłem. Ktoś musiał go śledzić. Raczej trudno było przypuszczać, że rozmawiał z kimś na temat swego rendezvous, skoro upierał się przy zachowaniu tajemnicy. Ale przynajmniej znali teraz nazwisko człowieka,

którego poszukiwali.

Praemonitus, praemunitas.

Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Następnego ranka wszystkie dzienniki rozpiwały się o zamordowaniu Normana Z. Moody'ego. Judd kupił gazetę w drodze do gabinetu. Został wymieniony z nazwiska jako osoba, która wraz z policją znalazła ciało. McGreavy'emu udało się jednak utrzymać dziennikarzy z daleka od całej historii. Porucznik prowadził rozgrywkę, nie odkrywając kart. Judd zastanawiał się, co Anna pomyśli o tej sprawie.

Była sobota, dzień dyżurów Judda w klinice. Na szczęście znalazł zastępstwo. Kiedy szedł do swego prywatnego gabinetu, rozglądał się wokół sprawdzając, czy nikt nie idzie za nim korytarzem. I zastanawiał się, jak długo człowiek potrafi żyć w ten sposób, przez cały czas w oczekiwaniu na cios.

Kilkanaście razy tego ranka chciał zadzwonić do Angelego i zapytać o Don Vintona, ale w ostatniej chwili udawało mu się zapanować nad niecierpliwością. Angeli na pewno zadzwoni do niego, gdy tylko się czegoś dowie. Judd zastanawiał się, czym mógł się kierować Don Vinton. Może był pacjentem, którym Judd zajmował się dawno temu, jeszcze podczas stażu? Kimś, kto uważał, że psychoanalityk zlekceważył go lub uraził w jakiś sposób? Ale nie potrafił sobie przypomnieć chorego nazwiskiem Vinton.

W południe usłyszał, jak otwierają się drzwi z korytarza do poczekalni. To był Angeli. Judd nie potrafił odczytać z jego twarzy nic poza tym, że policjant wyglądał jak przepuszczony przez wyżymaczkę. Nos miał

czerwony i pociągał nim nieustannie. Wszedł do gabinetu i znużony opadł na krzesło.

– Ma pan jakieś wieści o Don Vintonie? – Judd nie wytrzymał.

Angeli skinął głową.

– Otrzymaliśmy odpowiedzi od FBI, szefów policji większych miast Stanów Zjednoczonych i Interpolu.

Judd wstrzymał oddech.

– Nikt o nim nie słyszał.

Judd patrzył na Angelego z niedowierzaniem. Zrobiło mu się niedobrze.

– Ależ to niemożliwe! Przecież... ktoś musiał o nim słyszeć. Człowiek, który popełnił wszystkie te przestępstwa, nie wziął się przecież z powietrza.

– Tak właśnie mówi McGreavy – odpowiedział Angeli znużonym głosem. – Doktorze, moi ludzie i ja spędziliśmy całą noc sprawdzając każdego Don Vintona na Manhattanie i w okolicach. Przeczesałiśmy nawet New Jersey i Connecticut. – Wyciągnął z kieszeni zwinięty w rulon papier i pokazał go Juddowi. – Znaleźliśmy w książce telefonicznej jedenastu Don Vintonów i siedmiu Donvintonów. Zawężaliśmy poszukiwania do pięciu i sprawdziliśmy każdego po kolei. Jeden jest paralitykiem. Jeden księdzem. Jeden wiceprezesem banku. Jeden strażakiem, który był akurat przy pożarze, kiedy zdarzyły się pierwsze dwa morderstwa. Zostaje nam ostatni. Prowadzi sklep zoologiczny i musi mieć dobrze po osiemdziesiątce.

Judd poczuł, że zupełnie wyschło mu w gardle. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo liczył, że ten trop dokądś ich doprowadzi. Przecież

Moody nie podawałby mu nazwiska, którego nie byłby pewien. I nie powiedział, że Don Vinton jest współsprawcą. Wyraźnie mówił o osobie, która za tym wszystkim stała. Wydawało się wprost niemożliwe, by policja nie miała danych o tym człowieku. Moody został zamordowany, ponieważ dotarł do prawdy. Teraz, bez pomocy detektywa, Judd był zdany tylko na siebie. Pętla zaciskała się.

– Przykro mi – powiedział Angeli.

Judd popatrzył na policjanta i nagle uświadomił sobie, że Angeli całą noc spędził poza domem.

– Doceniam pańskie wysiłki – powiedział z wdzięcznością. Detektyw pochylił się do przodu.

– Czy na pewno dobrze pan usłyszał nazwisko, które wymienił Moody?

– Tak. – Judd przymknął oczy, usiłując się skoncentrować. Zapytał Moody'ego, czy jest pewny, że wie, kto za tym wszystkim stoi. Wydało mu się, że znowu słyszy głos detektywa: „Jestem tego pewny jak własnej śmierci, doktorze. Czy słyszał pan kiedyś o Don Vintonie?” Don Vinton. Otworzył oczy. – Tak – powtórzył.

Angeli westchnął.

– No to znaleźliśmy się w martwym punkcie. – Zaśmiał się nielitościwie. – To nie była aluzja. – I kichnął.

– Lepiej, żeby pan wrócił do łóżka. Angeli wstał.

– Chyba tak. Judd zawahał się.

– Jak dawno jest pan partnerem McGreavy'ego?

– To nasza pierwsza wspólna sprawa. Dlaczego pan pyta?

– Myśli pan, że jest gotowy zrobić mnie w te morderstwa?

Angeli kichnął jeszcze raz.

– Myślę, że chyba ma pan rację. Lepiej, jeśli pójde do łóżka. – Ruszył w stronę drzwi.

– Może mam jednak ślad – powiedział Judd. Angeli zatrzymał się i odwrócił.

– Proszę mówić.

Judd opowiedział mu o Teri. Dodał, że zamierza również sprawdzić byłych przyjaciół Johna Hansona.

– To nie brzmi bardzo obiecująco – powiedział szczerze Angeli – ale zawsze to lepsze niż nic.

– Robi mi się niedobrze na samą myśl, że stanowią dla kogoś cel. Będę szukał. Nie zrezygnuję z walki.

Angeli spojrzał na niego.

– Z kim? Walczymy z cieniami.

– Kiedy świadek opisuje podejrzanego, rysownik w komisariacie kreśli jego portret, zgadza się?

Angeli przytaknął.

– Portret pamięciowy.

Judd w nerwowym podnieceniu spacerował po pokoju.

– Mogę podać wam portret pamięciowy psychiki człowieka, który się za tym wszystkim kryje.

– Jak zamierza pan tego dokonać? Przecież nigdy go pan nie widział. To mógłby być każdy.

– O nie – poprawił go Judd. – Szukamy kogoś bardzo, ale to bardzo szczególnego.

– Obląkanego.

– Oblęd to takie wygodne słowo. Nawet nie termin medyczny.

Normalność jest po prostu zdolnością umysłu do przystosowywania się do rzeczywistości. Jeśli nie potrafimy uporać się z otaczającym nas światem, to albo uciekamy przed prawdziwym życiem, albo stawiamy się ponad nim, niby istoty nadnaturalne, których nie obowiązują żadne reguły.

– I nasz człowiek myśli, że jest istotą supernaturalną.

– Właśnie, Angeli. W niebezpiecznych sytuacjach mamy trzy możliwości: ucieczka, rozsądny kompromis albo atak. Nasz człowiek atakuje.

– Więc jest to szaleniec.

– Nie. Szaleńcy rzadko zabijają. Ich czas koncentracji jest bardzo krótki. Tu chodzi o kogoś o znacznie bardziej skomplikowanej psychice, może to być osobowość schizoidalna, cykloidalna lub z zaburzeniami na tle psychosomatycznym – albo jakakolwiek ich kombinacja. Możemy mieć do czynienia z czasową amnezją poprzedzoną nieracjonalnymi zachowaniami. Sęk jednak w tym, że zachowanie i wygląd mordercy wszystkim będą się wydawały zupełnie normalne.

– Więc nie mamy żadnego punktu zaczepienia.

– Myli się pan. Mamy ich bardzo wiele. Mogę opisać panu Don Vintona – powiedział Judd. Zmrużył oczy i skoncentrował się. – Jest proporcjonalnie zbudowanym wysokim, atletycznym mężczyzną. Wygląda zawsze schludnie i w tym, co robi, jest bardzo metodyczny. Nie ma zdolności artystycznych. Nie maluje, nie para się twórczością literacką i nie gra na pianinie.

Angeli wpatrywał się w Judda z otwartymi szeroko ustami. Stevens mówił dalej, coraz szybciej wyrzucając z siebie słowa:

– Nie należy do żadnych klubów ani organizacji. Chyba, że stoi na ich

czele. Musi być zawsze u władzy. Jest gwałtowny i niecierpliwy. Nie zajmuje się małymi sprawami. Na przykład nie zniżyłby się do jakichś drobnych kradzieży. Jeśli był notowany, to za napad na bank, kidnaping lub morderstwo. – Judd czuł wzrastające podniecenie. Opisywana postać stawała się w jego wyobraźni coraz bardziej wyrazista. – Kiedy go pan złapie, najprawdopodobniej okaże się, że jako dziecko był odrzucony przez jednego z rodziców.

– Doktorze – przerwał mu Angeli – nie chcę przekłuiwać pańskiego balonika, ale to może być przecież jakiś szurnięty narkoman, co...

– O nie. Mężczyzna, którego szukamy, nie bierze narkotyków. – W głosie Judda zabrzmiała pewność. – Powiem panu coś jeszcze na jego temat. W szkole uprawiał sporty wymagające kontaktu z przeciwnikiem. Piłkę nożną albo hokej. Nie interesowały go szachy, krzyżówki czy układanki.

Angeli patrzył na niego sceptycznie.

– Mówi pan o jednym mężczyźnie, a ich było co najmniej dwóch – sprzeciwił się. – Sam pan to powiedział.

– Ja podaję panu opis Don Vintona – powiedział Judd. – Człowieka, który jest mózgiem całego przedsięwzięcia. I dodam coś jeszcze: to typ latynoski.

– Dlaczego pan tak myśli?

– Ze względu na metody, jakie stosuje mordując: posługuje się nożem, kwasem, bombą. Pochodzi z Ameryki Południowej, Włoch lub Hiszpanii – złapał oddech. – Oto jego portret pamięciowy. Taki jest właśnie mężczyzna, który popełnił trzy morderstwa i stara się mnie zabić.

Angeli patrzył zdziwiony.

– Skąd, u licha, pan to wszystko wie?

Judd usiadł i pochylając się w stronę Angelego powiedział:

– Na tym polega moja praca.

– Psychika, to tak. Ale skąd potrafi pan powiedzieć, jak wygląda mężczyzna, którego nigdy nie widział pan na oczy?

– Korzystam z rachunku prawdopodobieństwa. Pewien lekarz nazwiskiem Kretschmer stwierdził, że osiemdziesiąt pięć procent ludzi cierpiących na paranoję cechuje się atletyczną budową. Nasz człowiek z całą pewnością jest paranoikiem. Cierpi na manię wielkości. To megalomaniak, który uważa, że stoi ponad prawem.

– W takim razie dlaczego już dawno nie został zamknięty?

– Ponieważ nosi maskę. – Co?

– Każdy z nas nosi maskę, Angeli. Kiedy tylko wyrastamy z niemowlęctwa, uczymy się ukrywać nasze prawdziwe uczucia, nie ujawniać nienawiści i lęków. – Judd czuł się pewnie, to było jego własne terytorium. – Ale pod wpływem stresu Don Vinton jest gotów zrzucić maskę i pokazać swą nagą twarz.

– Rozumiem.

– Ma bardzo wrażliwe ego. Jeśli stanie w obliczu zagrożenia, prawdziwego zagrożenia, odkryje się. Już teraz jest na krawędzi. Niewiele potrzeba, by zrobił krok w otchłań. – Zawahał się, potem zaczął mówić jakby bardziej do siebie. – To człowiek, który ma manę.

– Co ma?

– Mana: tym terminem prymitywni ludzie określają kogoś, kto posiada duży wpływ na innych, ponieważ albo żyje w nim demon, albo sam ma tak silną osobowość.

– Powiedział pan, że on nie maluje, nie para się twórczością literacką i nie gra na pianinie. Skąd pan to wie?

– Świat jest pełen artystów cierpiących na schizofrenię. Większości udaje się przejść przez życie spokojnie, ponieważ dla nich zaworem bezpieczeństwa jest praca, w której potrafią się realizować. Nasz człowiek nie ma takiego ujścia. On jest jak wulkan. Dla niego jedyny sposób na rozsadzające go ciśnienie to wybuchnąć: Hanson – Carol – Moody.

– Twierdzi pan, że to tylko bezsensowne morderstwa, które popełnia, żeby...

– Dla niego nie są bezsensowne. Wprost przeciwnie...

Umysł Judda pracował na wysokich obrotach. Kilka kolejnych kawałków układanki wskoczyło na właściwe miejsce. Przeklinał samego siebie, że był tak ślepy lub tak przestraszony i nie widział tego wcześniej.

– Ja jestem jedyną osobą, którą Don Vinton atakuje od samego początku. John Hanson zginął przez pomyłkę, ponieważ wzięto go za mnie. Kiedy zabójca odkrył, że popełnił błąd, wrócił do gabinetu, by spróbować jeszcze raz. Nie zastał mnie, ale trafił na Carol. – W głosie Judda pojawił się gniew.

– Zabił ją, żeby nie mogła go zidentyfikować?

– Nie. Mężczyzna, którego szukamy, nie jest sadystą. Carol była torturowana, ponieważ chciał z niej coś wydobyć. Powiedzmy, że szukał czegoś, co mogłoby być dowodem przeciwko mnie. A ona mu tego nie dała.

– Jakiego dowodu? – dopytywał się Angeli.

– Nie mam pojęcia – odparł Judd. – Ale to jest klucz do całej sprawy. Moody znalazł odpowiedź i dlatego właśnie zginął.

– Ciągłe jeszcze czegoś tu nie rozumiem. Gdyby zabili pana na ulicy, nie mieliby tego obciążającego dowodu. To nie pasuje do reszty teorii – upierał się Angeli.

– A jednak. Załóżmy, że na kasetach znajduje się jakaś ważna dla niego informacja. Sama w sobie może być całkiem nieszkodliwa, ale w połączeniu z innymi faktami zagraża mu. A więc Don Vinton ma dwie drogi. Albo odebrać mi taśmę, albo mnie wyeliminować, żebym przed nikim nie zdradził tej informacji. Najpierw jego ludzie spróbowali pozbyć się mnie. Ale popełnili błąd, zabijając Hansona. Potem spróbowali drugiej drogi. Usiłowali wydostać informację od Carol. I to się nie udało, więc postanowili jednak za wszelką cenę mnie załatwić. Gdy szedłem do Moody’ego, najprawdopodobniej byłem śledzony. A kiedy on wpadł na właściwy trop, zginął.

Angeli spojrzał na Judda w zamyśleniu.

– I dlatego morderca nie zatrzyma się, póki ja nie zginę – podsumował szybko Judd. – To śmiertelna rozgrywka, a mężczyzna, którego opisałem, nie znosi przegranej.

Angeli przyglądał mu się, jakby ważąc słowa psychoanalityka.

– Jeśli ma pan rację, będzie panu potrzebna ochrona – oświadczył wreszcie. Wyjął służbowy rewolwer i otworzył komorę, sprawdzając, czy magazynek jest załadowany.

– Dzięki, Angeli, ale pistolet nie jest mi potrzebny. Zamierzam ich dopaść, posługując się moją własną bronią.

Nagle trzasnęły drzwi wejściowe.

– Spodziewa się pan kogoś? Judd potrząsnął głową.

– Nie. Dziś nie mam żadnych pacjentów.

Angeli, wciąż z pistoletem w ręce, przysunął się cicho ku wejściu do poczekalni. Nagłym ruchem otworzył drzwi, w których stał zdumiony Peter Hadley.

– Kim pan jest? – krzyknął Angeli. Judd podszedł do drzwi.

– Wszystko w porządku – powiedział. – To mój przyjaciel.

– Co się tu, u diabła, dzieje? – zapytał Peter.

– Przepraszam – powiedział Angeli chowając pistolet.

– Doktor Peter Hadley, detektyw Angeli – przedstawił mężczyznę Judd.

– Czy założyłeś tutaj oddział dla wariatów? – dopytywał się Peter.

– Mieliśmy drobne problemy – wyjaśnił Angeli. – W gabinecie doktora Stevensa... byli włamywacze. Myśleliśmy, że wrócili.

Judd podchwycił skwapliwie:

– Tak. Nie znaleźli tego, czego szukali.

– Czy to ma coś wspólnego z zamordowaniem Carol? – spytał Peter.

– Nie jesteśmy pewni – Angeli uprzedził Judda. – Na razie departament policji poprosił pana Stevensa, aby nie wypowiadał się w tej sprawie.

– Rozumiem – odparł Peter. Spojrzał na Judda. – Idziemy na lunch?

Judd uświadomił sobie, że kompletnie zapomniał o umówionym spotkaniu.

– Oczywiście – powiedział szybko. Odwrócił się do Angelego.

– Myślę, że wszystko już ustaliliśmy.

– Chyba tak – zgodził się Angeli. – Jest pan pewny, że nie chce... – wskazał na rewolwer.

Judd potrząsnął głową.

– Dzięki.

– Dobra. Proszę na siebie uważać – rzucił na odchodne Angeli.

– Oczywiście – obiecał Judd.

Podczas lunchu Judd był nieobecny myślami, a Peter go nie wypytywał. Mówili o wspólnych znajomych i pacjentach, których razem prowadzili. Peter ustalił już z pracodawcą Harrisona Burke'a, że chory musi przejść badania psychiatryczne. Potem zostanie wysłany do prywatnego zakładu.

Kiedy pili kawę, Peter powiedział:

– Nie wiem, Judd, w jakie tarapaty wpadłeś, ale jeśli mógłbym w czymś pomóc...

Judd potrząsnął głową.

– Dzięki, Peter, ale tą sprawą muszę zająć się sam. Opowiem ci, jak już będzie po wszystkim.

– Mam nadzieję, że nastąpi to wkrótce – odrzekł Peter lekko. Zawahał się. – Czy... grozi ci jakieś niebezpieczeństwo?

– Oczywiście, że nie – zapewnił go Judd.

Jeśli zapomnieć o szaleńcu opętanym żądzą mordy, mającym już na swym koncie śmierć trojga ludzi i czyhającym na czwartą ofiarę, którą miał być Judd.

Rozdział 15

Po lunchu Judd wrócił do biura. Postanowił sprawdzić wszystko raz jeszcze i spróbować jak najlepiej się zabezpieczyć.

Jeśli w ogóle jego działania miały jakiś sens.

Zaczął od nowa przesłuchiwać kasety, koncentrując się na tym, co mogło naprowadzić go na trop. To było jak oglądanie brzydkich wyrazów napisanych na murach. Potok słów pełnych nienawiści... perwersji... strachu... żalu nad sobą... megalomanii... samotności... pustki... bólu.

Po trzech godzinach znalazł tylko jedno nazwisko nadające się do wpisania na jego listę: Bruce Boyd, mężczyzna, z którym John Hanson ostatnio mieszkał. Włożył jeszcze raz do magnetofonu kasetę z nagraniem sesji Hansona.

– ... wydaje mi się, że zakochałem się w Boydzie tego dnia, kiedy go zobaczyłem po raz pierwszy. To najpiękniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałem.

– Czy jest partnerem biernym, czy dominującym?

– Dominującym. Właśnie dlatego tak mnie pociąga. Jest bardzo silny. Później, gdy już zostaliśmy kochankami, zdarzało nam się kłócić z tego powodu.

– Dlaczego?

– Bruce nie zdaje sobie sprawy ze swej siły. Zdarzało mu się zniecka mnie uderzyć. Dla niego to był czuły gest, ale za którymś razem o mało nie przetrącił mi kręgosłupa. Miałem ochotę go zabić. Ściskając dłoń, potrafił miażdżyć palce. Zawsze potem udawał, że jest mu przykro, ale tak

naprawdę Bruce uwielbia ranić ludzi. Nie potrzebuje bicia. Jest bardzo silny...

Judd zatrzymał kasetę i siedział zamyślony. Homoseksualista nie pasował do jego obrazu mordercy, z drugiej jednak strony Boyd był sadystą i egoistą.

Spoglądał na dwa nazwiska na swej liście: Teri Washburn zabiła swego chłopaka w Hollywood i nigdy nawet o tym nie wspomniała – i Bruce Boyd, ostatni kochanek Johna Hansona. Jeśli dobrze wytypował – kto z nich dwojga był tym, którego szukał?

Teri mieszkała przy Sutton Place w apartamencie na ostatnim piętrze. Wystrój wnętrza robił szokujące wrażenie – wszystko było w kolorze różowym. Kosztowne meble stały bez ładu i składu, a na ścianach wisiały obrazy francuskich impresjonistów. Zanim Teri weszła do pokoju, Judd rozpoznał dwa obrazy Maneta, dwa Degasa, jeden Moneta i jeszcze jeden Renoira. Wcześniej zatelefonował do niej, zapowiadając swą wizytę. Czekwała na niego. Miała na sobie jedynie cienki różowy negliż.

– Naprawdę przyszedłeś! – wykrzyknęła radośnie.

– Chciałem z tobą porozmawiać.

– Jasne. Mała popitka?

– Nie, dziękuję.

– W takim razie przygotuję tylko dla siebie. Muszę uczcić taką chwilę – oznajmiła Teri i ruszyła w stronę barku inkrustowanego macicą perłową, stojącego w kącie przestronnego salonu.

Judd przyglądał się jej w zamyśleniu.

Wróciła z drinkiem i umościła się koło niego na kanapie.

– A więc twój ptaszek wreszcie do mnie przyleciał. Wiedziałam, że nie zawiedziesz małej Teri. Szaleję za tobą, Judd. Zrobię dla ciebie wszystko, w porównaniu z tobą wszyscy mężczyźni, których miałam w życiu, nie już nie będą warci. – Odstawiła drinka i sięgnęła ręką do jego spodni.

Judd złapał jej dłoń.

– Teri – powiedział. – Potrzebuję twojej pomocy. Jej myśli podążały utartą drogą.

– Wiem, kochany – jęknęła. – Będę się z tobą pieprzyć jak jeszcze nikt w życiu.

– Teri, posłuchaj mnie! Ktoś próbuje mnie zabić!

W jej oczach pojawiło się zdumienie. Udane czy prawdziwe? Pamiętał jeden z jej ostatnich występów. Była niezła jako aktorka, ale nie aż tak dobra.

– Na litość boską! Kto... kto chce cię zamordować?

– To może być ktoś z kręgu moich pacjentów. – Ale... Jezu... dlaczego?

– Tego właśnie próbuję się dowiedzieć, Teri. Czy któryś z twoich przyjaciół mówił o zabijaniu... o morderstwie? Może podczas przyjęcia, tak dla żartów?

Teri potrząsnęła głową. – Nie.

– Czy znasz kogoś, kto nazywa się Don Vinton? Przyglądała mu się uważnie.

– Don Vinton? A powinnam go znać?

– Teri, co czujesz, gdy rozmawiamy o morderstwie? – Dostrzegł, że przez jej ciało przebiegł dreszcz. Trzymał ją za rękę i czuł przyspieszony puls. – Czy morderstwo cię podnieca?

– Nie wiem.

– Zastanów się – naciskał Judd. – Czy myśl o zabijaniu działa na ciebie ekscytująco?

Jej puls stał się nieregularny.

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o mężczyźnie, którego zabiłaś w Hollywood?

Rzuciła się na niego z pazurami. Złapał ją za nadgarstki.

– Ty pieprzony skurwysynu! To było dwadzieścia lat temu... A więc dlatego tu przyszedłeś. Wynoś się stąd. Wynoś się! – łkała histerycznie.

Judd przyglądał się jej przez chwilę: była zdolna popełnić morderstwo w afekcie. Tak bardzo brakowało jej poczucia bezpieczeństwa i wiary w siebie, że stawała się łatwą zdobyczą dla kogoś, kto chciałby ją wykorzystać. Była jak kawał miękkiej gliny w rękach rzeźbiarza. Można z niej było zrobić piękną statuetkę lub śmiertelną broń. Pytanie brzmiało: kto ostatni ją kształtował? Don Vinton?

Judd podniósł się.

– Przykro mi – powiedział.

I wyszedł z różowego apartamentu.

Bruce Boyd mieszkał w wydzielonym osiedlu Greenwich Village. Drzwi otworzył ubrany w biały garnitur służący, Filipińczyk. Judd podał swe nazwisko. Służący poprosił go, by poczekał w holu, i zniknął. Minęło dziesięć minut, piętnaście. Judd z trudem hamował irytację. Może powinien był powiedzieć detektywowi Angelemu, że się tu wybiera. Jeśli jego teoria była słuszna, następny zamach na jego życie miał nastąpić już wkrótce. A napastnik postara się, by tym razem został uwieczniony sukcesem.

Pojawił się służący.

– Pan Boyd zobaczy się teraz z panem – powiedział. Poprowadził Judda schodami do gustownie urządzonego gabinetu, a potem dyskretnie się wycofał.

Boyd siedział za biurkiem i coś pisał. Był pięknym mężczyzną o ostrych, wyrazistych rysach, orlim nosie i zmysłowych ustach. Miał kręcone blond włosy, około metra dziewięćdziesiąt wzrostu, klatkę piersiową i bary piłkarza. Judd przypomniał sobie nakreślony przez siebie portret zabójcy. Boyd pasował do niego. Teraz jeszcze bardziej żałował, że nie zawiadomił o swej wyprawie Angelego.

Głos Boyda był miękki i kulturalny.

– Proszę wybaczyć, że musiał pan czekać, doktorze Stevens – usprawiedliwił się grzecznie. – Jestem Bruce Boyd. – I wyciągnął na powitanie dłoń.

Judd podał swoją i w tym momencie Boyd wymierzył mu granitową pięścią cios prosto w usta. Uderzenie było tak nieoczekiwane, że Judd upadł do tyłu, rozbijając stojącą za nim lampę.

– Przykro mi, doktorze – powiedział Boyd spoglądając na leżącego na podłodze Stevensa. – Zasłużył pan na to. Był pan niegrzecznym chłopcem. Proszę teraz wstać, a ja przygotuję panu drinka.

Judd potrząsnął niepewnie głową. Zaczął podnosić się z podłogi. Kiedy już nieomal się wyprostował, Boyd kopnął go czubkiem buta w genitalia i Judd wylądował znowu na parkiecie, zwijając się z bólu.

– Czekałem na pana – oznajmił Boyd.

Mimo fal mdlącego bólu Judd spojrzał na pochylającą się nad nim postać. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Proszę nic nie mówić – rzekł współczująco Boyd. – To musi boleć. Wiem, dlaczego przyszedł pan tutaj. Chce mnie pan zapytać o Johnny’ego.

Judd miał właśnie przytaknąć, gdy Boyd kopnął go w głowę. Słowa dochodziły teraz do niego jak przez czerwoną mgłę.

– Kochaliśmy się, dopóki pan się nie zjawiał. To przez pana on poczuł się jak świr. Uznał, że nasza miłość jest czymś brudnym. Czy pan wie, kto

aąo KktÓproŚjōNK□

Stracił przytomność.

Rozdział 16

przez czarną zasłonę umysł starał się przesłać mu wiadomość o kosmicznej doniosłości, ale dudnienie wewnątrz czaszki nie pozwalało na niczym się skoncentrować. Gdzieś w pobliżu słyszał przejmujące zawodzenie jakby zranionego zwierzęcia. Powoli, z bólem Judd otworzył oczy. Leżał na łóżku w jakimś dziwnym pokoju. W kącie Bruce Boyd szlochał histerycznie.

Judd spróbował usiąść. Przeszywający ból przypomniawszy mu, co się stało, i nagle wypełniła go dzika furia.

Boyd, słysząc poruszenie, odwrócił się. Podeszedł do łóżka.

– To wszystko twoja wina – wyjąkał. – Gdyby nie ty, Johnny byłby nadal bezpieczny ze mną.

Jakby wbrew własnej woli, powodowany zapomnianym, głęboko ukrytym instynktem zemsty, Judd sięgnął Boydowi do gardła, jego palce z całych sił zacisnęły się na grdyce. Mężczyzna nie usiłował nawet się bronić. Po prostu stał, a łzy płynęły mu po twarzy. Judd spojrzał mu w oczy, które były jak otchłań piekielna. Powoli opadły mu ręce. Mój Boże – pomyślał – jestem przecież lekarzem. Zaatakował mnie chory człowiek, a ja go chciałem zabić. Popatrzył na Boyda jak na zagubione dziecko.

I nagle uświadomił sobie, co przez cały czas próbowała mu podpowiedzieć podświadomość: Bruce Boyd nie był Don Vintonem, bo wtedy Judd już by nie żył. Boyd nie mógłby popełnić morderstwa. A więc wymyślony przez Judda portret Jak istotnie nie pasował do niego. Choć ta pociecha wydawała się raczej wątpliwa.

– Gdyby nie ty, Johnny żyłby jeszcze – łkał Boyd. – Byłby tu ze mną, a ja bym go ochronił.

– Nie prosiłem Johna Hansona, żeby odszedł od ciebie – powiedział znużonym głosem Judd. – To był jego pomysł.

– Kłamiesz.

– Nie układało wam się, zanim on do mnie przyszedł. Zapadła długa cisza. Wreszcie Boyd skinął głową.

– Tak. My... my kłóciliśmy się przez cały czas.

– Próbował się odnaleźć, a instynkt podpowiadał mu, że powinien wrócić do żony i dzieci. W głębi duszy John pragnął być heteroseksualny.

– Wiem – szepnął Boyd. – Bez przerwy o tym mówił, a ja myślałem, że chce mnie ukarać. – Podniósł wzrok na Judda. – I pewnego dnia zostawił mnie. Po prostu się wyprowadził. Przestał mnie kochać. – W jego głosie zabrzmiała rozpacz.

– Nie przestał cię kochać – powiedział Judd. – Pozostał twoim przyjacielem.

Teraz Boyd wpatrywał się w niego.

– Czy pomożesz mi? – W jego oczach czaiła się desperacja. – P... pomóż mi. Musisz mi pomóc!

To był krzyk udręki. Judd przyglądał mu się przez długą chwilę.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Pomogę ci.

– Czy będę normalny?

– Nie ma czegoś takiego jak normalność. Każdy niesie własną normalność w sobie i nie ma dwojga takich samych ludzi.

– Czy potrafisz sprawić, że stanę się heteroseksualistą?

– To zależy od tego, czy naprawdę chcesz nim być. Możemy

spróbować psychoanalizy.

– A jeśli zawiedzie?

– Gdybyśmy stwierdzili, że masz konstrukcję homoseksualną, spróbujemy cię do tego dostosować.

– Kiedy możemy zacząć? – zapytał Boyd.

To przywołało Judda do rzeczywistości: siedział i rozmawiał o rozpoczęciu leczenia pacjenta, a przecież – przynajmniej wszystko na to wskazywało – miał zostać zamordowany w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin. A więc nie zbliżył się ani na jotę do odkrycia, kim jest Don Vinton. Wyeliminował Teri i Boyda, jedynych podejrzanych na swojej liście. Znalazł się w punkcie wyjścia. Jeśli jego analiza zabójcy była prawidłowa, człowiek ten był już doprowadzony do pasji. Następny atak nastąpi bardzo, bardzo szybko.

– Zadzwoń do mnie w poniedziałek – powiedział.

Jadąc taksówką do domu Judd starał się oszacować swe szanse przeżycia. Były raczej słabe. Czego tak rozpaczliwie Don Vinton chciał od niego? I kim był jego prześladowca? Jak to się stało, że nie znalazła się o nim żadna wzmianka w raportach policyjnych? Może używał innego nazwiska? Nie. Moody wyraźnie powiedział: Don Vinton.

Judd miał kłopoty z koncentracją. Po każdym wstrząsie taksówki przez jego pokiereszowane ciało przepływała fala bólu. Myślał o mordercach i próbach, jakie podjęli do tego czasu. Szukał powtarzającego się wzoru, który miałby sens. Zasztyletowanie, śmierć wskutek tortur, wypadek drogowy, podłożenie dynamitu, uduszenie. Nie znajdował dla nich żadnego wspólnego mianownika. Poza bezwzględną gwałtownością

szaleńca. Zupełnie nie wiedział, czego powinien się teraz spodziewać. Ani z czyjej strony. Największe niebezpieczeństwo groziło mu w jego własnym mieszkaniu i gabinecie. Przypomniał sobie radę Angelego. Powinien wzmocnić zamki. Powie Mike'owi, portierowi, i Eddiemu, windziarzowi, żeby mieli oczy otwarte. Im mógł ufać.

Taksówka podjechała pod dom. Podszedł portier i otworzył drzwiczki.

Judd widział go po raz pierwszy.

Rozdział 17

to potężny smagły mężczyzna z dziobatą twarzą i głęboko osadzonymi czarnymi oczami. Na szyi widać było bliznę po starej ranie. Miał na sobie uniform Mike'a wyraźnie dla niego przymały.

Taksówka odjechała i Judd został sam na sam z mężczyzną. O mało nie zwała go z nóg kolejna fala bólu. Mój Boże, byle nie teraz! Zaciśnął zęby.

– Gdzie jest Mike? – zapytał.

– Na wakacjach, doktorze.

Doktorze. Mężczyzna wiedział, z kim ma do czynienia. Mike na wakacjach? W grudniu?

Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiezek satysfakcji. Judd rozejrzał się po ulicy, nie było żywej duszy. W obecnym stanie nie zdołałby uciec. Jego ciało było poobijane i obolałe, nawet oddychanie przychodziło mu z trudem.

– Wygląda pan, jakby ledwo uszedł z życiem z wypadku. – Głos mężczyzny brzmiał jowialnie.

Judd odwrócił się i nie siląc się na odpowiedź wszedł do holu. Liczył na pomoc Eddiego.

Portier ruszył za nim. Eddie stał w windzie, odwrócony do nich tyłem. Judd skierował się w jego stronę, każdy krok był nieopisaną męką. Wiedział, że teraz musi się trzymać. Najważniejsze, aby mężczyzna nie został z nim sam na sam: będzie się obawiał świadków.

Był – Eddie! – zawołał Judd.

Windziarz odwrócił się. Był mniejszą wersją portiera, tyle tylko, że bez blizny. Najwyraźniej mężczyźni byli braćmi.

Judd stanął, złapany w potrzask. Poza nimi w holu nie było nikogo.

– Jedziemy w górę – powiedział zastępca Eddiego. Miał taki sam zadowolony z siebie uśmiech jak jego brat.

A więc tak miała wyglądać śmierć. Judd był przekonany, że żaden z nich nie jest mózgiem całej tej operacji. To byli wynajęci mordercy. Czy zabiją go tutaj, czy też w mieszkaniu? Przypuszczał, że w mieszkaniu: to pozwoli im uciec, zanim ciało zostanie znalezione.

Judd zrobił krok w kierunku biura kierownika.

– Muszę zobaczyć się z panem Katzem w pewnej... Większy mężczyzna stanął mu na drodze.

– Pan Katz jest zajęty – powiedział łagodnie.

– Zawiozę pana na górę – dodał ten z windy.

– Nie – sprzeciwił się Judd.

– Ja...

– Proszę zrobić to, co on mówi. – W głosie portiera nie było emocji.

Nagle do holu wdarł się podmuch mroźnego powietrza. Otworzyły się drzwi i weszło dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Opowiadali coś sobie i zaśmiewali się.

– To gorsze niż Syberia – powiedziała jedna z kobiet. Mężczyzna, który trzymał ją pod ramię, miał pyzată twarz i akcent typowy dla środkowego Zachodu.

– Noc taka, że psa z domu nie wypędzisz.

Grupa przesuwała się w stronę windy. Portier i windziarz wpatrywali się w przybyłych w całkowitym milczeniu. Druga kobieta była drobną

platynową blondynką.

– Cóż to był za cudowny wieczór – powiedziała. Miała silny południowy akcent. – Dziękujemy wam bardzo. – Wyraźnie dawała mężczyznom do zrozumienia, że najwyższy czas się pożegnać.

Jeden z nich mruknął niezadowolony.

– Nie pójdziemy sobie, dopóki nie napijemy się filiżanki gorącej herbaty lub czegoś innego na rozgrzewkę.

– Zrobiło się straszliwie późno, George – tłumaczyła pierwsza.

– Ale na dworze mróz. Musisz nam dać jakiegoś odmrażacza.

Drugi przyłączył się do jego prośby.

– Tylko jeden drink i już nas nie ma. – No...

Judd wstrzymał oddech: Proszę! Platynowa blondynka poddała się.

– Dobrze. Ale tylko jeden, wszyscy słyszeli? Roześmiana grupa weszła do windy. Judd wmieszał się pomiędzy nich. Portier stał patrząc niepewnie na swego brata. Ten wzruszył ramionami, zamknął drzwi i winda ruszyła w górę. Mieszkanie Judda znajdowało się na czwartym piętrze. Jeśli ci ludzie wysiądą przed nim, czekają go kłopoty. Jeśli pojedą wyżej, będzie miał szansę dostać się do mieszkania, zabarykadować się i dzwonić po pomoc.

– Które piętro?

Drobna blondynka zachichotała.

– Nie wiem, co powie mój mąż, kiedy zobaczy, że zaprosiłam dwóch kompletnie nieznanomych mężczyzn na drinka. – Odwróciła się do windziarza i powiedziała: – Dziesiąte.

Judd odetchnął, dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że cały czas wstrzymuje oddech. Szybko powiedział:

– Czwarte.

Windziarz rzucił mu spokojne, pełne zrozumienia spojrzenie i zatrzymał windę na czwartym. Judd wysiadł. Drzwi zamknęły się zanim.

Ruszył w stronę mieszkania, słaniając się z bólu. Wyjął klucze, otworzył drzwi i wszedł do środka. Serce waliło mu jak szalone. Miał jakieś pięć minut, zanim przyjdą go zabić.

Zamknął drzwi. Sięgnął po łańcuch, ale ten nie mógł mu już pomóc: ktoś go odciął. Upuścił bezużyteczny kawałek metalu na ziemię i pobiegł do telefonu. Zakręciło mu się w głowie. Stał, usiłując pokonać ból, a cenny czas uciekał. Z wysiłkiem ruszył znowu w stronę telefonu, tym razem dużo wolniej. Jediną osobą, którą mógł prosić o pomoc, był Angeli, ale on leżał w domu chory. Poza tym, co miał mu powiedzieć? W budynku, gdzie mieszkam, jest nowy portier i windziarz. Uważam, że chcą mnie zabić. Uświadomił sobie, że stoi trzymając w ręku słuchawkę, niezdolny cokolwiek wymyślić. Wstrząs. Wejdą tu i znajdą go – całkowicie bezradnego. Przypomniał sobie spojrzenie potężniejszego z mężczyzn. Musiał ich jakoś przechytrzyć, pomieszać im szyki. Ale, na Boga, jak?

Włączył mały monitor, który pokazywał, co się dzieje w holu. Było tam całkowicie pusto. Powrócił atakujący falami ból, znowu zrobiło mu się słabo. Zmusił swój znużony umysł do skupienia. Był w sytuacji krytycznej i musiał przedsięwziąć środki nadzwyczajne. Tak... Oczy znowu przesłoniła mu mgła. Podsunął tarczę telefonu tuż przed siebie, żeby lepiej widzieć numery. Powoli, zmagając się z bólem, wybrał numer. Głos odpowiedział po piątym sygnale. Judd z trudem formułował słowa. Jego wzrok przykuł ruch na monitorze. Dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach szło przez hol w stronę wind.

Jego czas dobiegł końca.

Dwóch mężczyzn przesuwało się bezszelestnie korytarzem w stronę mieszkania Judda. Zajęli miejsca po dwóch stronach drzwi. Większy z nich, Rocky, cicho nacisnął klamkę. Zamknięte. Wyjął celuloidową kartę i uważnie włożył w zamek. Skinął na brata i w tej samej chwili obaj wyciągnęli rewolwery z tłumikami. Rocky przesunął kartę w zamku i pchnął drzwi, które już nie stawiały oporu. Weszli do salonu, mierząc z rewolwerów. Ujrzeni troje zamkniętych drzwi. Ani śladu po tym, którego ścigali. Niższy z braci, Nick, spróbował otworzyć pierwsze drzwi. One również były zamknięte. Uśmiechnął się i przyłożył lufę do zamka. Pociągnął za spust. Kiedy otworzyli drzwi, zobaczyli sypialnię. Wolnym krokiem weszli do środka i omietli czujnymi spojrzeniami pokój, trzymając w pogotowiu pistolety.

Nikogo nie było. Nick sprawdził szafy, a Rocky wrócił do salonu. Poruszali się bez pośpiechu, wiedzieli, że Judd ukrywa się gdzieś w tym mieszkaniu i że go dopadną. Z ich niespiesznych ruchów przebijała radość, jakby rozkoszowali się tym, że za chwilę dokonają mordu.

Nick spróbował otworzyć kolejne drzwi. Również były zamknięte. Odstrzelił zamek i wszedł do środka. To był gabinet. Pusty. Uśmiechnęli się do siebie i ruszyli ku ostatniemu pomieszczeniu. Kiedy mijali monitor, Rocky złapał brata za ramię. Na ekranie widać było trzech mężczyzn biegnących przez hol. Dwóch w białych kitlach niosło nosze. Trzeci torbę z lekarstwami.

– Co, u diabła!

– Uspokój się, Rocky. Ktoś zachorował i tyle. W tym budynku musi

być z tysiąc mieszkań.

Jak zahipnotyzowani przyglądali się sanitariuszom wstawiającym nosze do windy, której drzwi po chwili zamknęły się.

– Dajmy im parę minut – powiedział Nick. – Mógł zdarzyć się jakiś wypadek. A to oznaczałoby gliny.

– Ależ mamy pieprzony fart!

– Nie martw się. Stevens nigdzie się nie wybiera.

Drzwi do apartamentu otworzyły się gwałtownie, do środka wpadł lekarz i dwóch sanitariuszy, pchających przed sobą nosze na kółkach. Rewolwery zabójców w jednej chwili znalazły się w ich kieszeniach.

Lekarz podszedł do braci.

– Czy on nie żyje?

– Kto?

– Ofiara samobójstwa. Żyje czy nie?

Mordercy spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

– Chyba wam się, chłopcy, pomyliło mieszkanie. Lekarz przepchnął się między nimi i chwycił za klamkę u drzwi.

– Zamknięte. Pomóżcie mi je wyważyć.

Bracia patrzyli bezradnie, jak lekarz i sanitariusze napierają na zamek. Wreszcie pomieszczenie stanęło otworem.

– Przynieście nosze! – krzyknął lekarz. Podszedł do łóżka, na którym leżał Judd. – Jak pan się czuje?

Judd usiłował skupić na nim wzrok.

– Szpital – zdołał wymamrotać. – Już jedziemy.

Oniemiali zabójcy patrzyli, jak sanitariusze sprawnie układają Judda na noszach i owijają go kocami.

– Zmywajmy się stąd – powiedział Rocky.

Lekarz przyglądał się im, jak wychodzili. Potem spojrzął na białego jak prześcieradło Stevensa.

– Jak się czujesz, Judd? – zapytał z przejęciem. Psychoanalityk próbował uśmiechnąć się, ale nie bardzo mu to wychodziło.

– Świetnie – odparł. Słyszał swój własny głos jakby dochodzący z oddali. – Dziękuję, Peter.

Peter spojrzął na przyjaciela, a potem skinął na sanitariuszy.

– Idziemy!

Rozdział 18

Pokój szpitalny był inny, ale pielęgniarka ta sama. Tobołek ziejący dezaprobatą. To ją pierwszą zobaczył Judd, kiedy otworzył oczy.

– Dobrze. Teraz usiądziemy – powiedziała. – Doktor Harris chce się z panem widzieć. Powiem mu, że pan się obudził.

Sztywnym krokiem wyszła z pokoju.

Judd podciągnął się na łóżku, uważając na każdy ruch. Członki reagowały nieco opieszale, ale było to tylko osłabienie. Usiłował skupić wzrok na krześle w drugim końcu pokoju, sprawdzając kolejno każde oko. Obraz był nieco zamglony.

– Potrzebna konsultacja?

Spojrzał w stronę drzwi. Stał w nich doktor Seymour Harris.

– No cóż – lekarz był wyraźnie w pogodnym nastroju – stajesz się jednym z naszych najlepszych pacjentów. Czy wiesz, ile wynosi rachunek za samo szycie? Damy ci zniżkę... Jak spałeś, Judd? – Przysiadł na skraju łóżka.

– Jak niemowlę. Co mi dałeś?

– Zastryk z luminalumnatrium.

– Która jest teraz godzina?

– Południe.

– Mój Boże – powiedział Judd. – Muszę się stąd wydostać.

Doktor Harris sięgnął po kartę przyczepioną do wezglowia łóżka.

– O czym najpierw chciałbyś porozmawiać? O wstrząsie mózgu? Skaleczeniach? Kontuzjach?

– Czuję się dobrze.

Lekarz odwiesił kartę. Teraz jego głos zabrzmiał poważnie:

– Judd, nieźle oberwałeś. Bardziej, niż myślisz. Gdybyś był rozsądny, zostałbyś w łóżku kilka dni i odpoczął. A potem pojechał na miesięczny urlop.

– Dzięki, Seymour – powiedział Judd.

– Masz na myśli: dzięki, ale nie, prawda?

– Jest coś, czym muszę się zająć. Doktor Harris westchnął.

– Czy wiesz, kto jest najgorszym pacjentem, jakiego można sobie wyobrazić? Lekarz. – Zmienił temat, uznając swoją porażkę. – Peter był tutaj przez całą noc. A teraz dzwoni co godzina. Martwi się o ciebie. On uważa, że zeszłej nocy ktoś usiłował cię zabić.

– Wiesz, jacy są lekarze, zawsze ponosi ich wyobraźnia. Harris przyglądał mu się przez chwilę, potem wzruszył ramionami.

– Ty jesteś analitykiem – powiedział. – Ja tylko leczę ludzi. Może wiesz, co robisz, chociaż nie dałbym za to złamanego grosza. Jesteś pewny, że nie chciałbyś kilka dni zostać w łóżku?

– Nie mogę.

– W porządku, tygrysie. Wypuszczę cię jutro. Judd zaczął protestować, ale Harris uciał szybko.

– Bez dyskusji. Dziś jest niedziela. Daj tym facetom, którzy nastają na ciebie, chwilę oddechu.

– Seymour...

– Jeszcze coś. Nie chcę, żeby to zabrzmiało jak marudzenie mamuńci, ale czy ty ostatnio coś w ogóle jadłeś?

– Nie za wiele – odparł Judd.

– Dobra. Dam tutejszym paniom dwadzieścia cztery godziny na utuczenie cię. I, Judd...

– Tak?

– Bądź ostrożny. Naprawdę nie chciałbym stracić tak dobrego klienta. – I doktor Harris wyszedł.

Judd przymknął powieki, chciał przez chwilę odpocząć. Usłyszał brzęk talerzy, a kiedy otworzył oczy, zobaczył prześliczną irlandzką pielęgniarkę, która właśnie wchodziła do separatki, pchając przed sobą wózek, na którym leżała taca z obiadem.

– Już się pan obudził, doktorze Stevens? – uśmiechnęła się.

– Która godzina?

– Szósta. Przespał cały dzień.

Przełożyła tacę zjedzeniem na łóżko.

– Udało się panu, bo dziś mamy indyka. Jutro Wigilia.

– Wiem. – Nie miał apetytu do chwili, kiedy wziął do ust pierwszy kęs. Nagle poczuł, że umiera z głodu. Doktor Harris nie pozwolił łączyć z nim żadnych rozmów telefonicznych, więc leżał w łóżku w absolutnym spokoju, zbierając siły – będzie ich wkrótce bardzo potrzebował.

Następnego dnia o dziesiątej rano do pokoju Judda wpadł doktor Seymour Harris.

– Jak się ma mój ulubiony pacjent? – uśmiechał się szeroko. – Wyglądasz prawie jak człowiek.

– I tak też się czuję – odpowiedział pogodnie Judd.

– Dobrze. Będziesz miał gościa. Nie chciałem, żeby cię przestraszył. „

Peter. I prawdopodobnie Nora. Wyglądało na to, że większość czasu spędzają ostatnio na składaniu mu wizyt w szpitalach.

– To porucznik McGreavy – dokończył Harris. Judd spochmurniał.

– Bardzo mu zależy, żeby z tobą porozmawiać. Już tu idzie. Chciał mieć tylko pewność, że nie śpisz.

A więc przyszedł go aresztować. Nieobecność Angelego pozwoliła mu sfabrykować dowody. Kiedy McGreavy położył na nim łapę, nie będzie już ucieczki. Musi wydostać się stąd, zanim policjant wejdzie do pokoju.

– Mógłbyś poprosić pielęgniarkę, żeby przyniosła maszynkę do golenia? – poprosił Judd. W jego głosie musiało być coś szczególnego, bo doktor Harris popatrzył na niego dziwnie. Może dlatego, że McGreavy powiedział mu coś na temat Judda.

– Jasne – zgodził się i wyszedł.

W tym samym momencie, kiedy zamknęły się drzwi, Judd wyskoczył z łóżka. Dwie przespane noce uczyniły cuda. Nie trzymał się najpewniej na nogach, ale to minie. Teraz musiał się spieszyć. W trzy minuty był ubrany.

Wyjrzał z pokoju, czy nie ma na zewnątrz nikogo, kto mógłby go zatrzymać, i szybkim krokiem poszedł w stronę schodów służbowych. W chwili gdy tam dotarł, na piętrze zatrzymała się winda i wysiadł z niej McGreavy. Skierował się w stronę pokoju, z którego Judd właśnie wyszedł. Wyraźnie się spieszył, towarzyszył mu policjant w mundurze i dwóch detektywów. Judd pędem zbiegł po schodach i opuścił teren szpitala przez bramę dla karettek. Przecznice dalej zatrzymał taksówkę.

McGreavy wszedł do szpitalnego pokoju i szybkim spojrzeniem obrzucił puste łóżko i szafę.

– Nawiał – powiedział do towarzyszących mu osób. – Może uda wam się go jeszcze złapać. – Podskoczył do telefonu i poprosił o połączenie z

komisariatem. – Tu McGreavy – powiedział wzburzonym głosem. – Proszę tę wiadomość rozesłać do wszystkich posterunków. Pilne... Doktor Stevens, imię Judd. Mężczyzna, biały. Wiek...

Taksówka zatrzymała się przed budynkiem, w którym znajdował się gabinet Judda. Teraz już nie było dla niego bezpiecznego miejsca. Nie mógł wrócić do swego mieszkania. Zdecydował, że wynajmie pokój w jakimś hotelu. Powrót do gabinetu również był niebezpieczny, ale uznał, że musi zaryzykować jeszcze ten jeden raz.

Potrzebny mu był pewien numer telefonu.

Zapłacił taksówkarzowi i wszedł do holu. Bolał go każdy miesiąc, ale mimo to przyspieszył kroku. Wiedział, że pozostało mu bardzo mało czasu. Może jednak nie spodziewali się, że wróci tutaj, musiał zaryzykować. Problem sprowadzał się do tego, kto dostanie go pierwszy. Policja czy mordercy.

Otworzył i wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi na klucz. Gabinet wyglądał obco i wrogo. Judd wiedział, że nie będzie już mógł przyjmować tu swoich pacjentów. Poczul gniew na Don Vintona za to, co zrobił z jego życiem. Wyobraził sobie scenę, jaka musiała się rozegrać, kiedy dwaj bracia złożyli raport, że nie udało im się go zabić. Jeśli dobrze oceniał charakter Don Vintona, ten człowiek wpadł po prostu w szal. Kolejny atak mógł nastąpić w każdej chwili.

Judd wrócił tu po numer telefonu Anny, gdyż leżąc w szpitalu przypomniał sobie o dwóch sprawach.

Niektóre jej wizyty następowały tuż po sesjach Johna Hansona.

Poza tym Anna i Carol kilka razy ucięły sobie pogaduszki. Czy

recepjonistka nie przekazała jej nieświadomie jakiejś informacji, która mogła okazać się śmiertelnie niebezpieczna? Gdyby tak było, Annie również groziło niebezpieczeństwo.

Wyjął notes telefoniczny z szuflady i wykręcił numer. Usłyszał trzy sygnały, a potem obojętny damski głos powiedział:

– Tu centrala. Z jakim numerem chciał się pan połączyć?

Judd podał numer i nazwisko Anny. Kilka chwil później telefonistka zgłosiła się znowu.

– Przykro mi. Podał pan zły numer. Proszę sprawdzić w spisie telefonów lub zadzwonić do informacji.

– Dziękuję – powiedział Judd.

Odwiesił słuchawkę. Przez chwilę siedział rozmyślając o tym, że współpracująca z nim centrala telefoniczna kilka dni wcześniej zdołała się skontaktować ze wszystkimi pacjentami z wyjątkiem Anny.

Może numer został zmieniony. Sprawdził w książce telefonicznej, ale jej nazwiska tam nie było. Nagle poczuł, że koniecznie musi porozmawiać z Anną. Przepisał jej adres: 617 Woodside Avenue, Bayonne, New Jersey.

Po piętnastu minutach był już w biurze wynajmu samochodów. Nad kontuarem widział napis: „Jesteśmy na drugim miejscu, więc tym bardziej się staramy”. No cóż, to zupełnie tak jak ja, pomyślał Judd.

Wkrótce potem wyjeżdżał z garażu. Pojeździł wkoło uliczkami upewniając się, że nikt go nie śledzi, i skierował się w stronę mostu Jerzego Waszyngtona, którym jedzie się do New Jersey.

Kiedy dotarł do Bayonne, zatrzymał się na stacji benzynowej i zapytał o Woodside Avenue.

– Na następnym rogu w lewo i trzecia przecznica.

– Dzięki.

Judd odjechał. Na samą myśl, że zobaczy znowu Annę, serce zaczęło mu szybciej bić. Co miał jej powiedzieć, żeby nie zdenerwowała się niepotrzebnie? I czy w domu będzie jej mąż?

Skręcił w Woodside Avenue. Szukał wzrokiem numerów. W tym miejscu posesje oznaczone były liczbami powyżej dziewięciuset. Domki po obu stronach ulicy były małe, stare i zniszczone. W miarę jak jechał dalej, stawały się coraz starsze i mniejsze.

Anna mieszkała w pięknej zalesionej posiadłości. A tutaj prawie nie było drzew. Kiedy Judd dotarł pod adres, który mu podała, był już prawie przygotowany na to, co zobaczył.

Numerem 617 oznaczony był opustoszały i zarośnięty zielskiem parking.

Rozdział 19

Siedział w samochodzie przed opustoszałym parkingiem i próbował wszystko sobie poukładać. Pomyłką mógł być albo zły numer telefonu, albo zły adres. Ale nie jedno i drugie. Anna celowo go okłamała. A jeśli nie mówiła prawdy na temat miejsca zamieszkania, co jeszcze było oszustwem? Zmusił się do obiektywnej oceny wszystkiego, co o niej wiedział. Okazało się, że nie wie prawie nic. Przyszła do jego biura nie zapowiedziana i uparła się, żeby przyjął ją jako pacjentkę. Przez cztery tygodnie, podczas których go odwiedzała, udało jej się starannie ukryć problem, będący powodem wizyt u psychoanalityka, a potem nagle oświadczyła, że nie ma już żadnych kłopotów i wyjeżdża. Po każdej wizycie płaciła mu gotówką, tak że nie było żadnej możliwości natrafienia na jej ślad. Ale jaki miałyby powód, by udawać pacjentkę, a potem zniknąć? Na to istniała tylko jedna odpowiedź, która uderzyła Judda jak fizyczny cios.

Jeśliby ktoś chciał go zamordować i w tym celu poznać, jak funkcjonuje jego gabinet, jak wygląda, najlepszym sposobem było dostać się tam w roli pacjenta. I ona to właśnie zrobiła. Przysłał ją Don Vinton. Dowiedziała się, czego chciała, i znikła bez śladu.

Wszystko było grą, a on jakże chętnie dał się nabrać. Musiała się zaśmiewać, kiedy wracała z raportem do Don Vintona, opowiadając mu o skończonym głupcu, który pretendował do miana znawcy natury ludzkiej. Oszalał na punkcie dziewczyny, której zadaniem było wystawić go zabójcom. Nie najlepiej to świadczy o nim jako o lekarzu ludzkiej duszy.

Można by napisać przezabawny artykuł do Związku Amerykańskich Psychiatrów.

A jeśli tak wcale nie było? Przypuśćmy, że Anna przyszła do niego z uzasadnionej przyczyny, a użyła fikcyjnego nazwiska, ponieważ bała się postawić kogoś w niezręcznej sytuacji? Z czasem problem rozwiązał się sam, więc ona doszła do wniosku, że nie potrzebuje już pomocy psychoanalityka. Ale Judd wiedział, że taka hipoteza jest zbyt prosta. Istniała jakaś niewiadoma w sprawie Anny, którą należało odkryć. Miał nieodparte przeczucie, że tu może kryć się odpowiedź na wszystko, co się wydarzyło. A jeśli została zmuszona do działania wbrew swej woli? Ale nawet w chwili, gdy zaświtała mu ta myśl, wiedział, że sam siebie oszukuje. Usiłował obsadzić ją w roli nieszczęsnej damy, a sobie powierzył misję rycerza w lśniącej zbroi. Czy wystawiała go mordercy? Musiał się tego koniecznie dowiedzieć.

Jakaś starsza kobieta w podartym fartuchu wyszła z domu po drugiej stronie ulicy i zaczęła się w niego wpatrywać. Zawrócił i skierował się w stronę mostu Waszyngtona.

Jechało za nim kilka samochodów. Czy któryś go śledził? Ale dlaczego ktoś miałby to robić?! Jego wrogowie wiedzieli przecież, gdzie go znaleźć. Nie mógł siedzieć i biernie czekać, aż go zaatakują. On sam musiał przejąć inicjatywę, tak rozwścieczyć Don Vintona, by popełnił błąd, a wtedy go zaszachować. I musiał to wszystko zrobić, zanim McGreavy dopadnie go i zamknie.

Judd jechał w stronę Manhattanu. Jedynym kluczem była Anna, a ona znikła bez śladu. A pojutrze w ogóle nie będzie jej w kraju.

Nagle Judd uświadomił sobie, że istnieje jedna szansa odnalezienia jej.

Była Wigilia. W biurze linii lotniczych PanAm kłębił się tłum złożony z podróżnych i tych, którzy chcieliby zdobyć miejsca w samolotach lecących do najróżniejszych miast świata.

Judd przepchnął się między kolejkami i dotarł do kontuaru. Zapytał, czy może się widzieć z kierownikiem. Dziewczyna w służbowym uniformie obdarzyła go zawodowym uśmiechem i poprosiła, żeby poczekał. Kierownik właśnie rozmawia przez telefon.

Judd stał, przysłuchując się kilku osobom równocześnie.

- Chcę wyjechać z Indii piątego.
- Czy w Paryżu będzie zimno?
- Samochód ma czekać na mnie w Lizbonie.

Poczuł szaloną pokusę, by wsiąść w byle jaki samolot i odlecieć. Nagle zrozumiał, jak bardzo jest wyczerpany, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. Wszystko wskazywało, że Don Vinton ma do dyspozycji całą armię ludzi, a on był sam. Jakie więc miał szanse?

- Czym mogę panu służyć?

Judd odwrócił się i zobaczył wysokiego mężczyznę, bardziej przypominającego trupa niż żywego człowieka.

– Nazywam się Przyjacielski – powiedział. Czekał, by Judd docenił żart. Psychoanalityk uśmiechnął się posłusznie. – Karol Przyjacielski. Czym mogę panu służyć?

– Jestem doktor Stevens. Staram się odszukać moją pacjentkę. Zarezerwowała miejsce na lot do Europy na jutro.

- Jak się nazywa?
- Blake. Anna Blake. – Zawahał się. – Rezerwacja jest

prawdopodobnie na pana Anthony'ego Blake z małżonką.

– Do jakiego miasta lecą?

– Ja... nie jestem pewien.

– Czy zabukowali miejsca na lot ranny czy popołudniowy?

– Nie wiem nawet, czy chodzi o wasze linie – powiedział Judd.

Życzliwość opadła jak maska z twarzy pana Przyjacielskiego.

– W takim razie obawiam się, że nie mogę panu pomóc.

Judd poczuł, jak ogarnia go panika.

– To bardzo pilna sprawa. Muszę ją odnaleźć, zanim odleci.

– Doktorze, PanAmerican ma każdego dnia jeden lub więcej lotów do Amsterdamu, Barcelony, Berlina, Brukseli, Kopenhagi, Dublina, Dusseldorfu, Frankfurtu, Hamburga, Lizbony, Londynu, Monachium, Paryża, Rzymu, Shannon, Stuttgartu i Wiednia. Podobnie inne linie o zasięgu międzynarodowym. Będzie pan musiał skontaktować się z każdą z nich z osobna. Bardzo wątpię, czy potrafią panu pomóc, chyba że poda im pan port docelowy i godzinę odlotu. – Twarz pana Przyjacielskiego wyrażała jawne zniecierpliwienie. – Wybacz pan... – odwrócił się, chcąc odejść.

– Proszę zaczekać! – krzyknął Judd. Jak miał wyjaśnić, że to jego ostatnia szansa pozostania przy życiu? Ostatnia nadzieja odkrycia, kto chce go zabić?

Pan Przyjacielski patrzył na niego nie kryjąc rozdrażnienia.

– Tak?

Judd zmusił się do uśmiechu, sam siebie za to nienawidząc.

– Czy nie macie czegoś w rodzaju centralnego systemu komputerowego – zapytał – gdzie byliby wymienieni pasażerowie według nazwisk?

– Tak, jeżeli jest znany numer lotu – odrzekł pan Przyjacielski. Odwrócił się i wyszedł.

Judd stał bezradny, wydawało mu się, że zaraz zemdleje. Szach i mat. Został pobity. Nie było miejsca na następny ruch.

Do agencji weszła grupa włoskich księży ubranych w długie furkoczące sutanny i czarne kapelusze, które nadawały im wygląd średniowiecznych mnichów. Uginali się pod ciężarem tanich tekturowych walizek, pudeł i koszy na owoce. Rozmawiali głośno po włosku, najwyraźniej naśmiewając się z najmłodszego z nich, prawie chłopca, który wyglądał 13 – Naga twarz najwyżej na osiemnaście lub dziewiętnaście lat. Prawdopodobnie wracają do Rzymu z wakacji, pomyślał Judd, przysłuchując się ich paplaninie. Rzym... dokąd polecą Anna?... znowu myślał o niej.

Księża przesuwali się w stronę stanowisk.

– *E molto bene di ritornare a casa.*

– *Si, d'accordo.*

– *Signore, per piacere, guardatemi.*

– *Tutta va bene?*

– *Si, ma...*

– *Dio mio, dove sono i miei biglietti?*

– *Cretino, hai perduto i biglietti.*

– *Ah, eccoli.*

Cała grupa podała bilety najmłodszemu z księży, który trwożliwie przesunął się w stronę urzędniczki za kontuarem. Judd spojrzął w kierunku wyjścia. Potężny mężczyzna w szarym płaszczu tarasował drzwi.

Młody ksiądz rozmawiał z dziewczyną:

– *Dieci, dieci.*

Urzędniczka patrzyła na niego nic nie rozumiejąc. Ksiądz wysilił pamięć i bardzo powoli powiedział po angielsku:

– Dzieszć. *Biletta. Billeet.* – Przesunął bilety w jej stronę. Dziewczyna uśmiechnęła się z ulgą i zaczęła je sprawdzać.

Księża rozkrzyczeli się zachwyceni lingwistycznymi zdolnościami kolegi, z uznaniem poklepując go po plecach.

Nie było powodu tu dłużej tkwić. Wcześniej czy później będzie musiał stawić czoło temu, co czeka go na zewnątrz. Judd powoli odwrócił się i zaczął przeciskać między księżulkami.

– *Guardate che hafatto ii Don Yinton.*

Judd stanął jak wryty, krew uderzyła mu do głowy. Odwrócił się do pulchnego, małego księdza, który wypowiedział te słowa.

– Przepraszam – złapał go za rękę. Głos mu się trząsał. – Czy powiedział ksiądz „Don Yinton”?

Włoch spojrzał na niego pustym wzrokiem, potem poklepał po ramieniu i chciał odejść. Judd zacisnął uścisk.

– Poczekaj! – krzyknął.

Ksiądz spoglądał na niego niepewnie. Judd starał się mówić spokojnie.

– Don Vinton. Który to? Pokaż mi go.

Wszyscy księża wpatrywali się teraz w Judda. Mały księżulo spojrzał na swych towarzyszy.

– *Eun americano matto.*

Rozległy się podniecone włoskie głosy. Kątem oka Judd zobaczył, że pan Przyjacielski patrzy na niego zza kontuaru, a potem otwiera klapę i idzie w jego stronę. Judd starał się opanować rosnącą w nim panikę. Puścił rękę księdza, pochylił się nad nim i powiedział wolno i wyraźnie.

– Don Vinton.

Mały ksiądz patrzył przez chwilę w twarz Judda, a potem nagle jego oblicze rozświetliło się radością.

– Don Vinton!

Kierownik zbliżał się szybko, wyraźnie wrogo nastawiony. Judd skinął zachęcająco głową do księdza, a ten wskazał na chłopca.

– Don Vinton – „duży człowiek”.

I nagle ostatni kawałek układanki wskoczył na miejsce.

Rozdział 20

Powoli, powoli – powiedział Angeli ochryple. – Nie rozumiem ani jednego słowa z tego, co pan mówi.

– Przepraszam – sumitował się Judd. Wziął głęboki oddech. – Znam odpowiedź! – Poczul taką ulgę, kiedy usłyszał w słuchawce głos Angelego, że prawie bełkotał. – Wiem, kto próbuje mnie zabić. Wiem, kim jest Don Vinton.

W głosie detektywa pojawiła się sceptyczna nuta:

– Nie mogliśmy znaleźć żadnego Don Vintona.

– A wie pan dlaczego? Bo to nie nazwisko, tylko określenie osoby.

Głos Judda trzął się z podniecenia.

– Don Vinton nie jest nazwiskiem. To włoskie wyrażenie. Oznacza „dużego człowieka”. To właśnie usiłował mi powiedzieć Moody. Że stałem się celem Dużego Człowieka.

– Pogubiłem się, doktorze.

– Po angielsku to właściwie nic nie znaczy – powiedział Judd – ale jeśli powie pan to po włosku, czy z niczym się to panu nie kojarzy? Organizacja zabójców kierowana przez Dużego Człowieka?

Zapadła długa cisza.

– La Cosa Nostra?

– Któż inny dysponowałby tyloma zabójcami i takim potencjałem broni. Kwas, bomby i pistolety! Pamięta pan? Powiedziałem, że szukamy człowieka z południa Europy. On jest Włochem.

– Ależ to nie ma sensu. Dlaczego mafia chciałaby pana zabić?

– Nie mam najmniejszego pojęcia. Ale nie mylę się. Wiem, że mam rację. I to pasuje też do wszystkiego, co powiedział Moody. Że czyha na mnie cała grupa ludzi.

– Najbardziej zwariowana teoria, jaką w życiu słyszałem – rzekł Angeli. Po dłuższej chwili dodał: – Ale przypuszczam, że to możliwe.

Judd poczuł ogromną ulgę. Gdyby Angeli nie zechciał go wysłuchać, nie miałby się do kogo zwrócić.

– Rozmawiał pan z kimś na ten temat?

– Nie – powiedział Judd.

– I niech tak zostanie. – Głos Angelego brzmiał wręcz rozkazująco. – Jeśli ma pan rację, to pańskie życie zależy od zachowania milczenia. I proszę nie zbliżać się ani do gabinetu, ani do mieszkania.

– Dobrze – obiecał Judd. I nagle przypomniał sobie. – Czy wiedział pan, że McGreavy ma nakaz aresztowania mnie?

– Tak – odparł z wahaniem Angeli. – Jeśli on pana dopadnie, nie dotrze pan żywy na komisariat.

Mój Boże! A więc miał rację co do McGreavy'ego. Ale nie potrafił uwierzyć, że porucznik jest stojącym za tym wszystkim mózgiem. Musiał to być ktoś potężniejszy... Don Vinton. Duży Człowiek.

– Czy pan mnie słyszy?

Judd poczuł, że całkiem wyschło mu w gardle.

– Tak.

Przed budką stał mężczyzna w szarym płaszczu. Czy był to ten sam człowiek, którego wcześniej widział w drzwiach biura podróży?

– Angeli...

– Tak. – – Nie wiem, kim są pozostali. Nie wiem, jak wyglądają. W

jaki sposób mogę zachować życie do czasu, kiedy mordercy zostaną schwytani?

Stojący przed budką mężczyzna wpatrywał się w niego uważnie.

– Natychmiast idę do FBI – odparł Angeli. – Mam przyjaciela z odpowiednimi kontaktami. On załatwi panu ochronę, dopóki się to wszystko nie skończy. Czy tak będzie dobrze?

– Tak – odetchnął z wdzięcznością Judd. Nogi miał jak z waty.

– Gdzie pan teraz jest?

– W budce telefonicznej na parterze budynku PanAmerican.

– Proszę się stamtąd nie ruszać. Niech pan pozostanie między ludźmi. Jadę do pana. – I Angeli rozłączył się.

Odłożył słuchawkę telefonu stojącego na biurku. Czuł, że robi mu się niedobrze. Przez lata pracy przywykł do tego, że ma do czynienia z mordercami, gwałcicielami, zbrojcami wszelkiego autoramentu, i jakoś, po pewnym czasie, udało mu się zbudować warstwę ochronną pozwalającą na zachowanie wiary w godność człowieka.

Ale nieuczciwy gliniarz to coś całkiem innego.

Skorumpowany gliniarz stanowi moralne zagrożenie w siłach porządkowych, jego zakłamanie jest pogwałceniem wszystkiego, o co walczą porządni policjanci. I za co giną.

Pokój detektywa wypełniał odgłos szurania nogami i szmer rozmów, ale on niczego nie słyszał. Dwóch umundurowanych policjantów prowadziło potężnego pijanego mężczyznę w kajdankach. Jeden funkcjonariusz miał podbite oko, drugi trzymał chusteczkę przy rozkwaszonym nosie. Za oderwany rękaw munduru policjant będzie

musiał zapłacić z własnej kieszeni. Ci ludzie ryzykowali życie każdego dnia i każdej nocy. Ale o tym nie pisało się w gazetach. Dopiero gdy policjant schodził z drogi cnoty, o tym właśnie krzyczały nagłówki. Jeden zdemoralizowany przedstawiciel władzy kładł się cieniem na wszystkich pozostałych.

Jego własny partner.

Znużony podniósł się i ruszył korytarzem w stronę pokoju kapitana. Zapukał i wszedł do środka.

Za zawalonym papierami i poznaczonym śladami gaszenia cygar biurkiem siedział kapitan Bertelli. W pokoju było również dwóch ludzi z FBI, po cywilnemu. Kapitan Bertelli spojrział w stronę drzwi.

– No i?

Policjant skinął głową.

– Potwierdza się. Strażnik powiedział, że w środę około południa przyszedł nasz człowiek i ze zbioru dowodów wypożyczył klucz Carol Roberts, a zwrócił go tego samego dnia wieczorem. Dlatego test parafinowy wypadł negatywnie, napastnik dostał się do gabinetu doktora Stevensa, używając oryginalnego klucza. Strażnik nie kwestionował prawa do wypożyczenia dowodu, ponieważ miał do czynienia z osobą przydzieloną do sprawy.

funkcjonariuszy.

– Nie. Śledziliśmy go, ale zgubił ogon. Teraz może być wszędzie.

– Ściga Stevensa – skomentował drugi agent federalny. Kapitan Bertelli zwrócił się do mężczyzny z FBI: teraz? – zapytał młodszy z nich.

– Jakie szanse ma doktor? Jeden z nich potrząsnął głową.

– Jeśli oni dopadną go przed nami: żadnych. Kapitan Bertelli skinął potakująco.

– W takim razie to my musimy odnaleźć go pierwsi. – W jego głosie zabrzmiała wściekłość. – I chcę też dostać Angelego. – Zwrócił się do porucznika. – Po prostu sprowadź mi go tutaj, McGreavy.

Policyjne radio przekazywało monotonię wiadomość:

– Tu dziesiątka... Tu dziesiątka... Do wszystkich wozów patrolowych... poszukiwana piątka...

Angeli zgasił radio.

– Czy ktoś wie, że pana zgarnąłem? – zapytał.

– Nikt – zapewnił go Judd.

– Czy rozmawiał pan z kimkolwiek na temat La Cosa Nostra?

– Tylko z panem.

Angeli skinął głową zadowolony.

Przejeżdżali mostem Waszyngtona, w stronę New Jersey. Ale nic nie przypominało wcześniejszej jazdy. Wtedy Judd był pełen niespokojnego oczekiwania. Teraz, mając Angelego u boku, już nie czuł się jak ścigany. Ze zwierzyny zamienił się w myśliwego. I ta myśl dawała mu ogromną satysfakcję.

Zgodnie z sugestią policjanta Judd zostawił wynajęty samochód na Manhattanie i jechał teraz w nieoznaczonym policyjnym wozie. Detektyw kierował się na północ autostradą międzystanową, z której zjechał w Orangeburgu. Zbliżali się do Old Tappan.

– Bardzo pan sprytnie rozwiązał sprawę, doktorze – odezwał się Angeli.

Judd potrząsnął głową.

– Powinienem był domyślić się wszystkiego w chwili, gdy zrozumiałem, że w zbrodni zaangażowanych jest kilku ludzi. To musiała być organizacja wykorzystująca profesjonalnych zabójców. Przypuszczam, że Moody zaczął to podejrzewać, kiedy zobaczył dynamit w samochodzie. Mieli dostęp do każdego rodzaju broni.

Anna. Była jednym z ogniw tej operacji. Wystawiała go tym, którzy mieli go zabić. A jednak – nie potrafił jej znienawidzić. Niezależnie od tego, co zrobiła, nie czuł nienawiści.

Angeli zjechał z autostrady. Zgrabnie skręcił w podrzędną drogę prowadzącą w stronę lasu.

– Czy pański przyjaciel wie, że przyjeżdżamy? – zapytał Judd.

– Dzwoniłem do niego. Czeka na pana.

Nagle ukazała się boczna droga, Angeli skręcił w nią gwałtownie. Jechał jeszcze jakieś pół kilometra, a potem zahamował przed otwieraną elektronicznie bramą. Judd zauważył małą kamerę telewizyjną umieszczoną na górnej krawędzi. Usłyszał metaliczny dźwięk i brama rozsunała się, a gdy wjechali, natychmiast się za nimi zamknęła. Przed nimi rozciągał się długi, biegnący łukiem podjazd. Poprzez gałęzie drzew Judd zobaczył dach ogromnego domu. Wysoko na szczycie, lśniąc w słońcu, stał kogut z brązu.

Brakowało mu ogona.

Rozdział 21

W dźwiękoszczelnym, oświetlonym jarzeniówkami centrum łączności Kwatery Głównej Policji kilkunastu oficerów obsiadło ogromną tablicę rozdzielczą. Przy każdym z sześciu boków siedział jeden operator. Pośrodku znajdował się otwór poczty pneumatycznej. Kiedy przychodziły zgłoszenia, operatorzy zapisywali je i wkładali w otwór, przesyłając do dyżurnych, którzy przydzielali je natychmiast poszczególnym komisariatom lub wozom patrolowym. Wiadomości nadchodziły bez przerwy. Dniem i nocą pojedyncze tragedie mieszkańców wielkich metropolii zlewały się tu w jedną dramatyczną rzekę. Mężczyźni i kobiety, którzy byli przerażeni... samotni... zrozpaczeni... pijani... zranieni... na krawędzi morderstwa... To była scena jak z Hogartha, malowana nie farbami, ale przy użyciu ostrych, oszalałych słów.

Tego poniedziałkowego popołudnia czuło się w powietrzu dodatkowe napięcie. Każdy operator koncentrował się na swojej pracy, a jednak wszyscy byli świadomi obecności policjantów i agentów FBI, którzy wchodzili i wychodzili z centrum, wydawali i otrzymywali polecenia. Pracowali sprawnie i cicho rozpościerając ogromną elektroniczną sieć nad doktorem Juddem Stevensem i detektywem Frankiem Angelim. Wszystko działo się w przyspieszeniu, jakby zebrani tu ludzie byli marionetkami, a za sznurki pociągał nerwowy lalkarz.

Kapitan Bertelli rozmawiał właśnie z Allenem Sullivanem, członkiem miejskiej komisji do spraw przestępstw, kiedy wszedł McGreavy. Policjant spotkał się już wcześniej z Sullivanem i uważał go za człowieka twardego

i uczciwego. Bertelli przerwał rozmowę i spojrzał na podwładnego pytającym wzrokiem.

– Sprawy posuwają się naprzód – powiedział McGreavy. – Mamy naocznego świadka, nocnego stróża z budynku po przeciwnej stronie ulicy, gdzie mieści się gabinet doktora Stevensa. W środę w nocy, kiedy ktoś włamał się do niego, strażnik właśnie miał schodzić ze służby. Widział, jak do interesującego nas budynku wchodzi dwóch mężczyzn. Drzwi od ulicy otworzyli sobie kluczem. Pomyślał, że widocznie tam pracują.

– Rozpoznał kogoś?

– Tak, Angelego, ze zdjęcia.

– W środę wieczorem Angeli podobno leżał w domu chory na gripę.

– Zgadza się.

– Co z tym drugim mężczyzną?

– Strażnik nie zdołał mu się dobrze przyjrzeć.

Operator włożył wtyczkę w jeden z niezliczonych otworów przy płonąącym czerwienią światełku. Po chwili zwrócił się do Bertellego:

– To do pana, kapitanie. Patrol z New Jersey. Bertelli sięgnął po słuchawkę.

– Tak, tu kapitan Bertelli. – Słuchał przez chwilę. – Jest pan pewny?... Dobrze! Zbierzcie wszystkie patrole, które tam macie. Obstawcie drogi dojazdowe. Cały ten obszar ma być okryty jak kocem. Będziemy utrzymywać ciągły kontakt... Dzięki. – Oddał słuchawkę i zwrócił się do obu mężczyzn. – Wygląda na to, że coś mamy. Pewien młodziak z patrolu zauważył samochód Angelego na bocznej drodze koło Orangeburga. Przeczesać teraz ten teren.

– A doktor Stevens?

– Był w samochodzie z Angelim. Żywy. Nie martw się. Znajdziemy ich.

McGreavy wyciągnął dwa cygara. Poczęstował Sullivana, który odmówił, ale Bertelli przyjął je z chęcią. McGreavy wsadził cygaro między zęby.

– Jedna rzecz działa na naszą korzyść. Jakiś dobry duch czuwa nad doktorem Stevensem. – Zapalił zapałkę i przypalił oba cygara. – Właśnie rozmawiałem z jego przyjacielem, doktorem Peterem Hadleyem, który powiedział mi, że wpadł do Stevensa kilka dni temu i zastał z nim Angelego z pistoletem w ręce. Angeli opowiedział jakąś wyssaną z palca historyjkę o tym, że spodziewają się złodziei. Przypuszczam, że zjawienie się doktora Hadleya uratowało Stevensowi życie.

– Ale dlaczego w ogóle zaczął pan podejrzewać Angelego? – zapytał Sullivan.

– Kilka razy doszły mnie wieści, że miał zatargi z właścicielami sklepów – powiedział McGreavy. – Kiedy poszedłem to sprawdzić, ofiary milczały jak zakłute. Byli wyraźnie przestraszeni, jednak nie mogłem ustalić dlaczego. Nie powiedzieli złego słowa na Angelego. Ale wtedy zacząłem na niego bardziej uważać. Kiedy zamordowano Hansona, Angeli przyszedł i poprosił o przydział do sprawy. Wciskał mi kit, że od dawna mnie podziwiał, zawsze marzył, by zostać moim partnerem, i dalej w tym stylu. Wiedziałem, że coś jest grane, więc uzyskawszy pozwolenie kapitana Bertellego zgodziłem się. Nic dziwnego, że chciał pracować przy tej sprawie – chronił własną głowę! Wtedy jeszcze nie byłem pewny, czy doktor Stevens nie jest zamieszany w morderstwo Hansona i Carol

Roberts, ale postanowiłem go wykorzystać, żeby sprowokować Angelego. Zacząłem formułować zarzuty przeciwko Stevensowi, a Angelemu powiedziałem, że podejrzewam doktora. Sądziłem, że gdy Angeli uwierzy w tę wersję, odpręży się i straci czujność.

– I co, zadziało?

– Nie. Angeli zaskoczył mnie, ponieważ podjął walkę, by Stevens nie trafił do więzienia.

Sullivan spojrzał zdziwiony.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ chciał go zabić, a tego nie mógłby zrobić, gdyby doktor wylądował za kratkami.

– Kiedy McGreavy zaczął naciskać – powiedział kapitan Bertelli – Angeli przyszedł do mnie sugerując, że jego partner stara się zrobić doktora.

– Wtedy już byliśmy pewni, że jesteśmy na dobrej drodze – powiedział McGreavy. – Stevens wynajął prywatnego detektywa, Normana Moody’ego. Sprawdziłem go i okazało się, że miał już wcześniej do czynienia z Angelim. Poprzedni klient Moody’ego został złapany przez Angelego podczas obławy na handlarzy narkotyków. Moody twierdził, że facet został wrobiony. Gdybym wtedy wiedział to, co dzisiaj, byłbym skłonny się z nim zgodzić.

– Więc Moody trafił od razu w dziesiątkę.

– To żaden traf. Z Moody’ego był bystry facet. I wiedział, że Angeli najprawdopodobniej jest w to wplątany. Kiedy znalazł w samochodzie doktora Stevensa dynamit, zwrócił się do FBI i poprosił o sprawdzenie sprawy.

– Bał się, że jeśli Angeli położy na tym łapę, znowu się wywinie?

– Tak mi się wydaje. Ale ktoś się pomylił i kopia raportu trafiła na biurko Angelego. Wtedy już wiedział, że Moody jest na jego tropie. Przełomowy moment nastąpił w chwili, gdy Moody wyskoczył z nazwiskiem „Don Vinton”.

– Duży Człowiek z Cosa Nostra.

– Taaa. Z jakiegoś powodu ktoś z mafii chce się pozbyć doktora Stevensa.

– W jaki sposób Angeli powiązany jest z tą organizacją?

– Wróciłem do kupców, których wtedy przycisnął. Kiedy wspomniałem o Cosa Nostra, wpadli w panikę. Angeli pracował dla jednej z rodzin, ale stał się chciwy i próbował zarobić trochę na boku.

– Dlaczego mafia wydała wyrok na doktora Stevensa? – zapytał Sullivan.

– Nie wiem. Pracujemy nad tym. – Westchnął znużony. – Dwa razy powinęła się nam noga. Angeli zgubił naszego człowieka, a doktor Stevens uciekł ze szpitala, zanim zdążyłem go ostrzec i dać ochronę.

Zapaliło się kolejne światelko na tablicy. Operator włożył wtyczkę i przez chwilę słuchał.

– Kapitan Bertelli.

Bertelli złapał słuchawkę. Przez chwilę tylko nasłuchiwał, nic nie mówiąc, a potem powoli odłożył słuchawkę i odwrócił się do McGreavy’ego.

– Zgubili ich.

Rozdział 22

Anthony DeMarco miał manę.

Judd czuł siłę jego osobowości, mimo dzielącej ich przestrzeni. Napływała falami niemal fizycznych ciosów. Kiedy Anna mówiła, że jej mąż jest przystojny, nie przesadzała.

Jego twarz była wręcz klasyczna: doskonale wyrzeźbiony rzymski profil, oczy czarne niby węgle i dodające mu uroku pasma siwizny we włosach. Czterdziestoparoletni, wysoki i atletyczny, poruszał się ze zwierzęcą pełną wdzięku zwinnością. Głos miał głęboki, magnetyzujący.

– Ma pan ochotę na drinka, doktorze?

Judd potrząsnął głową, zafascynowany tym mężczyzną. Każdy dałby głowę, że DeMarco jest całkowicie normalnym, uroczym człowiekiem, gospodarzem, który serdecznie wita honorowego gościa.

W pełnej księżek bibliotece było ich pięciu: Judd, DeMarco, detektyw Angeli oraz dwóch mężczyzn, którzy próbowali zabić Judda w jego mieszkaniu, Rocky i Nick Vaccaro. Psychoanalityk stał pośrodku, tamci otaczali go kołem. Patrzył na twarze wrogów i odczuwał ponurą satysfakcję. Wreszcie wiedział, z kim walczy, jeśli walka to odpowiednie słowo. Wszedł prosto w pułapkę zastawioną przez Angelego. Gorzej, sam zadzwonił do policjanta i poprosił, żeby ten po niego przyjechał i go zabrał! Angeli, Judasz, który przywiódł go tu jak zwierzę na rzeź.

DeMarco przyglądał mu się z głębokim zainteresowaniem.

– Sporo o panu słyszałem – odezwał się. Judd milczał.

– Proszę wybaczyć, że ściągnąłem tu pana w taki właśnie sposób, ale

koniecznie muszę zadać panu kilka pytań. – Uśmiechnął się przeprasząco jak najserdeczniejszy przyjaciel.

Judd wiedział, co się zaraz stanie, był już na to przygotowany.

– O czym pan rozmawiał z moją żoną, doktorze Stevens? Judd zapytał z wyraźnym zdziwieniem:

– Z pańską żoną? Nie znam jej. DeMarco z wyrzutem potrząsnął głową.

– Chodziła do pańskiego gabinetu dwa razy w tygodniu przez ostatni miesiąc.

Judd zmarszczył czoło w zastanowieniu.

– Nie mam pacjentki o nazwisku DeMarco... Gospodarz kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Może używała innego. Na przykład panińskiego. Blake, Anna Blake. Judd udał zaskoczenie.

– Anna Blake? – powtórzył.

Dwóch braci Vaccaro przysunęło się bliżej.

– Nie – powstrzymał ich ostro DeMarco. Spojrzał na Judda. Grzeczne maniere gdzieś znikły. – Doktorze, jeśli będzie pan próbował mnie oszukać, zrobię z panem takie rzeczy, których nie może sobie pan nawet wyobrazić.

Judd spojrzał mu w oczy. Zrozumiał, że jego życie wisi na włosku. Postarał się, by w jego głosie zabrzmiało oburzenie:

– Może pan robić, co się panu żywnie podoba. Do tej chwili nie miałem najmniejszego pojęcia, że Anna Blake jest pańską żoną.

– To może być prawda – wtrącił Angeli. – On... DeMarco zignorował policjanta.

– O czym pan i moja żona rozmawialiście przez ostatnie trzy tygodnie?

Nadeszła chwila prawdy. Kiedy Judd ujrzał koguta z brązu na dachu, ostatnie kawałki układanki znalazły się na swych miejscach. Anna nie wystawiła go mordercom. Sama była ofiarą, podobnie jak on. Wyszła za Anthony'ego DeMarco, dobrze prosperującego właściciela biura budowlanego, nie mając pojęcia, kim on naprawdę jest. Potem musiało zdarzyć się coś, co wzbudziło jej podejrzenia, że mąż nie jest tym, za kogo się podaje, że prowadzi jakieś ciemne, straszne sprawy. Ponieważ nie miała z kim porozmawiać, zwróciła się o pomoc do psychoanalityka, człowieka obcego, któremu jednak mogła zaufać. Ale już w gabinecie Judda zwyciężyła lojalność względem męża, nie pozwalająca jej mówić o obawach.

– Nie rozmawialiśmy o niczym specjalnym – powiedział spokojnie Judd. – Pańska żona nie chciała powiedzieć, na czym polega jej problem.

DeMarco przyglądał mu się badawczo, wlepiając w niego swe czarne oczy.

– Lepiej niech pan wymyśli coś lepszego.

DeMarco musiał się nieźle przerazić, kiedy usłyszał, że żona chodzi do psychoanalityka – żona capo La Cosa Nostra. Nic dziwnego, że zabijał, usiłując zdobyć akta Anny.

– Wyznała mi tylko – powiedział Judd – że jest nieszczęśliwa z jakiegoś powodu, ale nie chciała powiedzieć nic więcej.

– Na to wystarczyłoby dziesięć sekund – oświadczył DeMarco. – Wiem o każdej minucie, jaką spędzała w pańskim gabinecie. O czym jeszcze rozmawialiście przez te trzy tygodnie? Musiała panu powiedzieć, kim jestem.

– Wiem, że posiada pan firmę budowlaną.

DeMarco przyglądał mu się chłodno. Judd czuł, jak na czole występują mu kropelki potu.

– Czytałem trochę na temat psychoanalizy, doktorze. Pacjent mówi o wszystkim, co mu przychodzi do głowy.

– Na tym między innymi polega terapia – rzeczowo zgodził się Judd. – Dlatego właśnie niczego nie rozwiązaliśmy z panią Blake... z panią DeMarco. Miałem zamiar zrezygnować z niej jako pacjentki.

– Ale nie zrobił pan tego.

– Nie musiałem. Kiedy przyszła do mnie w ostatni piątek, powiedziała, że wyjeżdża do Europy.

– Anna zmieniła zdanie. Nie chce jechać ze mną na stary kontynent. Czy wie pan dlaczego?

Judd spojrzał na niego naprawdę zdziwiony.

– Nie.

– Ze względu na pana, doktorze.

Serce Judda podskoczyło. Nie zdradził żadnych uczuć.

– Nie rozumiem.

– Ależ na pewno pan rozumie. Anna i ja długo rozmawialiśmy wczoraj wieczorem. Jej zdaniem popełniła błąd wychodząc za mnie. Nie jest już ze mną szczęśliwa, ponieważ wydaje jej się, że tak naprawdę to pan ją obchodzi. – DeMarco szeptał jak hipnotyzer. – Chcę, żeby opowiedział mi pan o wszystkim, co się wydarzyło, kiedy byliście tylko we dwoje w gabinecie, a ona leżała tam na leżance.

Judd nie pozwolił ponieść się mieszanym uczuciom, które nim szarpały. A więc zależało jej na nim! Ale cóż dobrego mogło z tego wyniknąć? DeMarco wpatrywał się w niego czekając na odpowiedź.

– Nic się nie stało. Jeśli czytał pan o psychoanalizie, to wie pan, że wszystkie pacjentki przechodzą emocjonalne przeniesienie.

DeMarco przyglądał się Juddowi z uwagą, nie odrywając od niego swych czarnych oczu.

– Skąd wiedział pan, że żona leczy się u mnie? – zapytał Judd, tak jakby pytanie było najzupełniej na miejscu.

DeMarco przez chwilę jeszcze patrzył na niego, potem obszedł ogromnych rozmiarów biurko, po drodze biorąc do ręki ostry jak brzytwa nóż do rozcinania papieru.

– Jeden z moich ludzi zobaczył, jak wchodziła do budynku, w którym mieści się pański gabinet. Przyjmuje tam także sporo lekarzy od damskich spraw, więc wymyślił sobie, że może Anna szykuje dla mnie małą niespodziankę. Dlatego też za nią poszedł. – I naprawdę była to niezła niespodzianka. Dowiedział się, że chodzi do psychiatry. Żona Anthony’ego DeMarco papie na temat jego prywatnych spraw jakiemuś psycholowi.

– Mówiłem już, że ona...

Głos DeMarca stał się wprost aksamitny:

– *Commissione* zebrali się i głosowali za tym, żebym ją zabił, tak jak każdego innego zdrajcę. – Spacerował nerwowo po pokoju, niczym zamknięte w klatce niebezpieczne zwierzę. – Ale mnie nie mogą wydawać rozkazów jak pierwszemu lepszemu. Ja jestem Anthony DeMarco, capo. Obiecałem, że jeśli zdradziła mnie opowiadając o moich sprawach, zabiję mężczyznę, z którym rozmawiała. Tymi rękami. – Wyciągnął przed siebie pięści, w jednej z nich połyskiwał nóż. – To znaczy pana, doktorze.

Teraz DeMarco obchodził Judda wkoło i za każdym razem, kiedy

znajdował się za jego plecami, lekarz podświadomie cały się napinał.

– Popełni pan błąd, jeśli... – zaczął Judd.

– Nie. Czy wie pan, kto popełnił błąd? Anna. – Zmierzył Judda spójrzeniem od stóp do głów. Wyglądał na szczerze zdziwionego. – Dlaczego uznała pana za lepszego ode mnie?

Bracia Vaccaro parsknęli śmiechem.

– Jest pan nikim. Głupkiem, który przychodzi codziennie do swego gabinetu i wyciąga – ile? – trzydzieści tysięcy na rok? Pięćdziesiąt? Sto? Ja w tydzień zarabiam więcej. – Maską DeMarca zsuwała się teraz bardzo szybko, niszczona emocjami. Mówił krótkimi, gwałtownymi zdaniami, a piękne rysy wykrzywiały grymas. Anna widywała go tylko ukrytego za fasadą. Judd patrzył na nagą twarz paranoika. – Ty i ta mała *putana* dobieraliście się do siebie.

– To nieprawda – powiedział Judd.

DeMarco przyglądał mu się pałającym wzrokiem.

– Czy to znaczy, że ona nic dla ciebie nie znaczy?

– Już panu mówiłem. Jest po prostu pacjentką.

– OK – powiedział wreszcie DeMarco. – Powiesz jej to.

– To znaczy co?

– Że zupełnie ci na niej nie zależy. Chcę, byście porozmawiali na osobności.

Puls Judda przyspieszył. Mógł porozmawiać w cztery oczy z Anną.

DeMarco skinął ręką i mężczyźni wyszli na korytarz. Capo odwrócił się do Judda. Czarne oczy skryły się pod powiekami. Uśmiechnął się łagodnie, przywdziewając znowu maskę.

– Tak długo, jak Anna nic nie wie, będzie żyła. Twoim zadaniem jest

przekonać ją, żeby pojechała ze mną do Europy.

Judd poczuł, że w ustach mu zaschło. W oczach DeMarca pojawił się tryumfalny błysk. Judd wiedział dlaczego. Nie docenił przeciwnika.

A to było fatalnym błędem.

DeMarco nie był mistrzem szachowym, a jednak okazał się na tyle sprytny, by wiedzieć, że trzyma Judda w szachu. Chodziło o Annę. Bez względu na to jaki ruch on, Judd, wykona, Anna za to zapłaci. Jeśli wyśle ją z mężem do Europy, z pewnością jej życie będzie narażone na niebezpieczeństwo. Nie wierzył, że DeMarco jej daruje. Nie pozwoli na to La Cosa Nostra. W Europie DeMarco zaaranżuje wypadek. Jeśli zaś powie Annie, by nie jechała, a ona się dowie, co grozi jemu, i będzie usiłowała się przeciwstawić, wyda na siebie natychmiastowy wyrok. Nie było ucieczki – tylko wybór między dwiema pułapkami.

Z okna swej sypialni na piętrze Anna widziała przyjazd Judda i Angelego. Na jeden cudowny moment uwierzyła, że Stevens zjawił się, aby ją zabrać, wyratować ze straszliwej sytuacji, w jakiej się znalazła. Ale potem zobaczyła, że Angeli wyjął pistolet i zmusił lekarza, by wszedł do domu.

Prawdę o swoim mężu знаła od czterdziestu ośmiu godzin. Przedtem było to tylko mętne podejrzenie, tak nieprawdopodobne, że próbowała je odrzucić. Wszystko zaczęło się kilka miesięcy wcześniej. Wybrała się do teatru na Manhattanie, ale niespodziewanie wróciła wcześniej, ponieważ gwiazda upiła się i spuszczone kurtynę w połowie drugiego aktu. Anthony powiedział jej, że ma spotkanie w interesach w domu, ale że wszystko skończy się przed jej powrotem. Wróciła przed przewidzianą godziną i

zastała jeszcze gości. Zanim jej zaskoczony mąż zdążył zamknąć drzwi do biblioteki, usłyszała gniewny okrzyk:

– Głosuję za tym, żebyśmy uderzyli w fabrykę dzisiejszej nocy i zajęli się tymi skurwielami raz, a dobrze!

Zarówno słowa, jak i nieokrzesany wygląd mężczyzn zebranych w bibliotece, a ponadto niepokój Anthony'ego, gdy ją zobaczył, zdenerwowały Annę. Przyjęła do wiadomości gładkie tłumaczenia, ponieważ desperacko pragnęła, by były prawdziwe. Podczas sześciu miesięcy ich małżeństwa okazał się czułym i uważającym mężem. Od czasu do czasu potrafił unieść się gniewem, ale zawsze szybko odzyskiwał nad sobą panowanie.

W kilka tygodni po tym incydencie, chcąc gdzieś zadzwonić, podniosła słuchawkę i usłyszała głos Anthony'ego:

– Przejmujemy ładunek z Toronto dzisiaj w nocy. Ty znajdź kogoś, kto zajmie się strażnikiem. To nie jest nasz człowiek.

Odłożyła słuchawkę wstrząśnięta. „Przejmujemy ładunek”... „zajmie się strażnikiem”... Brzmiało to złowieszczo, choć równie dobrze mogły być to niewinne zdania w rozmowie o interesach. Ostrożnie starała się wypytać Anthony'ego, na czym polega jego praca. Przypominało to przechodzenie przez stalową ścianę. W jednej chwili stał się obcym człowiekiem. Powiedział, żeby zajęła się domem i nie wtrącała w jego sprawy. Pokłócili się, a następnego wieczoru otrzymała ogromnie kosztowny naszyjnik z gorącymi przeprosinami.

Trzeci incydent wydarzył się miesiąc później. Annę obudził o czwartej nad ranem odgłos zamykanych z trzaskiem drzwi. Zarzuciła na siebie szlafrok i zeszła na dół sprawdzić, co się stało. Usłyszała dochodzące z

gabinetu głosy, rozmowa przemieniała się w zaciętą kłótnię. Zbliżyła się do drzwi, ale zamarła ujrawszy przez szparę Anthony'ego i kilku nieznajomych mężczyzn. Z obawy, że jej pojawienie się w bibliotece wywołałoby gniew męża, cicho wróciła na górę do łóżka. Przy śniadaniu zapytała Anthony'ego, jak mu się spało.

– Wspaniale. Położyłem się o dziesiątej i do rana spałem jak zabity.

Wtedy już Anna wiedziała, że jest w kłopotach, tylko nie zdawała sobie sprawy w jak wielkich. Świadoma była tylko tego, że mąż ją okłamuje z powodów, których ona nie potrafi pojąć. W jaki rodzaj interesów był zaangażowany, że musiał spotykać się z takimi mętami, w dodatku w środku nocy? Bała się porozmawiać z nim na ten temat. Czuła, że wpada w panikę. Nie miała kogo się poradzić.

Kilka dni później na kolacji w ich wiejskim klubie ktoś wspomniał o psychoanalityku Juddzie Stevensie i bardzo go wychwalał.

– Można powiedzieć, że to psychoanalitik psychoanalitików, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Niesamowicie przystojny, ale niestety oddany wyłącznie pracy.

Anna zapisała nazwisko i w następnym tygodniu wybrała się z wizytą.

Pierwsze spotkanie z Juddem przewróciło jej życie do góry nogami. Wciągnął ją w emocjonalny wir, z którego wydobyła się całkiem roztrzęsiona. Była tak zmieszana, że bała się z nim rozmawiać, niby uczennica. Obiecała sobie nigdy do niego nie wrócić. Jednak wróciła, choćby tylko po to, by udowodnić samej sobie, że to, co się wydarzyło, było przypadkowe i nieautentyczne. Ale reakcja przy powtórnym spotkaniu okazała się jeszcze silniejsza. Zawsze szczyciła się tym, że jest rozsądną realistką, a nagle zachowywała się jak siedemnastolatka

zakochana pierwszy raz w życiu. Nie potrafiła z Juddem rozmawiać o własnym mężu, więc mówili o innych sprawach i po każdej sesji Anna była coraz bardziej zakochana w tym wrażliwym i pełnym ciepła obcym mężczyźnie.

Uznała sprawę za beznadziejną, ponieważ do głowy jej nie przyszła myśl o rozwodzie z Anthonyem. Uważała, że to w niej musi być jakaś straszliwa skaza, która spowodowała, że w sześć miesięcy po ślubie zakochała się w innym mężczyźnie. Doszła do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli już nigdy nie zobaczy Judda.

I wtedy właśnie nastąpiła seria dziwnych wydarzeń. Zabito Carol Roberts, a Judd został potrącony przez samochód. Potem przeczytała w gazetach, że był świadkiem znalezienia ciała Moody'ego w „Pięciu Gwiazdkach”. Nazwa paczkowalni nie była jej obca.

Widziała ją w nagłówku rachunku na biurku Anthony'ego.

W jej umyśle zaczęło się rodzić straszliwe podejrzenie.

Wydawało jej się niewiarygodne, żeby Anthony był zamieszany we wszystko, co się zdarzyło, a jednak... Odnosiła wrażenie, że przeżywa koszmar senny, z którego nie ma ucieczki. Nie mogła zwierzyć się ze swych lęków Juddowi, bała się również powiedzieć o nich Anthony'emu. Mówiła sobie, że podejrzenia te są bezpodstawne, przecież jej mąż nie wiedział nawet, że ktoś taki jak Judd w ogóle istnieje.

I oto czterdzieści osiem godzin temu Anthony przyszedł do jej sypialni i zaczął wypytywać o wizyty u psychoanalityka. Najpierw rozgniewała się, że ją śledził, ale potem przyszedł strach. Kiedy patrzyła na jego zmienioną wściekłością twarz, zrozumiała, że jej mąż zdolny jest do wszystkiego.

Nawet do morderstwa.

Podczas tego wieczoru popełniła jeden poważny błąd. Nie potrafiła dobrze ukryć swych uczuć do Judda. Oczy Anthony'ego pociemniały, potrząsał głową, jakby próbując dojść do siebie po fizycznym ciosie.

Dopiero kiedy znalazła się sama, zrozumiała, na co naraziła Stevensa. Nie mogła go teraz tak po prostu zostawić. Oświadczyła Anthony'emu, że nie pojedzie z nim do Europy.

A teraz Judd był tutaj, w jej własnym domu, i z jej powodu jego życiu zagrażało niebezpieczeństwo.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Anthony. Zatrzymał się na moment i przyglądał się jej bez słowa. W końcu powiedział:

– Masz gościa.

Weszła do biblioteki. Ubrana była w żółtą spódnicę i podobną w odcieniu bluzkę. Włosy luźno spływały jej na ramiona. Twarz miała ściągniętą i bladą, ale wyraźnie panowała nad sobą. W pokoju był tylko Judd.

– Witam, doktorze Stevens. Anthony powiedział mi, że pan jest tutaj.

Judd czuł się jak aktor grający komedię dla niewidocznej, milczącej głucho publiczności. Intuicja podpowiadała mu, że Anna ma świadomość tej sytuacji i oddaje swój los w jego ręce, gotowa podążać tam, gdzie on jej wskaże.

A on mógł tylko odrobinę przedłużyć jej życie. Jeśli Anna odmówi wyjazdu do Europy, DeMarco z pewnością ją zabije.

Zawahał się, gdyż musiał bardzo ostrożnie dobierać słowa. Każde mogło być równie niebezpieczne jak ładunek wybuchowy zainstalowany w jego samochodzie.

– Pani DeMarco, sprawiła pani zawód mężowi nie chcąc jechać z nim do Europy.

Anna słuchała uważnie jego słów, jakby je ważąc.

– Przykro mi – powiedziała.

– Mnie też. Myślę, że powinna pani z nim pojechać – powiedział głośno.

Wpatrywała się w twarz Judda, starając się odczytać wyraz jego oczu.

– A jeśli odmówię? Przecież mogę po prostu od niego odejść.

Judda ogarnęła nagła panika. Ona nie opuści tego domu żywa.

– Nie wolno pani tego zrobić. Pani DeMarco – celowo zwracał się do niej po nazwisku – pani mąż odniósł fałszywe wrażenie, że pani się we mnie zakochała.

Już otwierała usta, ale on nie dopuścił jej do słowa.

– Wyjaśniłem mu, że tak zazwyczaj bywa przy psychoanalizie: następuje emocjonalne przeniesienie, które przechodzą wszystkie pacjentki.

Złapała się tego tropu.

– Wiem. Już sam pomysł z wizytami u pana był głupotą z mojej strony. Sama powinnam była rozwiązać moje problemy. – Po jej oczach poznał, że naprawdę tak uważała, żałowała, iż naraziła go na niebezpieczeństwo. – Zastanawiałam się nad tym. Być może wakacje w Europie dobrze mi zrobią.

Odetchnął z ulgą. Zrozumiała.

Ale jak miał ostrzec ją przed prawdziwym niebezpieczeństwem? A może już wiedziała? A jeśli nawet, cóż mogła na to poradzić? Spojrzał przez okno, przy którym stała Anna, i zobaczył wysokie drzewa.

Opowiadała mu, że chodzi do lasu na spacer. Może знаła jakąś drogę ucieczki. Gdyby tylko mogli się znaleźć w lesie... Zniżył głos:

– Anno... – szepnął z naciskiem.

– Skończyliście pogawędkę?

Judd odwrócił się. Do pokoju bezszelestnie wszedł DeMarco. Za nim stał Angeli i bracia Vaccaro. Anna zwróciła się do męża:

– Tak – powiedziała. – Doktor Stevens uważa, że powinnam pojechać z tobą do Europy. Chyba posłucham jego rady.

DeMarco uśmiechnął się i spojrzał na Judda.

– Wiedziałem, że mogę liczyć na pana, doktorze.

Teraz emanował wdziękiem, zdając sobie w pełni sprawę z osiągniętego zwycięstwa. To było tak, jakby nadzwyczajna energia DeMarca włączała się na życzenie emitując zależnie od sytuacji mroczną nienawiść lub nieodparty czar. Nic dziwnego, że Anna mu uległa. Nawet Juddowi trudno było uwierzyć, że ten przyjacielski Adonis to psychopatyczny morderca.

DeMarco zwrócił się do żony:

– Wyjedziemy jutro wcześniej rano, kochanie. Może byś poszła na górę i zaczęła się pakować.

Anna zawahała się. Nie chciała pozostawiać Judda.

– Ja... – spojrzała na psychoanalityka bezradnie. Kiwnął niedostrzegalnie głową.

– Dobrze – wyciągnęła do niego dłoń. – Do widzenia, doktorze Stevens.

Judd ujął jej rękę.

– Do widzenia.

Tym razem było to prawdziwe pożegnanie. Patrzył, jak odwróciła się, skinęła głową pozostałym mężczyznom i wyszła z pokoju.

DeMarco odprowadził ją wzrokiem.

– Czyż nie jest piękna? – Na jego twarzy malowały się dziwne emocje. Miłość, zazdrość... i coś jeszcze. Żal? Czy myślał już o tym, co musiał zrobić Annie?

– Ona o niczym nie wie – powiedział Judd. – I nie musi się niczego dowiedzieć, jeśli od pana odejdzie. Niech pan jej na to pozwoli.

W DeMarcu zaszła raptowna, wręcz fizyczna zmiana. Cały wdzięk znikł i pokój zaczęła wypełniać nienawiść, lecz prąd tego uczucia przepłynął wyłącznie od DeMarca do Judda, nie dotykając nikogo poza nimi. Na twarzy psychopaty malowała się ekstaza, jakby przeżywał spełnienie seksualne.

– Chodźmy, doktorze.

Judd rozejrzał się po pokoju, oceniając szansę ucieczki. Z pewnością DeMarco wolałby nie mordować go we własnym domu. Teraz albo nigdy. Bracia Vaccaro wpatrywali się w niego jak wygłodniałe zwierzęta z nadzieją, że wykona jakiś ruch. Angeli stał przy oknie z ręką na kaburze pistoletu.

– Na pana miejscu nie próbowałbym – powiedział łagodnie DeMarco. – Już i tak pan nie żyje, ale zrobimy to po mojemu.

Popchnął Judda w stronę drzwi. Pozostali ruszyli tuż za nimi. Znaleźli się w korytarzu.

Anna weszła na górny podest i stanęła wpatrując się w hol parteru. Kiedy Judd i pozostali mężczyźni przechodzili do frontowych drzwi, cofnęła się, żeby jej nie dostrzegli. Pobiegła do okna sypialni. Mężczyźni

wepchnęli Judda do samochodu Angelego.

Anna błyskawicznie sięgnęła po telefon i wykręciła numer centrali. Wydawało jej się, że minęła wieczność, nim odezwała się telefonistka.

– Proszę z policją! Szybko, to nagły wypadek!

Nagle ujrzała męską dłoń, która wyrwała jej słuchawkę i odłożyła na widełki. Anna krzyknęła i odwróciła się. Przed nią stał uśmiechnięty Nick Yaccaro.

Rozdział 23

Angeli włączył światła. Była czwarta po południu, ale słońce schowało się gdzieś za wałem cumulusów, które pędziły po niebie gnane lodowatym wiatrem.

Policjant siedział za kierownicą. Miejsce obok niego zajmował Rocky Vaccaro. Anthony DeMarco usadowił się obok Judda na tylnym siedzeniu.

Początkowo Judd wypatrywał policyjnych samochodów, mając nadzieję, że zdobędzie się na jakiś desperacki czyn i zwróci na siebie uwagę, ale Angeli jechał mało uczęszczanymi drogami, gdzie praktycznie nie było żadnego ruchu. Objechali Morristown, skręcili w drogę numer 206 na południe ku mało zaludnionym obszarom New Jersey. Szare niebo rozerwało się, sypiąc zimnymi lodowatymi igiełkami, które uderzały w szybę jak zwariowany dobosz.

– Zwolnij – polecił DeMarco. – Wypadek nam niepotrzebny. Angeli posłusznie zdjął nogę z gazu.

DeMarco odwrócił się do Judda.

– Właśnie w taki sposób ludzie popełniają błędy. Nie potrafią planować jak ja.

Judd spojrzał na DeMarca, poddając go klinicznej analizie. Mężczyzna cierpiał na megalomanię. Rozsądek i logika nie miały do niego dostępu. Coś pozbawiło go moralności, sprawiając, że potrafił zabijać nienękany wyrzutami sumienia. Teraz już Judd znał większą część odpowiedzi.

Ten mafioso popełniał morderstwa własnymi rękami, wiedziony poczuciem dumy. Była to zemsta Sycylijczyka za plamę na honorze, jaką

on, Judd, za pośrednictwem żony DeMarca skaził jego samego i rodziny La Cosa Nostra. Johna Hansona zabił przez pomyłkę. Kiedy Angeli powiedział mu, co się stało, DeMarco wrócił do biura Judda, gdzie zastał Carol. Nie mogła dać mu taśm, po które przyszedł, po prostu dlatego, że nie znała nazwiska Anny. Gdyby DeMarco trzymał swój temperament na wodzy, pomógłby dziewczynie ustalić, o kogo właściwie mu chodzi. Ale częścią jego choroby był brak wyrozumiałości dla innych. Nie potrafił znieść żadnej porażki. Wpadł w szal i Carol musiała umrzeć w straszliwych męczarniach. Również on sam potrafił Judda samochodem, a potem przyszedł do gabinetu z Angelim. Psychoanalityk nie rozumiał wtedy, dlaczego napastnicy nie włamali się i nie zastrzelili go. Ale teraz już wiedział, dlaczego tak się stało. McGreavy uznał Stevensa za winnego, więc przeciwnicy chcieli upozorować jego samobójstwo, rzekomo wywołane wyrzutami sumienia. Takie rozwiązanie zakończyłoby całe śledztwo.

A Moody... Biedny Moody. Kiedy Judd podał mu nazwiska policjantów zajmujących się sprawą, detektyw wyglądał na wzburzonego. Stevens myślał, że zareagował tak na kapitana. W rzeczywistości chodziło o Angelego. Moody wiedział, że policjant współpracował z mafią, a gdy poszedł tym śladem...

Spojrzał na DeMarca:

– Co stanie się z Anną?

– Nie martw się. Zajmę się nią.

– Właśnie – potwierdził z uśmiechem Angeli. Judd poczuł bezradną wściekłość.

– Zrobiłem błąd, biorąc żonę spoza rodziny – ciągnął w zamyśleniu

DeMarco. – Obcy nigdy tego nie potrafią zrozumieć. Nigdy.

Jechali przez prawie wyludniony płaski teren. Od czasu do czasu za kurtyną śniegu majaczył kształt jakiejś odległej fabryki.

– Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmił Angeli.

– Odwaliłeś dobrą robotę – powiedział DeMarco. – Musisz zniknąć na jakiś czas, aż sprawa przyschnie. Gdzie byś chciał pojechać?

– Lubię Florydę.

DeMarco skinął głową z aprobatą.

– Nie ma problemu. Zamieszkasz u jednej z rodzin.

– Znam tam parę świetnych dziwek – rozmarzył się Angeli. DeMarco uśmiechnął się do jego odbicia w lusterku.

– Wrócisz z opalonymi czterema literami.

– Mam nadzieję, że tylko z tym. Rocky Vaccaro ryknął śmiechem.

Judd zauważył, że w pewnej odległości po prawej stronie wyłaniają się zabudowania fabryki. Z kominów walił gęsty dym. Skręcili w wąską drogę prowadzącą do budynków i po chwili zatrzymali się przy wysokim murze. Brama była zamknięta. Angeli nacisnął klakson, natychmiast pojawił się mężczyzna w sztormiaku, z kapturem naciągniętym na twarz. Kiedy zobaczył DeMarca, skinął głową, otworzył kłódkę i odsunął skrzydło bramy. Angeli wjechał do środka. Brama zatrzasnęła się za nimi. Byli na miejscu.

W biurze dziewiętnastego komisariatu porucznik McGreavy w towarzystwie trzech detektywów, kapitana Bertellego i dwóch ludzi z FBI przeglądał listę nazwisk.

– To są rodziny La Cosa Nostra mieszkające na Wschodzie. Sami

subcapo i capo. Problem w tym, że nie wiemy, dla którego pracował Angeli.

– Ile czasu zajęłoby sprawdzenie ich? – zapytał Bertelli.

– Mamy ponad sześćdziesiąt nazwisk – odpowiedział mu jeden z agentów – to by wymagało co najmniej dwudziestu czterech godzin, ale...

– zamilkł.

– Ale za dwadzieścia cztery godziny doktor Stevens nie będzie już żył – skończył za niego zdanie McGreavy.

W drzwiach pojawił się młody policjant w mundurze. Zawahał się widząc zebranych.

– O co chodzi? – zapytał McGreavy.

– Człowiek z New Jersey nie wie, czy to jest ważne, ale kazał pan, poruczniku, meldować o wszystkim, co wyda się niezwykle. Jakaś kobieta dzwoniła do centrali i prosiła o połączenie z policją. Powiedziała, że to ważna sprawa, ale potem ktoś przerwał rozmowę. Telefonistka czekała, ale nikt powtórnie nie zadzwonił.

– Skąd był ten telefon?

– Z miasteczka Old Tappan.

– Czy ustaliła numer?

– Nie. Zbyt szybko przerwano rozmowę.

– Wspaniale – zachnął się McGreavy.

– Zapomnij o tym – powiedział Bertelli. – To z pewnością jakaś starsza dama, która chciała zgłosić zaginięcie kota.

W tej chwili natarczywie rozdzwonił się telefon na biurku porucznika. McGreavy podniósł słuchawkę.

– Porucznik McGreavy. – Zebrani w pokoju mężczyźni wpatrywali się

w jego ściągniętą napięciem twarz. – Dobrze! Powiedz im, żeby nic nie robili, dopóki się tam nie zjawię. Jadę! – rzucił słuchawkę. – Patrol właśnie zauważył samochód Angelego jadący na południe drogą 206, tuż za Millstone.

– Czy usiedli im na ogonie? – zapytał jeden z agentów.

– Jechali w przeciwnym kierunku. Zanim zdążyli zawrócić, tamci już zniknęli. Znam ten teren. Nie ma tam nic poza kilkoma fabrykami. – Zwrócił się do jednego z agentów. – Czy moglibyście dowiedzieć się szybko, co to są za fabryki, i podać mi nazwiska właścicieli?

– Da się zrobić – powiedział facet z FBI i sięgnął po telefon.

– Jadę tam – powiedział McGreavy. – Zadzwońcie, jak będziecie coś mieli. – Skinął na swoich ludzi. – Idziemy.

Ruszył do drzwi, a tuż za nim trzech policjantów i jeden agent FBI.

Angeli przejechał koło budki strażnika przy bramie i skierował się w stronę grupy staro wyglądających budynków, odcinających się czerwienią cegły od zimowego nieba. Unoszący się z wielkich kominów dym układał się w powietrzu w zaokrąglone kształty prehistorycznych potworów zawieszonych nad beczasowym krajobrazem.

Podjechali do płataniny ogromnych rur i transporterów i zatrzymali się. Angeli z Vaccarem wysiedli z samochodu. Osilek otworzył tylne drzwiczki od strony Judda. W rękę trzymał pistolet.

– Wychodź, doktorku.

Judd powoli wydostał się z samochodu. Za nim podążył DeMarco. Poraził ich ogłuszający łoskot. Kilka kroków przed nimi widniała ogromna rura wypełniona sprężonym powietrzem, wciągająca wszystko, co znalazło

się w pobliżu jej otwartych, wciąż głodnych ust.

– To jest największy rurociąg w całym kraju! – zawołał DeMarco z dumą, przekrzykując warkot maszyn. – Chce pan zobaczyć, jak to działa?

Judd wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. Mafioso znowu zachowywał się jak doskonały gospodarz, mający na uwadze tylko rozrywkę swego gościa. Wcale nie udawał. W tej chwili naprawdę tak się czuł. I to właśnie było przerażające. DeMarco miał za chwilę zamordować Judda, a traktował to jako rutynową robotę, którą trzeba wykonać dla dobra interesów; tak samo wyrzucałby niepotrzebną maszynę z fabryki. Ale najpierw chciał zrobić wrażenie.

– Niech pan tam przejdzie, doktorze. To naprawdę interesujące.

Ruszyli w stronę rurociągu. Angeli pierwszy, potem DeMarco obok Judda, pochód zamykał Rocky Vaccaro.

– Fabryka przynosi rocznie ponad pięć milionów dolarów – oświadczył pyszałkowato DeMarco. – Wszystkie operacje są zautomatyzowane.

Im bliżej podchodzili, tym bardziej hałas potężniał, był wprost nie do wytrzymania. Sto metrów od wejścia do komory próżniowej, na wielkim pasie transmisyjnym ogromne kłody drzewa jechały ku sześciometrowej długości maszynie mierzącej półtora metra wysokości. Zaopatrzona była w sześć ostrych jak żyłety przecinaków. Po przejściu przez maszynę z pnia pozostawał równy słup o przekroju kwadratu. Przenoszony był dalej do złowrogiego rotora, wyglądającego jak jeżozwierz o kolcach z noży. W powietrzu fruwały drobiny trocin niesione na płatkach śniegu.

– Wielkość kłód nie ma znaczenia – chwalił się DeMarco.

– Maszyny dopasują je do potrzebnego wymiaru.

DeMarco wyciągnął z kieszeni kolt, trzydziestkę ósemkę, i zawołał: –

Angeli! Policjant odwrócił się.

– Dobrej drogi na Florydę. – DeMarco nacisnął spust i na koszuli Angelego ukazała się poszarpana czerwona dziura. Policjant spoglądał na capo ze zdziwionym półuśmiechem na twarzy, jakby czekał na rozwiązanie zagadki, którą właśnie usłyszał. DeMarco jeszcze raz pociągnął za cyngiel. Angeli osunął się na ziemię. DeMarco skinął na Rocky'ego Vaccaro. Potężny mężczyzna wziął ciało, przerzucił je przez ramię i ruszył w stronę rurociągu.

Capo zwrócił się do Judda.

– Angeli był głupi. W tej chwili szuka go każdy policjant w tym kraju. Gdyby go znaleźli, trafiliby prosto do mnie.

Morderstwo z zimną krwią było samo w sobie szokujące, ale to, co nastąpiło potem, wydawało się jeszcze większym 15 – Naga twarz koszmarem. Judd patrzył z przerażeniem, jak Vaccaro niesie trupa do wlotu wielkiej rury. Ogromna siła schwyciła ciało i chciwie je wciągnęła. Vaccaro musiał złapać się metalowej krawędzi, żeby samemu nie zostać wessanym przez śmiertelny cyklon powietrza. Judd po raz ostatni ujrzał ciało Angelego, jak ginęło w wirze trocin i belek. Vaccaro przekreślił zawór umieszczony tuż przy wlocie rury. Opadła pokrywa, odcinając powietrzny cyklon. Nagła cisza wydała się wprost ogłuszająca. DeMarco odwrócił się do Judda i wycelował. Na jego twarzy malował się podniosły, mistyczny wyraz i Judd uświadomił sobie, że zabijanie musi być dla niego przeżyciem wprost religijnym. To była próba, po której wychodziło się oczyszczonym. Judd wiedział, że nadszedł moment śmierci. Nie czuł lęku, ale wściekłość, że ten człowiek będzie żyć dalej, że zamorduje Annę i innych niewinnych, porządnych ludzi. Usłyszał jęk gniewu i frustracji i

uświadomił sobie, że wydobył się on z jego własnych ust. Był jak złapane w potrzask zwierzę, które pragnie śmierci swego prześladowcy.

DeMarco uśmiechnął się odczytując jego myśli.

– Pan dostanie w brzuch, doktorze. Będzie pan dłużej umierał, chcę dać panu czas, żeby pomartwił się pan jeszcze trochę, co jej zrobię.

Więc była nadzieja. Jeden promyk.

– Ktoś powinien się o nią martwić – powiedział Judd. – Nigdy nie miała mężczyzny.

DeMarco wpatrywał się w niego tępo. Judd zaczął krzyczeć, DeMarco musiał usłyszeć każde jego słowo.

– Wiesz, co jest twoim ptaszkiem? Ten pistolet, który trzymasz w ręku. Bez pistoletu lub noża jesteś kobietą.

Zobaczył, że twarz DeMarca purpurowieje z wściekłości.

– Nie masz jaj. Bez tego pistoletu jesteś zerem.

Czerwona mgła przesłoniła oczy Włocha, jak flaga śmierci. Vaccaro przesunął się o krok do przodu. Szef powstrzymał go ruchem dłoni.

– Zabiję cię gołymi rękami – rzucił pistolet na ziemię. – Tymi gołymi rękami! – Powoli, jak potężne zwierzę, ruszył w stronę Judda, który cofnął się krok do tyłu. Wiedział, że fizycznie zupełnie nie dorównuje przeciwnikowi. Jediną nadzieją było zakłócenie funkcjonowania chorego mózgu DeMarca. Uderzał więc w jego najwrażliwsze miejsce – dumę z męskości.

– Jesteś homoseksualistą, DeMarco?

Tamten roześmiał się i gwałtownie skoczył do przodu. Judd cofnął się.

Vaccaro podniósł z ziemi pistolet.

– Szefie! Pozwól mi z nim skończyć.

– Trzymaj się od tego z daleka! – wrzasnął DeMarco.

Dwaj mężczyźni krążyli wkoło, robiąc uniki. Judd poślizgnął się na stosie mokrych trocin, DeMarco skoczył ku niemu jak rozwścieczony byk. Jego potężna pięść rąbnęła Judda w usta, odrzucając go do tyłu. Ten jednak podniósł się i natarł na przeciwnika, trafiając go w twarz. Włoch cofnął się, ale natychmiast zaatakował, uderzając w brzuch. Trzy kolejne ciosy i Judd stracił oddech. Chciał coś powiedzieć, dalej szydzić z DeMarca, ale z trudem łapał powietrze. Wróg wisiał nad nim jak sęp.

– Rozruszałeś się, doktorku? – zaśmiał się. – Byłem bokserem i zamierzam teraz udzielić ci kilku lekcji. Najpierw zajmę się wątrobą, potem przejdę do głowy, a na koniec do oczu. Wyłupię ci oczy, doktorze. A zanim skończę, będziesz mnie błagał o jeden. celny strzał.

Judd bez trudu potrafił w to uwierzyć. W ponurym świetle DeMarco wyglądał jak rozjuszona zwierzę. Ruszył na Judda i ciężkim sygnetem z kameą rozorał mu policzek. Stevens zaczął młócić obiema pięściami, lecz DeMarco nawet się nie zachwiał. Bił celnie raz po razie rękami pracującymi jak tłoki. Judd próbował uchylić się. Jego ciało było oceanem bólu.

– Nie czujesz się czasem zmęczony, doktorku? – DeMarco zaczął znowu przysuwać się bliżej. Judd wiedział, że jego ciało już dużo nie wytrzyma. Musiał mówić. To była jego jedyna broń.

– DeMarco... – wyrzęził.

Ten odsunął się nieco, przykucnął, zaśmiał się i trafił pięścią prosto między nogi Judda, który upadł do tyłu. Był u kresu wytrzymałości. DeMarco w jednej chwili znalazł się na nim, zaciskając ręce na gardle.

– Gołymi rękami! – wrzeszczał. – Wyłupię ci oczy gołymi rękami. –

Zaczął wciskać kciuki swych ogromnych pięści w oczodoły Judda.

Minęli Bedminster kierując się na południe drogą 206, kiedy z radia rozległ się głos:

– Kod trzy... kod trzy... Uwaga, wszystkie wozy... Nowojorska jednostka numer dwadzieścia siedem... nowojorska jednostka numer dwadzieścia siedem...

McGreavy złapał mikrofon.

– Nowy Jork dwadzieścia siedem... słucham!

Doszedł go podekscytowany głos kapitana Bertellego.

– Mamy ich, Mac. Chodzi o zakład, który znajduje się o kilometr na południe od Millstone. Jest tam rurociąg należący do korporacji „Pięć Gwiazdek” – tej samej, w skład której wchodzi paczkownia mięsa. To są szyldy, których używa niejaki DeMarco.

– Wygląda na to, że rzeczywiście pasuje – powiedział McGreavy. – Jedziemy tam.

– Jak daleko jesteście od tego miejsca?

– Pięć kilometrów.

– Powodzenia.

– Dzięki.

McGreavy odłożył mikrofon, włączył syrenę i wcisnął gaz do dechy.

Wydawało mu się, że niebo wiruje nad jego głową, czuł uderzenia rozrywające mu ciało. Próbował otworzyć oczy, ale miał zbyt opuchnięte powieki. Kiedy pięść trafiła w żebra, przeszył go ból łamanych kości. DeMarco dyszał gorącym oddechem tuż przy jego twarzy. Judd chciał na

niego spojrzeć, ale był uwięziony w ciemności. Otworzył usta i wydusił z siebie:

– Widzisz, miałem rację. Tylko wtedy potrafisz uderzyć człowieka, kiedy leży.

Gorący oddech przestał parzyć mu twarz. Poczul, jak dwie dłonie podnoszą go i stawiają na równe nogi.

– Już nie żyjesz, doktorze. I zrobię to gołymi rękami. Judd cofnął się.

– Jesteś z... zwie... zwierzęciem – wydusił walcząc o oddech. – Psychopata... Powinieneś być zamknięty... w zakładzie.

Głos DeMarca ociekał wściekłością.

– Kłamca!

– T... to prawda – cedził Judd cały czas się cofając. – Twój... twój mózg jest chory... pewnego dnia... odmówi ci posłuszeństwa... i będziesz jak niedorozwinięte dziecko. – Cofał się nie wiedząc, w którą idzie stronę. Usłyszał za sobą cichy szmer zamkniętego rurociągu, czekającego jak drzemiący gigant.

DeMarco przyskoczył do Judda, łapiąc go rękami za gardło.

– Złamię ci kark! – Ogromne palce nacisnęły grdykę.

Judd czuł, że traci przytomność. Miał jeszcze jedną szansę. Choć instynkt wołał, żeby złapać rękę DeMarca, oderwać je od swego gardła i chwycić oddech w płuca, ostatnim agonialnym wysiłkiem woli sięgnął rękami do tyłu, szukając zaworu. Zdawało mu się, że sunie w ciemność, i wtedy właśnie dłonie znalazły zawór. W desperackim przyływie energii przekręcił koło i odsunął się tak, by to DeMarco znalazł się najbliżej otworu. Nagle ogromna siła pociągnęła ich w wir. Walcząc z cyklonem Judd trzymał się obiema rękami zaworu. Palce DeMarco wbijały się w

krtań przeciwnika, ale już wir powietrza zaczął wciągać jego ciało do rury. Mógł się jeszcze uratować, ale opętany szaleństwem wściekłości nie chciał puścić szyi. Judd nie widział twarzy swego wroga, tylko w uszy wdarł mu się obłąkańczy, zwierzęcy krzyk, słowa zagłuszył huk powietrza.

Palce Judda powoli zsuwały się z zaworu. Za chwilę zostanie wciągnięty w rurę wraz z DeMarco. Odmówił szybko ostatnią modlitwę i w tym właśnie momencie dłonie Włocha puściły go. Usłyszał głośny, odbijający się echem od metalowych ścian krzyk, a potem tylko świst powietrza. DeMarco zniknął.

Śmiertelnie wykończony, niezdolny do żadnego ruchu, Judd czekał teraz na strzał Yaccara.

Strzał rozległ się w chwilę potem.

Judd stał, zastanawiając się, czemu Vaccaro chybił. Poprzez ścianę bólu usłyszał kolejne strzały, potem tupot nóg, a wreszcie swoje imię. Poczuł, że podtrzymuje go czyjeś ramię, i usłyszał głos McGreavy'ego.

– Matko Boska! Spójrzcie na jego twarz!

Silne ręce odciągnęły go od straszliwie ryczącej rury. Coś mokrego spływało mu po policzkach, nie wiedział, czy to krew, czy deszcz, czy łzy, i nie dbał o to.

Było po wszystkim.

Zmusił się, by uchylić opuchniętą powiekę, i przez wąską, zakrwawioną szczelinę zobaczył niewyraźną twarz porucznika.

– Anna jest w domu... Żona DeMarca. Musimy do niej pojechać...

McGreavy patrzył na niego dziwnie i Judd zdał sobie sprawę, że z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Podsunął usta do ucha porucznika i powoli, chrapliwie wyskrzecztał:

– Anna DeMarco... Ona jest... w domu... pomocy.

McGreavy podszedł do policyjnego wozu, sięgnął po mikrofon i wydał polecenie. Judd słaniał się na nogach. Poddając się podmuchom zimnego, szczypiącego wiatru wciąż jeszcze chwiał się w przód i w tył, jakby przyjmował ciosy. Ujrzał leżące na ziemi ciało. To był Rocky Vaccaro.

Zwyciężyliśmy, pomyślał. Zwyciężyliśmy. Obracał to zdanie w myślach, ale wiedział, że słowa nie mają żadnego znaczenia. Cóż to było za zwycięstwo? Uważał siebie za przyzwoitą, cywilizowaną istotę ludzką – za lekarza, uzdrowiciela, a zamienił się w dzikie zwierzę kierowane żądzą zabijania. Doprowadził chorego człowieka na skraj szaleństwa, a potem go zamordował. Był to straszliwy ciężar, którego nigdy nie zdoła zrzucić. Chociażby nie wiadomo ile razy powtarzał sobie, że zrobił to w obronie własnej, wiedział – niech Bóg mu dopomoże – że czyn ten sprawił mu przyjemność. A tego nigdy sobie nie wybaczy. Wcale nie okazał się lepszy od DeMarco, braci Vaccaro ani od wszystkich innych. Cywilizacja była niby cienki, niebezpiecznie delikatny fornir, przez który w miejscach pęknięć ukazywała się zwierzęcość człowieka, wpadającego w brudną otchłań instynktów, mimo iż pysznił się, że się z niej wydobył.

Judd był zbyt zmęczony, żeby dłużej się nad tym zastanawiać. Teraz pragnął jedynie mieć pewność, że Anna jest bezpieczna.

McGreavy stał koło niego. Zachowywał się dziwnie łagodnie.

– Już jedzie do niej wóz policyjny, doktorze Stevens. W porządku?

Judd skinął głową z wdzięcznością. McGreavy ujął go pod rękę i poprowadził w stronę samochodu. Kiedy obolały szedł powoli, zdał sobie sprawę, że przestało padać. Daleko na horyzoncie zimny grudniowy wiatr rozganiał po niebie cumulusy, a poprzez chmury zaczęły przebijać

promienie słońca.

Zapowiadała się piękna Gwiazdka.